



ŻYCIE W CIENIU

SŁAWNEGO OJCA

I TAJEMNICE

UKRYTE

W CIENIACH

PRZESZŁOŚCI

KELLY LUCE ZA TOBĄ

W
ab
two

Kelly Luce

ZA TOBĄ

przełożyła Dorota Konowrocka-Sawa



Mojej rozsianej po świecie rodzinie

Wycinek z anglojęzycznego czasopisma „Kyoto Wow!”

14 października 1988

Pewnego bezchmurnego popołudnia w mieście Tokushima położonym na spokojnej wyspie Sikoku dwunastoletnia Chizuru Akitani, córka Hiro Akitaniego, uznanego skrzypka i Żywego Skarbu Narodowego, będąca owocem jego japońsko-amerykańskiego małżeństwa, weszła do pokoju nauczycielskiego szkoły podstawowej Motomachi cała zakrwawiona, ściskając w dłoni nożyk do otwierania listów. W pokoju wybuchła panika, gdyż obecni sądzili, że szóstoklasistka, znana ze swego introwertyzmu, poważnie się zraniła. Pierwsza podeszła do Chizuru nauczycielka języka angielskiego, panna Daniela Townshend. Kiedy się do niej zbliżyła, dziewczyna uniosła dłoń i uciszyła zebranych pięcioma słowami: „To nie jest moja krew”.

Wcześniej

Ośrodek Wychowawczo-Terapeutyczny Kawano zajmował budynki przeznaczone pierwotnie dla sierot ocalałych po wybuchu bomby jądrowej. W latach siedemdziesiątych sierociniec przekształcono w zakład poprawczy dla młodocianych przestępców. Część dzieciaków upierała się, że ocalali przywlekli ze sobą promieniowanie i skazili to miejsce tak, że nikt nie mógł w nim dojść do siebie, ale dla mnie stało się domem. Przyjechałam tu jako dwunastolatka, a wyjechałam dopiero po dwudziestych urodzinach.

W pierwszych dniach rzeczywiście czułam się jak po wybuchu. Wiedziałam, dlaczego mnie tu umieszczono – i jednocześnie nie wiedziałam. Wstrząs będący efektem tego, co się zdarzyło – co zrobiłam – zmałował mi umysł i rozvodnił wspomnienia. Dwa razy dziennie spotykałam się z doktorem Kankanem, psychiatrą o siwej czuprynie, rozmiłowanym w morskich metaforach. Powiedział mi, że kogoś zraniłam, ale nie rozwinął tematu. Chciałam wiedzieć kogo. Czy to był ktoś z mojej rodziny? Obcy? Bałam się o rodziców. „Porozmawiamy o tym, jak już na dobre się tutaj odnajdziesz”, brzmiała nieodmiennie jego odpowiedź.

Ale inni pacjenci – osadzeni, jak sami się określaliśmy – wywiedzieli się, co zaszło. W Kawano nie było sekretów i nie miało znaczenia, że nie pozwalano nam czytać najsmakowitszych artykułów prasowych, a ówczesny świat był jeszcze pozbawiony internetu – wiedza przesączała się tak czy siak. Jakiś chłopak na stołówce wyszeptał mi, że zabiłam kolegę ze szkoły. Zadźgałam go na śmierć. Czy czuję się jak morderczyni? Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Byłam pewna, że mówi prawdę, lecz nie miałam pojęcia, jak może się czuć morderczyni. A skoro kogoś zabiłam, to chyba powinnam wiedzieć.

Już w bardzo młodym wieku – jako cztero-, może pięciolatka – uzmysłowiłam sobie obecność w piersi czegoś mrocznego, jakiejś czepiającej się serca czerni. Tkwiła tam zwykle uszpięta i pozwalała o sobie nie myśleć, ale od czasu do czasu puchła jak zakażony gruczoł. Niekiedy czułam się zraniona lub wściekła, a uczucia te były tak mocno ze sobą związane, że nie przyszło mi do głowy ich rozdzielać, dopóki terapeuta nie wyjaśnił mi różnicy.

Mój gniew był organem.

Bałam się go. Czarny organ podsuwał złe myśli – wizje krzywdzenia człowieka, który mnie prześladował. Człowiek ten nazywał się Tomoya Yu, a jego szydercze „tłusty kartofel!” wciąż dźwięczało mi w uszach. Wizje się urzeczywistniły. Nie zapanowałam nad własnym ciałem.

W Kawano dzieci nie śmiały się z mojej tuszy. I w ogóle niespecjalnie tu sobie dokuczano. Zamiast obrzucać się obelgami, nadawaliśmy sobie praktyczne przydomki, a moje nadwyżkowe fałdki bladły w zestawieniu z innymi cechami. Nazywali mnie *Sutabi-gyaru* (Dźgającą Dziewczyną) albo *kireru*, który to termin

padał w przyciszonych rozmowach lekarzy i oznaczał „złamać” albo „zerwać”. Jak ptasią kosteczkę spełniającą po przełamaniu życzenie tego, komu przypadła jej większa część, lub zbyt mocno naciągniętą gumkę. Zanim wyjechałam z Kawano osiem lat później, w ośrodku pojawiło się jeszcze siedmioro *kireru*. Trzy dziewczyny, czterech chłopaków – wszyscy ledwie co weszli w wiek dorostania. Wszyscy zabili, z wyjątkiem jednej dziewczyny, która zepchnęła z dachu niepełnosprawnego chłopca, lecz udało się jej „zaledwie” (jej własne słowa) go sparaliżować.

Doktor K nosił w kieszeni fartucha żółty notatnik, który często wyciągał. Powiedział, że to dobrze, że mam trochę czasu dla siebie; przez sześć miesięcy nie wolno mi było przyjmować żadnych wizyt, nawet członków rodziny. „Trzeba uwolnić twoją podświadomość”, powiedział.

Martwił się o mnie. Mama nie żyła od miesiąca, lecz ten fakt ciągle umykał mi z pamięci. Mówiłam o niej tak, jakby wcale nie umarła, i pytałam, kiedy mnie odwiedzi. Doktor K słuchał – a potem przypominał mi, że jej już nie ma. Kazał mi opowiadać, co czułam, gdy dotarła do mnie wiadomość, chciał słuchać tej historii raz po raz od początku. Wierzył, że jej śmierć i mój „wybuch” były ściśle ze sobą związane. Co oczywiście było prawdą. Jej obecność uspokajała czarny organ. Trzy tygodnie po tym, jak się zabiła, organ przejął nade mną kontrolę i Tomoya Yu stracił życie.

Siedziałam właśnie na lekcji historii, poznając rolę szogunatu, gdy zawołano mnie do gabinetu szkolnej pielęgniarki. Tego dnia siedział tam Tachiya-san, jedyny w zespole pracowników pielęgniarskich i najmniej lubiany przeze mnie w szkole dorosły. Przód białego fartucha miał zaplamiony sosem spaghetti. Powiedział mi, że doszło do wypadku samochodowego: mama skręciła gwałtownie, by ominąć jakieś dziecko na drodze.

– To była szybka, chlubna śmierć – wyszeptał, bębniąc palcami po stole.

Wbiłam w nie spojrzenie. Nad każdym paliczkiem kędzierzawił się czarny włos. Głos, który wreszcie z siebie dobyłam, powiedział:

– W Japonii mama nie prowadzi. – Chwyciłam go za rękę (odchylił się w tył, ale nie wyrwał dłoni) i dodałam po angielsku: – Pierdol się.

Prawdy dowiedziałam się od ojca, który nigdy nie skąpił mi szczegółów: skoczyła z nowego mostu Ōnaruto, podczas odpływu, gdy tworzyły się największe wiry. Musiała skorzystać z tabeli pływów, a zatem była zdeterminowana. Nigdy nie trzymała się rozkładów i harmonogramów. Mówiła o sobie, że jest „prawdziwymi Rybami”. Gdy byłam mała, wytłumaczyła mi, czym są Ryby, i przez długi czas sądziłam, że mama jest po części syreną. Jej wygląd to potwierdzał – długie, splecione, lekko falujące bursztynowe włosy, oczy w kolorze jasnej szarości – a jej sposób chodzenia, jakby nieskażony grawitacją, przywodził na myśl pływanie. Zrozumiałam później, dlaczego się nie malowała i nie układała włosów jak inne

mamy, choć jako dziecko marzyłam, by to robiła. Każdy taki zabieg czyniłby jej urodę krzykliwą.

Jej prochy poświęciliśmy w chramie nieopodal domu, lecz nie zawieźliśmy ich do grobowca Akitanich w prefekturze Ehime. Miało nie być żadnego pogrzebu. Ojciec uznał, że tak będzie lepiej.

– Zapamiętaj z niej to, co najlepsze – rzekł, wręczając mi stos albumów ze zdjęciami.

Nie wiedziałam, co to oznacza. Ani co mam zapamiętać.

Ojciec mamy już wówczas nie żył – nigdy nie poznałam dziadka Billa – a jej mama i dwie starsze siostry, wciąż mieszkające w Teksasie, nie chciały mieć ze szczątkami nic wspólnego. To były prochy grzesznicy najgorszego rodzaju. Czyż nie ściągnęła na rodzinę wystarczającej hańby? Lista jej przewin była długa, a pierwszą było opuszczenie Stanu Samotnej Gwiazdy – i to w dodatku dla plugawego Nowego Jorku. Cudzołóstwo (z żółtkiem!), marnotrawienie talentu na zapaskudzone płótna określane przez nią mianem sztuki i wreszcie ostateczne porzucenie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Własna religia, kraj i ludzie – to wszystko okazało się dla niej niewystarczające i za tę pychę Bóg ją pokarał. Dowiedziałam się tego wszystkiego od cioci Peggy, młodszej siostry matki, z listu, który wysłała do mnie do Kawano. „Wierzę, że Chrystus powiedziałby o Elenie: żyj i pozwól żyć. Nie pochwalałam jej wyborów, lecz była moją siostrą. Aż do confirmacji spałyśmy w jednym łóżku. Jestem jej winna modlitwę”. Wysłałam jej połowę prochów w małej porcelanowej urnie, którą trzymałam w swoim pokoju. Odpisała na pocztówce: „Niech Ci Bóg błogosławi, dziecko”. Nie odezwała się nigdy więcej.

Nie wystawiłam urny, gdy byłam jeszcze w domu, i nie wystawiłam jej w Kawano. Próbowалаm kilka razy – umieszczałam ją na półce lub obok poduszki, gdy kładłam się spać, lecz te przymiarki wydawały się wulgarne. Patrzyłam na urnę i starałam się coś poczuć, lecz nieodmiennie ogarniał mnie jedynie potworny smutek płynący z poczucia porażki. W końcu schowałam ją na dobre. Mama nie była dekoracją. Na co była mi potrzebna garść pyłu? Z pewnością nie jako przypomnienie o niej. Mama była przecież wszędzie.

Ojciec zmusił mnie, bym poszła do szkoły, twierdząc, że lepiej czymś się zająć niż zajadać rozpacz w domu. Reszta dzieci trzymała się ode mnie jeszcze dalej niż zwykle, jakby śmierć była zaraźliwa. Nawet Tomoya na jakiś czas przestał ze mnie drwić. Ale taryfa ulgowa po śmierci mamy trwała ledwie kilka tygodni. Nie odebrała sobie życia w sposób szlachetny, elegancki i uświęcony japońską tradycją, popełniając podwójne samobójstwo kochanków lub seppuku, więc wkrótce stałam się grubą *hafu* z martwą matką. Ludzie czuli się w moim towarzystwie jeszcze bardziej niezręcznie niż poprzednio.

Niewiele zapamiętałam z przyjazdu do Kawano. Hiro musiał mi przywieźć

jakaś odzież i rzeczy osobiste, bo miałam nie tylko prochy, ale i kilka ubrań, które wkładałam po przyjeździe ze szkoły. Zapomniałam jednak o bieliźnie, a do tego przez wiele tygodni jedynymi butami, które mogłam włożyć, gdy wychodziłam na zewnątrz, były czerwone lakierki, które miałam na sobie na jednym z jego występów w Tokio.

Marzyłam o pomarańczowym pudełku na buty. Mama i ja ukrywałyśmy je przed ojcem. W środku znajdowały się trzy rzędy kaset magnetofonowych ułożonych alfabetycznie: Aerosmith, The Beatles, Blue Öyster Cult, Depeche Mode, Dire Straits, Heart, The Moody Blues, U2, The Who – dziwaczne i piękne nazwy, które poznałam dzięki niej, pępowina łącząca mnie ze światem zachodniej muzyki pop. Co miesiąc kupowała nową podczas wycieczki do Mitsuya, mieszczącego się w wysokościowcu domu towarowego w centrum miasta, gdzie sprzedawano jej ulubioną markę farb akrylowych. Porządek panujący w pudełku ostro kontrastował z czeluścią szafki ze sprzętem stereo, gdzie w wysokiej na trzydzieści centymetrów stercie leżały taśmy z muzyką klasyczną rodziców. Jednym z moich najwcześniejszych wspomnień jest obserwowanie, jak mama wybiera taśmę z pudełka po butach i wsuwa ją do odtwarzacza. Kliknięcie, gdy taśma łąduje na swoim miejscu – miejscu, w którym jest oczekiwana i które zostało dla niej stworzone. Dobiegające z głośników dźwięki rozumiałam lepiej niż muzykę klasyczną. Rezonowały w moim ciele. Widziałam, że mama też to czuje, widziałam po tym, jak poruszała nie tylko stopami, ale i biodrami, ramionami, palcami i dłońmi. Tańczyła nawet jej twarz. Zasłuchane w tę muzykę, byliśmy jak przyjaciółki.

Za to pudełko oddałabym wszystko – spuściłabym nawet jej prochy w sedesie.

Rozmowy z doktorem K pozwoliły mi zacząć mierzyć się ze wspomnieniami, które od siebie odepchnęłam. Później, w ramach terapii, pozwolono mi czytać doniesienia prasowe. Ja, Chizuru Akitani, pół-Japonka, córka Żywego Skarbu Narodowego Hiro Akitaniego, chwyciłam złoty nożyk do otwierania listów zaprojektowany przez Morimoto (zawsze podawano nazwisko projektanta) z biurka nauczycielki i ugodziłam Tomoyę Yu w szyję. Tomoya przesładował mnie, owszem. Ranił moje uczucia. Dotykał mnie. Ale nie byłam w stanie powiedzieć tego na głos. Jakaś część mózgu wyłączała się, gdy tylko próbowałam. Niekiedy wystarczyło, by doktor K wypowiedział nazwisko „Tomoya Yu”, a ja wzdrygałam się i musiałam prosić o przerwę.

Gdyby nie Tomoya, może bym wyszła normalnie na prostą. Nie to że bym była normalna – większość dwunastolatków nie jest – ale to była Japonia, gdzie wtopienie się w tłum stanowiło taką samą konieczność jak jedzenie czy schronienie. Tym, co najbardziej mnie upośledzało, była moja mieszana krew – byłam *hafu*. To słowo wciąż może sprawić, bym czuła się jak to, co ono implikuje:

połowa człowieka. *Hafu* oznaczało, że moja japońskość stanowi jedyną część mnie, która się liczy – i że ta część nigdy nie będzie wystarczająca. Uczniowie nie pozwalali mi zapomnieć, że jestem od nich inna; nauczyciele przypisywali moje dobre cechy – pilność czy posłuszeństwo – japońskiemu pochodzeniu, zaś złe zachowanie wyjaśniali potrząsaniem głową, które mówiło: „Czego się spodziewać? Przecież jest cudzoziemką”.

Miałam jednak niezwykłych rodziców. W pierwszych klasach podstawówki moja biała, jasnowłosa matka fascynowała dzieci. *Kawaii*, szeptały. Jaka śliczna, jak gwiazda filmowa! Status ojca zyskiwał mi szacunek. Nie miałam bliskich przyjaciół, ale i nie miałam wrogów. Było okej. Nie super, ale okej. Pojawienie się Tomoyi w szóstej klasie było jak skażenie radioaktywne. Zmieniło wszystko.

Ojciec przyjechał sześć minut po dwunastej – rok i dwanaście dni po tym, jak zostałam przyjęta. Spotkaliśmy się w przesyconym ostrą wonią pokoju odwiedzin. Choć Kawano było zamkniętym ośrodkiem resocjalizacyjnym, chlorowali wszystko tak, jakby to był szpital. Nie próbował mnie uściskać ani nawet dotknąć. Usiedliśmy: ja na czerwonym worku sako, on na twardej kanapie. Wyobrażałam sobie, jak moszczę się u jego boku, a nawet siadam mu na kolanach – od śmierci matki nie doświadczyłam ciepłego dotyku żadnego dorosłego – lecz gdy stanęliśmy twarzą w twarz, sam pomysł wydał się niedorzeczny. Dzieliła nas niezmiernie przestrzeń. W tej przestrzeni była moja matka. Moje *kireru*. Moja amerykańska połowa.

– Wyglądasz inaczej. Trochę straciłaś na wadze. To dobrze – powiedział po japońsku; zawsze rozmawialiśmy w tym języku.

Nic się nie zmienił, nie zmienił się nawet jego cienki, lekko krzywy wąsik. Na ścianie za nim wisiał niczym brzydki księżyc marny rysunek piłki do kosza naszkicowany przez jedno ze starszych dzieci.

– Musisz zdawać sobie sprawę, że to dla mnie bardzo trudne – powiedział.

Pozwoliłam włosom spaść na oko, bo wiedziałam, że ten mój nawyk go drażni. Powinnam być mądrzejsza i nie oczekiwać, że spyta, jak się miewam.

– Przykro mi, że ze względu na mnie twoje życie stało się tak trudne – odrzekłam, używając najwyszukańszych form grzecznościowych.

Skinął głową, nie wyczuwając sarkazmu.

– A teraz posłuchaj. Wiele się wydarzyło, ale w jakimś sensie może to i lepiej. Twoja mama nigdy nie chciała za mnie wyjść. Powiedziała, że nie wierzy w instytucję małżeństwa. Potrafisz to sobie wyobrazić? Zgodziła się tylko dlatego, by móc zostać w Japonii po twoim urodzeniu. Tyle dla niej znaczyłaś. – Pokręcił głową. – Ale wygląda na to, że tobą też się zmęczyła.

Moje dzieciństwo było może surowe, lecz nigdy mnie nie bito. A właśnie tak zapamiętałam ten moment: jakby ojciec zamachnął się i mnie uderzył. Czy to była prawda? Czy zabiła się z powodu czegoś, co zrobiłam... lub czego nie zrobiłam?

Rozpłakałam się.

Uciszał mnie, ale nie mogłam przestać. Łzy zawsze go rozwścieczyły. Podnosił głos jak tarczę, jakby gniew mógł mu oszczędzić żenującego widoku. Nie potrafił znieść szczerości ani okazywania uczuć. „Umarłem w dzieciństwie – mówił, gdy tylko mama czy ja dawałyśmy upust emocjom; nawiązywał do swojej osławionej gorączki wieku dziecięcego, która skłoniła pielęgniarkę do obwieszczenia jego zgonu. – To mnie nauczyło, że płacz tylko utrudnia uzyskanie poprawy”.

Było wiele spraw, o które nigdy go nie spytałam – czy czuł się odpowiedzialny za to, co zrobiłam? jak wpłynęła na niego śmierć mojej matki? – i to był ostatni raz, kiedy te pytania znalazły się wystarczająco blisko moich warg, bym miała szansę je zadać. Lecz słowa uwięzły mi w gardle. Doktor K, obserwujący te odwiedziny przez wielkie okno, szybko wszedł do pomieszczenia i zaproponował, żeby Hiro przyjechał jeszcze raz za kilka dni. Miałam wrażenie, że ta sugestia przyniosła ojcu ulgę. Wstał i wyszedł.

W ośrodku angażowano mnie do różnych zadań, starając się zająć mi czymś głowę, a może po prostu mnie rozgryźć. Czerpałam przyjemność – w tamtym czasie jedyną – z utrudniania im tego. W teście Rorschacha układałam odpowiedzi tematycznie: jednego dnia kompozytorzy, drugiego urządzenia kuchenne. Tak często poddawano mnie testom, że zaczęłam rozpoznawać kształty, no i pewnego dnia doktor K cisnął karty na podłogę.

– Chizuru. Obiecuję, że nigdy więcej nie będziesz zmuszona oglądać atramentowych plam.

Słowa dotrzymał.

Nie to żebym była wariatką, pobyt tu nawet nie męczył. To miejsce – jak już się człowiek do niego przyzwyczaił – było całkiem w porządku. No i nie miałam nic poza nim. Czasem samopoczucie poprawiał mi doktor K, niekiedy czułam się dobrze sama z siebie. Mówił, że przetrwałam koszmarne sztorm. Rolą doktora było doholowanie mnie do brzegu, skąd któregoś dnia będę mogła znów wypłynąć. Musiałam mu ułatwić udzielenie sobie pomocy, bym nauczyła się dowodzić własnym okrętem.

Wtedy miałam jeszcze nadzieję – większą, niż chciałam przyznać – że ojciec mnie uratuje. Zabierze mnie do domu lub przynajmniej wykorzysta swoje znajomości, żeby mnie stąd wydostać przed dwudziestymi urodzinami, gdy oficjalnie osiągałam pełnoletniość. Dzieci, które w chwili popełnienia przestępstwa były starsze, musiały zostać dłużej, ale ja w dniu mojego *kireru* nie miałam jeszcze czternastu lat, a to oznaczało, że na życzenie rodziny mogłam wrócić do domu, pozostając pod kuratelą pracownika Programu Opieki nad Rodziną.

– Prawa się zmieniają – powiedział ojciec, gdy dwa tygodnie później wrócił z podróży do Paryża. Krążył po pokoju odwiedzin, podczas gdy ja siedziałam

sztynno na kanapie. – Inne dzieci, małe, zaczęły robić podobne rzeczy. Zapoczątkowałaś jakiś cholerny fenomen. Twoje wyjście stąd ściągnęłoby jeszcze większą uwagę...

Wyjaśnił mi, że wypuszczenie mnie stąd nie byłoby właściwe, skoro rodzina chłopaka wciąż cierpi; mielibyśmy przeciwko sobie opinię publiczną. Prasa rzuciła się na moją historię, bo jak mogłaby tego nie zrobić? „Dziecko Żywego Skarbu Narodowego z mieszanego związku zadźgało na śmierć swojego prześladowcę!” – media zachłystywały się tą wiadomością. Ojciec był jednak człowiekiem wpływowym: właściciele koncernów wydawniczych to ci sami ludzie, którzy finansowali Tokijską Orkiestrę Symfoniczną, a on znał ich wszystkich. Artykuły ukazywały się przez trzy dni, a teraz było już po wszystkim. Nikt by ich nie wydrukował. Nieźle sobie poradził z wymazaniem własnej córki. Powiedział mi o tym z dumą, jakby powstrzymał dokuczliwą szczurzą plagę.

Czarny organ ożył – uczucie, jakby ktoś mnie uszczypnął od środka.

– Ależ z nas szczęściarze, że już jej nie ma – mruknęłam i tym razem sarkazm nie umknął nawet jemu.

– Gdyby nie mój status, nie miałabyś nic. Myślisz, że było łatwo usunąć to z pierwszych stron? Wiesz, jakie odszkodowanie musiałem wypłacić rodzinie Yu?

– Gdyby nie twój status, mogłabym mieć wszystko. Na przykład matkę.

Wstałam i kopnęłam worek sako. Stopa mi w nim ugrzęzła i upadłam do przodu. Zapadłam się w czerwony plastik, uderzyłam w niego obiema pięściami i wypowiedziałam słowa, które miały okazać się ostatnimi skierowanymi do niego:

– I ojca.

Po tej awanturze odmówiłam z nim kontaktów. Nietrudno go było unikać. Zadzwonił raz, miesiąc po naszej sprzeczce. Doktor K powiedział mu, żeby wrócił, gdy będzie zainteresowany Programem Opieki nad Rodziną. Nigdy się już nie pokazał.

Każdy miał prawo do odwiedzin, doktor K nie pozostawił tu wątpliwości. Na przestrzeni lat faktycznie miałam dwoje gości: nieutrzymującego kontaktów z ojcem stryja i jego wychudzoną trzecią żonę, przyjaźniącą się z mamą i mieszkającą w Japonii Amerykankę o imieniu Lydia. Nie byli to jednak goście, jakich oczekiwałam, i więcej się nie pojawili.

Osobą, którą najbardziej chciałam zobaczyć – jeśli nie liczyć mojej matki – była panna Danny. W mojej szkole była nauczycielką angielskiego i przez jakiś czas żywiłam przekonanie, że jest moją przyjaciółką. Dorosłym sprzymierzeńcem. Nadal w to wierzyłam – mimo że dziwnie mnie traktowała w tygodniach poprzedzających moje *kireru*. Przypominając sobie nasze żarty, naszą niewątpliwą obopólną sympatię, mogłam jedynie dojść do wniosku, że jej chłód był wytworem mojej imaginacji. Przyjdzie. Mogłaby mnie adoptować! Ojciec bez żalu pozbyłby się takiego brzemienia. Ale panna Danny nie przysłała. Doktor K obiecał, że od

razu mnie powiadomi, gdyby choćby zapytała o mnie w ośrodku, a ja w miarę upływu miesięcy i lat przestałam czekać.

Wobec braku rodziny, która byłaby prawnie odpowiedzialna za moją resocjalizację, musiałam zostać. Z lekcjami radziłam sobie bez trudu. Nie dostawaliśmy ocen. Moim celem stało się osiągnięcie wtórnego analfabetyzmu w języku japońskim, co z pewnością zbulwersowałoby mojego ojca. Pomagała mi natura tego języka: nie da się przyswoić znaków *kanji* w sposób, w jaki można się nauczyć dwudziestu sześciu liter alfabetu łacińskiego. Pismo było tak skomplikowane, że Ministerstwo Edukacji stworzyło system określający, które znaki i kiedy mają być nauczane w szkołach. Dziecko kształcone w szkole publicznej aż do ukończenia liceum nie potrafiło przeczytać gazety. Moje zadanie nie było więc trudne. Przestałam czytać japońskie książki i odmawiałam uczenia się nowych znaków. Odpowiedzialna za moją edukację znudzona pracownica społeczna kształciła się na nauczycielkę angielskiego; jej wymowa i umiejętność konwersacji były koszmarnie, więc poświęcałyśmy większość wspólnego czasu na pogaduszki po angielsku i jej przygotowania do egzaminu lektorskiego. Raz w roku zdawałam egzamin i mogłam się przekonać, jak spada moja umiejętność czytania. Gdy opuszczałam Kawano, z radością mordowałam się z opowiadkami na poziomie trzecioklasisty. Lubiłam wyobrażać sobie wyraz twarzy ojca, kiedy się o tym dowie. Nawet wówczas wciąż jeszcze sądziłam, że go kiedyś zobaczę.

Zaczęłam pomagać w ogrodzie jako piętnastolatka. Nieduży to był ogród, pięć czy sześć grządek otoczonych siatką (dla ochrony przed czym lub przed kim – nie potrafiłam zgadnąć; cały ośrodek był już ogrodzony i strzeżony). Odpowiedzialny za niego głuchy od urodzenia chłopak, Tam, znajdował się pod opieką państwa. Dwa lata starszy ode mnie, szczupły, lecz muskularny, dobry kompan. Przy sianiu szparagów wciskał nasiona w odpowiednie rowki, naciskając moje palce swoimi. Przećwiczyliśmy to kilka razy, a dalej siałam już sama; Tam szedł za mną, szturchając każdy otworek, by się upewnić, czy ziarenko spoczywa na odpowiedniej głębokości.

Pokazał mi długi plastikowy pojemnik stojący w lodówce w piwnicy, gdzie trzymał nasiona i cebulki. Niektóre były płaskie i ciemne, inne pulchne i białe, jeszcze inne czerwonoróżowe, pasiaste, kuliste albo kolczaste. Planował wzbogacenie ogrodu. Wyciągałam z przegródek jedno ziarno po drugim, toczyłam je w palcach, wachałam i udawałam, że zjadam. Tam śmiał się z mojej ciekawości. Zachwycałam się tym, że te zwykłe małe bryłki zawierają życie. Zakop jedno ziarno, a coś z niego wykiełkuje. Hortensja. Jam. Arbuz. Śliwa.

Uczucia, które wzbudził we mnie Tam, nie przypominały zawrotów głowy, jakie przeżywałam w gimnazjum. W najmniejszym stopniu nie wywoływały paraliżującej nieśmiałości i zażenowania tym, że nie wiadomo, jak przerwać milczenie. Porozumiewaliśmy się głównie dotykiem. Po jakimś czasie całowanie

go wydawało się nie tyle naturalne, ile wręcz konieczne. Słony smak tych pierwszych próbnych uścisków, takich ciepłych, takich uskrzydających, był wrotami do innego świata.

Rozmawiałam z nim podczas uprawiania ogrodu. Gdy mówiłam, zerkał na moje usta i przestawał mrugać tymi swoimi szeroko rozstawionymi oczami. Nie kiwał głową, tylko nią kręcił. (Przejęłam ten nawyk; jako osoba dorosła wciąż wprawiam ludzi w zakłopotanie, gdy ich uważnie słucham). Opowiadałam o intymnych szczegółach swojego życia: moich rodzicach, mieście, sklepie z cukierkami, szkole podstawowej Motomachi, Tomoyi Yu. Mówienie o tym pozwalało mi przypomnieć sobie niektóre bolesne zdarzenia, a jak krzyczałam czy wpadałam w panikę, gdy wypływało jakieś nowe wspomnienie, Tam kręcił głową i gładził mnie po nadgarstku. Kiedy zaczęliśmy się kłaść razem nago w nieużywanym gabinecie pielęgniarskim, przykładał swoją bladą, szczupłą dłoń do mojej krtani i słuchał, jak wibruje, gdy mówię. Jakby rozumiał więcej – albo lepiej – kiedy na mnie nie patrzył. Potrafił pisać, ale niezbyt dobrze, więc frustrowało go to i męczyło. Kiedyś wyniosłam z biblioteki książkę o języku migowym. Natychmiast ją zatrzasnęła i zrobił znak X, krzyżując nadgarstki. To był koniec. Nie mogłam mu więc zadać wielu pytań o niego, ale odpowiadało nam to. Opowiadanie o mnie wystarczało nam obojgu.

Tama nic nie zbijało z tropu. Przeżywał życie z pięciosekundowym opóźnieniem. Pociągała mnie jego stałość, punktowana co jakiś czas wybuchem dzikiego, szczekliwego śmiechu. Nigdy nie udało mi się go celowo rozśmieszyć, ale często robiłam rzeczy, które wydawały mu się zabawne. Zupełnie nie przypominał Neda Nickersona z książek o detektywce Nancy Drew, które dawali mi zamiast literatury angielskiej. Oprócz tych świrów z Kawano nie znałam żadnych prawdziwych chłopaków. Założyłam, że kiedy dorosnę, znajdę kogoś takiego jak Ned: wysokiego, ciemnowłosego, wysportowanego. Bankiera albo prawnika. Mężczyznę zawsze gotowego nieść pomoc.

Tam lubił przesiadywać nad ilustracjami przedstawiającymi ludzkie ciała w bibliotece Kawano mieszczącej się na trzecim piętrze. Oglądał je i pogwizdywał. To był osobliwy dźwięk, w którym co i raz dawały się słyszeć trele i opuszczenia. Kiedyś ułożyłam wargi tak jak on. Kiedy podniósł wzrok i zobaczył mnie, dotknął mojej krtani i roześmiał się tak potężnie, że aż notatnik zsunął mu się na podłogę, a on sam kompletnie się zaślinił. Machał dłońmi jak skrzydłami i pukał się w skroń. W jego głowie wydawałam ptasie odgłosy.

W bibliotece było zawsze gorąco; sala pachniała informacją i zleżałym papierem. Jedną z ulubionych książek Tama był ogromny wolumin w twardej okładce pod tytułem *Jintai kaibogaku* – Anatomia człowieka. Kiedy znalazł rysunek, który mu się podobał, przerysowywał go do notatnika. Mózg – ze wszystkimi swoimi wypukłościami, wybrzuszeniami i wgłębieniami – zachwycał

go najbardziej. Kiedyś Tam naszkicował płat czołowy – ośrodek emocji, choć wątpiał, by o tym wiedział – a potem zmyślnie umieścił na nim kilka mew, słońce i łódź, przekształcając go w nadmorski pejzaż. Podarował mi go, wyciągając w moją stronę w obu dłoniach. Był to jedyny rysunek, który powiesiłam nad łóżkiem; przykleiłam go taśmą do ściany z żużlobetonowych bloczków.

Im silniejsza stawała się moja więź z Tamem, tym szybciej zaczynałam zdrowieć. Jediną przeszkodą na drodze do stania się osobą „trwale funkcjonującą” był wielki niepokój, jaki wzbudzały we mnie drobne rzeczy: papiery, które rozrzucano, zamiast je złożyć na kupkę, zapach konkretnego środka czystości, krople sosu, które prysnęły na stół, gdy ktoś jadł kluski. Zawsze obgryzałam paznokcie, lecz teraz zaczęłam skubać skórki wokół nich i jeszcze do tego żuć końcówki włosów. Oficjalnie zdiagnozowano u mnie ogólne zaburzenia lękowe i stres pourazowy. Doktor K powiedział, że ostatnią istotną przeszkodą jest zmierzenie się ze wspomnieniami „zdarzenia”.

– Twój mózg był zbyt przerażony tym, co zrobiło twoje ciało, więc stworzył na to wspomnienie specjalną przegródkę. Wyobraź ją sobie jako sejf pod pokładem. Zła wiadomość jest taka, że nie poskadasz się z powrotem, dopóki nie rozgryziesz kombinacji do tego sejfu i nie zmierzysz się z tym, co jest w środku. Ale mam też dobrą wiadomość: kiedy już to zrobisz, będziesz się mogła z tym pogodzić i pójść naprzód. Ciężko jest utrzymywać się na wodzie ze zbyt dużym ładunkiem. Musisz śmiało ocenić swój fracht i stać się bardziej wybredna, jeśli chodzi o to, co decydujesz się wozić.

Pozostałam pod jego opieką, lecz chociaż próbował hipnozy i psychoanalizy, a nawet zajęć z lalką przypominającą Tomoyę Yu, odmówiłam zrelacjonowania samego morderstwa. Widziałam je oczyma duszy. Odtwarzało mi się w głowie w przypadkowych momentach: przy myciu zębów, przy lunchu, przy porządkowaniu pokoju. Nigdy wtedy, gdy uprawiałam ogród. Ta scena mnie przerażała. Jak ta dziewczyna mogła być mną? Nie znajdowałam słów. Owo wspomnienie opisane słowami urzeczywistniłoby się w sposób, na jaki nie byłam gotowa. Słowa były w mojej głowie, w pucharze wypełnionym po brzegi ciemnością – wypowiadając je, wszystko bym rozlała.

A jednak do tego stopnia poprawiłam swoje zachowanie i panowanie nad lękiem (spokój Tama był zaraźliwy, czas spędzany z nim przypominał odpoczywanie w ciepłej kąpieli), że zanim skończyłam szesnaście lat, uwaga doktora K skupiła się na pacjentach, którzy przybyli do ośrodka później.

Któregoś dnia Tam nie pojawił się na śniadaniu. Nie było go też w ogrodzie. Poszłam do doktora K.

– Tamahiro został przeniesiony, Chizu. Regulamin Kawano nie pozwala na... takie rzeczy.

– Kto nas widział? – Chwyciłam leżący najbliżej przedmiot, piłkę

antystresową przypominającą owoc hurmy, i rzuciłam nim o ścianę. Gdyby tylko czarny organ dało się tak łatwo wymasować, ścisnąć, wyrwać! – Nie pozwoliliście mi się nawet pożegnać?

Zwiesił głowę i oficjalnie przeprosił – tak, jak przeprosza się przełożonego.

– Chizuru, bardzo, bardzo mi przykro. Nie mogłem temu zapobiec, ale... – Podniósł wzrok i w jego oczach dostrzegłam coś, co odrobinę uśmierzyło mój ból: pierwszy przeblysłk poczucia winy dorosłego. – Powinienem był ci powiedzieć.

Pracownica, która nas zobaczyła, nie była, formalnie rzecz biorąc, zatrudniona przez Kawano – była chrześcijanką, misjonarką z Zambii i jedyną w tym miejscu osobą, której nie spodobało się to, co robiliśmy.

Tego wieczoru przez siedem godzin siedziałam w ogrodzie niczym medytujący mnich. Chciałam wzbudzić u wszystkich przekonanie, że w reakcji na traumę po wyjeździe Tama zapadłam w katatoniczny stupor, lecz tak naprawdę było to czuwanie. Poradziłam sobie z emocjonalnym ciężarem utraty Tama, robiąc coś fizycznie wymagającego. Zanim zaszyłam się w ogrodzie, poszłam do gabinetu pielęgniarki, w którym Tam i ja spędzaliśmy nasze intymne godziny, lecz drzwi okazały się zamknięte. Na klamce wisiała plastikowa torebka. W środku była Biblia.

Po powrocie do pokoju zapatrzyłam się na rysunek mózgu przeobrażonego w morskie wybrzeże. Czy wszystko było iluzją? A może uroda tego obrazu była przypadkiem bez znaczenia, wynikiem spontanicznego aktu, którego źródłem był poranny posiłek albo nowe leki? Od tego momentu, patrząc na obrazy mózgu, widziałam ocean. Moja czaszka zawierała morze – wspomnienia i wiedza unosiły się na powierzchni, tonęły lub zawisały w toni; zdarzały się okresy wzburzonych bałwanów i szklistego bezruchu.

W trakcie tygodni, które nastąpiły po wyjeździe Tama, gromadziłam diagnozy, tak jak inne nastolatki gromadzą płyty CD. Aby dostać się z powrotem do doktora K, czytałam podręcznik diagnozy i statystyki zaburzeń zdrowia psychicznego *DSM-III-R* leżący na półce w pobliżu książek, z których Tam lubił przerysowywać, i kiedy natrafiałam na jakieś ciekawe zaburzenie, zapamiętywałam symptomy i zaczynałam je wykazywać. Oskarżyłam doktora K o spowodowanie u mnie kolejnego stresu pourazowego, co umożliwiło mu opublikowanie unikalnego studium przypadku. Z przyjemnością dostrzegłam na jego twarzy urazę i zaskoczenie, lecz kiedy bez słowa odwrócił się i odszedł ze zwieszoną głową, ze wstydu aż mnie zemdliło.

Ocalił mnie jego kolejny ruch. Doktor K powierzył mi pełnioną dotychczas przez Tama funkcję naczelnego ogrodnika. Uznałam to za podstępą sztuczkę, w najlepszym razie, a w najgorszym – za zemstę. Po kilku miesiącach ograniczania się do absolutnego minimum, niezdolna patrzeć na wybujale chwasty, nie mówiąc o ich pieleniu, zadałam sobie pytanie: „A gdyby Tam przyszedł w odwiedziny

i zobaczył ten ogród tak niekochany?”.

Ogród wymagał nieustannej uwagi, żądał, bym stała się jego częścią, dostosowała do jego cykli i idiosynkrazji, zwyczajów owadów, ślimaków i delikatnych pędów. Nic nie cieszyło mnie tak jak pielenie. Co za radość: wyskubać ścieżkę do czysta, przesypać i napowietrzyć ziemię, obserwować posłuszne i bezbronne rośliny uporządkowane w rzędkach, niepragnące niczego poza tym, by rozkwitnąć.

Zaczęłam rozmyślać o przyszłości. Najpierw były wyobrażenia o powrocie Tama, ale poszło dalej, aż do mojego możliwego zwolnienia. Do dwudziestych urodzin pozostały mi niecałe cztery lata. Wreszcie będę musiała wybrać obywatelstwo – Japonia nie zezwalała na posiadanie podwójnego. A może odbiorą mi prawo wyboru? Może zmuszą mnie do zachowania obywatelstwa Japonii, do zrezygnowania z amerykańskiego paszportu i do dożywotniego pobytu w zamknięciu?

Przyłączyłam się do ćwiczącej rankami grupy i zaczęłam truchtać. Szczerze tego nienawidziłam. Płuca mnie paliły, a przez te fałdy na bokach miałam wrażenie, że zaraz mi się rozerwie skóra na piersiach. Nie lubiłam biegać z chłopcami. Chwytałam się ogrodzenia z siatki i wymiotowałam, ale biegłam dalej. Moje ciało zdradziło mnie swoją brzydotą, tuszą i czarnym organem – chciałam je ukarać.

Tymczasem przyszło nieuniknione: poprawa. Nigdy dotąd nie obserwowałam u siebie tak szybkich postępów. To było takie proste – im więcej biegałam, tym więcej mogłam przebiec. Po raz pierwszy w życiu poczułam kontrolę nad własnym ciałem.

A ono zaczęło się zmieniać. Skóra straciła woskową fakturę. Przesypiałam noce i budziłam się z jasnym umysłem. Nie dostrzegłam jednak utraty wagi, dopóki nie wspomniał o niej doktor K.

– Wyglądasz jak inny człowiek – powiedział któregoś dnia. Podbiegłam do lustra i podciągnęłam do góry koszulkę. Pomarszczone fałdy na brzuchu rozpląły się w miękkie krągłości, odsłaniając pępek. Na twarzy ujawniły się kości policzkowe.

Biegałam dalej. Zaczynałam to kochać tak, jak nie kochałam nigdy wcześniej niczego – nawet paluszków sezamkowych, czekoladowych kulek i orzechowo-wiśniowych żab. Biegając, nie mogłam płakać. Uwielbiałam czuć, jak serce łomocze mi o żebra, uwielbiałam posługiwać się ciałem tak, jak zostało do tego stworzone: obsychający na skórze pot, który mnie chłodził, rozszerzające się płuca przekazujące do krwiobiegu to, co im podałam. Znalazłam sposób na uśmierzenie mrozącego krew w żyłach niepokoju. Kiedy biegałam, opadało ze mnie wszelkie zło. Zawsze zaczynało się od pościgu. Odkryłam, że moją ciemność można pochwycić, przyszpilić, wypędzić. Po sześciu miesiącach robiłam dziennie czterdzieści okrążeń wielkiego, nieutwardzonego podwórza. Liczenie kroków

pozwalalo mi biec dalej. Czarny organ znikal na wiele godzin.

Za plotem znajdowała się przegrodzona zaporą rzeka o zaśmieconych brzegach i górskie zbocze pokryte betonowymi umocnieniami podtrzymującymi drogę. Postanowiłam, że jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę, pojedę do Stanów Zjednoczonych, do jakiegoś czystego, nieuporządkowanego, zielonego miejsca, gdzie rządzi nie człowiek, lecz natura. Wysłałam pracownika socjalnego po informacje na temat college'ów i kiedy w broszurach Stanforda zobaczyłam zdjęcia Kalifornii, zakochałam się bez pamięci. Wyobrażałam sobie weekendy na plaży i granie we frisbee na łące z Nedelem Nickersonem pomiędzy zajęciami w oplecionych bluszczem budynkach. Nikt nie poznałby wcześniejszej wersji mnie. Tej wersji.

Zdałam egzaminy, napisałam eseje. Złożyłam papiery do kilku szkół, na co nalegał doktor K, który twierdził, że dostanie się na Uniwersytet Stanforda – podobnie jak dostanie się na Uniwersytet Tokijski – jest niemożliwe. Nie obchodziło mnie to; tak miało być. Skłoniłam go do wysłania mojej aplikacji z jego adresu w ekskluzywnej dzielnicy Aoyama. Nie chciałam, by komisja rekrutacyjna dowiedziała się, gdzie mieszkam.

Stanford mnie nie przyjął, podobnie jak Berkeley i UC San Diego, ale przyszła gruba koperta z Kolorado. Zostałam przyjęta do CU-Boulder, dokąd wysłałam aplikację tylko dlatego, że sądziłam, iż „K” oznacza „Kalifornia”. Zaoferowali nawet coś, co nosiło nazwę stypendium Przyjaciół Regionu Pacyfiku, co oznaczało, że będę musiała zapłacić jedynie wpisowe i jeśli tylko będę pilnować odpowiedniej średniej, otrzymam nieoprocenowaną pożyczkę i ofertę pracy dającej się pogodzić ze studiami. (Dowiedziałam się później, że pierwotna adresatka tego stypendium, koszykarka z Singapuru, zrekrutowana jako potencjalna gwiazda kobiecej drużyny Boulder, zmarła na kilka dni przed nadejściem mojej aplikacji; stypendium należało komuś przyznać, bo inaczej środki by przepadły, więc przyznano je mnie). Kolorado kojarzyło mi się wyłącznie ze śniegiem i górami, a narciarstwo wydawało się niezłym sposobem na połamanie moich nóg biegaczki. Rzuciłam kopertę na podłogę i wkopałam ją pod łóżko.

Parę tygodni później, na kilka dni przed moimi dwudziestymi urodzinami, nadszedł termin ostatecznej rozprawy. Mój ojciec nie wziął w niej udziału – doktor K powiedział, że występuje w Berlinie. Nieobecność Hiro przypieczętowała naszą *tegire* – separację. Dosłownie: zerwanie więzi. To, że była to forma tego samego czasownika – *kireru* – który mnie teraz określał, wydawało się właściwe.

Doktor K wyjaśnił mi, że wyjadę z Kawano niezależnie od wszystkiego, ale to od sądu zależało, czy zostanę zwolniona, zwolniona warunkowo, czy też pozostanę w zamknięciu. Życie w więzieniu, do którego wysyłano młodocianych przestępców po ukończeniu przez nich dwudziestego roku życia, było paskudne. Jedzenie podawano ci przez klapkę w ścianie i co tydzień robiono ci rewizję

osobistą.

Sędzia spojrzała na mnie; na jej twarzy nie było zwyczajowego u kobiet w tym zawodzie białego makijażu.

– Dla tego kraju jesteś obciążeniem finansowym.

Nie odrywałam wzroku od szarego dywanu.

– Jedyne, co do tej pory robiłaś, to było branie. Szarganie reputacji naszego systemu szkolnictwa publicznego. Niszczenie dobrej opinii twoich rodziców. Odebranie życia niewinnemu chłopcu. Co dałaś w zamian? Masz szczęście, że żyjesz w tak kulturalnym, przepelnionym współczuciem kraju. Państwo mniej cywilizowane za taką zbrodnię mogłoby cię skazać na śmierć. Sąd chciałby usłyszeć, jak dziękujesz ojczyźnie swojego ojca, wspaniałej Japonii. – Sędzia spojrzała na mnie twardo. – Teraz.

Przykazano mi, żebym pod żadnym pozorem nie zabierała głosu w sali sądowej, więc odwróciłam się do doktora K. Uniósł brwi i energicznie kiwnął głową w kierunku sędzi, jakby ta była uzbrojona i zażądała mojego portfela.

– Proszę przyjąć wyrazy mojej najgłębszej wdzięczności. – Użyłam najuprzejmiejszej możliwej formy, zalecanej przy pozdrawianiu cesarza.

Kiedy pod koniec się zająknęłam, usta sędzi drgnęły, układając się w cień uśmiechu.

– Twoja matka była Amerykanką. – Wymówiła to słowo tak, jakby wyczuła w zębach coś ohydneho. – Japończyk nie może mieć podwójnego obywatelstwa. Jako dziecko Amerykanki i obywatela Japonii musisz wybrać obywatelstwo, jakie przybierzesz po ukończeniu dwudziestego roku życia. Słyszałam, że otrzymałaś zaproszenie na studia w amerykańskim college’u. Sąd jest absolutnie przekonany, że powinnaś skorzystać z tej możliwości. Mówię o dawaniu i braniu. Najwspanialszym prezentem, jaki możesz w tym momencie dać temu krajowi, będzie twój wyjazd. Oznacza to oczywiście zrzeczenie się obywatelstwa japońskiego.

Gdy patrzyłam na jej usta układające się w te słowa, żelazne wrota w mojej piersi otworzyły się na oścież i runęła zza nich fala ulgi. Pragnęli mojego wyjazdu równie mocno jak ja. Mimo wymaganych w sali sądowej długich rękawów na ramionach wystąpiła mi gęsia skórka. Zacisnęłam zęby, by ukryć uśmiech, i obiecałam wyjechać do Stanów. Wyrecytowałam słowa skruchy wymagane ode mnie jako od przestępcy.

– Wychodzisz w świat, niosąc brzemień długu – powiedziała sędzia na zakończenie rozprawy. – Ale nie opowiedziałabym się za takim rozwiązaniem, gdybym uważała je za zbyt ciężkie do uniesienia.

Siódmego października 1996 roku wypełniłam formularz, który unicestwił Chizuru i przemienił mnie w Rio Akitani. Urzędnik od ubezpieczeń społecznych powiedział mi, że nie mogę zmienić nazwiska, ale imię nadane przez rodziców

mogę sobie zmienić na takie, jakie mi się podoba. Nie spotkałam się wcześniej z takim określeniem: „nadane”. Ojciec nazwał mnie Chizuru, czyli tysiąc żurawi. Wybór zadowolił jego rodziców i rozzłościł moją mamę. „Chciałam cię nazwać Rio – powiedziała mi. – To po hiszpańsku oznacza rzekę, a kiedy byłam mała, San Jacinto było moim ulubionym miejscem do zabawy. Poza tym to było idealne imię, dobrze się je wymawia po japońsku. Twój ojciec nie chciał jednak o tym słyszeć. Dla jego rodziców nie było «wystarczająco tradycyjne». Można by pomyśleć, że poślubiając mnie, złamał wszystkie oczekiwania związane z pielęgnowaniem tradycji! Ale było przeciwnie. Jakby musiał wychować cię w sposób, który zrekompensowałby wybranie sobie za żonę Amerykanki”.

Tuż przed moim *kireru* w sekretnym pudełku matki pojawił się album *Rio Duran Duran*. Gdy tylko mama miała pewność, że Hiro przez jakiś czas nie będzie w domu, kładła się między ustawionymi na podłodze głośnikami, jakby to były gigantyczne słuchawki. Najbardziej kochała piosenkę tytułową. Podczas tych spędzanych z nią chwil czułam się niepokonana. Rozpaczliwie pragnęłam być Rio i osiem lat później moje życzenie się spełniło.

To nie było łatwe – zostać rzuconą w wolność, w miejsce, w którym ludzie mówili tylko po angielsku, a ja musiałam kupować w weekendy jedzenie i sama je sobie przyrządzać, samodzielnie decydować, kiedy pójść spać, a kiedy się obudzić. Nigdy nie byłam tak samotna, ale wiedziałam, że dam radę. Bojąc się jakichkolwiek zmian, trzymałam się rozkładu z Kawano: wczesnym wieczorem do łóżka, wczesnym rankiem na nogach. Chodziłam na zajęcia. Uśmiechałam się, gdy było mi smutno. Przyjmowałam wszystkie zaproszenia. Ludzie byli... mili. Dorywcza praca polegała na siedzeniu za kontuarem w recepcji akademika dla magistrantów Wydziału Zarządzania. Ogłupiająca robota, ale studenci odnosili się do mnie z szacunkiem, jakby dostęp do skrzynek pocztowych i numeru gorącej linii do zarządcy budynku czynił ze mnie kumpla będącego w posiadaniu cennej wiedzy.

Moje półjapońskie pochodzenie wydawało się nie mieć tutaj szczególnego znaczenia, o ile nie liczyć pojawiającego się czasami pytania: „Skąd jesteś?”. Nawet ci, którzy pytali bezceremonialnie: „A ty skąd?”, robili to z autentycznej ciekawości. W Stanach wszyscy byli półczymś. Albo ćwierćczymś. Albo w ogóle nie mieli pojęcia kim. Kumplowałam się z Leslie, w której żyłach płynęła krew polska, angielska, walijska, niemiecka i rdzennie amerykańska. Sama mówiła o sobie „wioskowy kundel”. Podobało mi się, że ludzie zadawali sobie pytania, skąd pochodzą (w Japonii takie pytania były bezprzedmiotowe). Owszem, od czasu do czasu, zwykle w barach, faceci pytali mnie, czy byłam gejszą, a raz kelner przyniósł mi pałeczki – do tostów i jajek w koszulkach. Ludzie zakładali, że jestem Chinką, czasem że Koreanką, ale do głowy by mi nie przyszło, żeby się na to skarżyć – w każdym razie nie wtedy. Irytowałam się tylko wówczas, gdy

poprawiwszy kogoś, słyszałam w odpowiedzi: „A co za różnica?”. Ten rodzaj rozmyślnej ignorancji momentalnie rozdrażniał czarny organ.

Gdy byłam dzieckiem, w Japonii nie posługiwano się pojęciem rasizmu. Rasizm w wersji amerykańskiej, z którym się przecież spotykałam, wydawał mi się uroczy i naiwny w porównaniu z tym, co przeżyłam jako *hafu*. Ludzie w Stanach bywali niedouczeni, ale rzadko okrutni.

Wstąpiłam do klubu biegaczy Sole Train i zaczęłam eksplorować ścieżki i lasy. Uroda gór i drobne polne kwiatki, które każdej wiosny potrafiły umaić ziemię, kazały mi wierzyć, że i ja potrafię zapomnieć o tym, skąd pochodzę.

Studiowałam biologię i od razu zapisałam się na kurs pielęgniarstwa. Musiałam się uczyć bardzo systematycznie, wkuwając nazwy wszystkich mięśni, kości, chorób i objawów, by wyrzucić je z siebie siedem miesięcy później, a potem jeszcze raz, po upływie roku. Przypominało to uprawianie wielkiego ogrodu. Na ścianie sypialni powiesiłam rysunek Tama.

Sala poznałam w trakcie pierwszego roku mojej nauki w szkole pielęgniarstwa na wycieczce zorganizowanej przez naszego wspólnego znajomego. Robił magisterkę z matematyki stosowanej. Przyjechał z Chicago, gdzie od pokoleń mieszkała włoska strona jego rodziny, i twierdził, że w jednej z dzielnic ma aż sześćdziesięciu siedmiu kuzynów w promieniu trzech kilometrów. Chodziliśmy wśród drzew, jakich nigdy wcześniej nie widziałam, a ich liście drżały, tak jak falujące nad drogą gorące powietrze. *Populus tremuloides* – topola osikowa. Sal wyjaśnił mi, że jej liście są wyjątkowe: ogonki w miejscu połączenia z blaszką nie były w przekroju okrągłe, lecz płaskie, a to umożliwiała swobodny ruch, co Sal zademonstrował na przykładzie swojej dłoni. Na wietrze, jak mi powiedział, liście przypominają konfetti. Świętowanie. A kiedy wiatr powieje mocniej, wydają dźwięk, który brzmi jak oklaski.

Zaszłam w ciążę, jeszcze zanim się pobraliśmy. Zrobiłam dyplom i zdałam państwowy egzamin licencyjny pozwalający mi na podjęcie pracy dyplomowanej pielęgniarstwa. Gotowa byłam dotrzymać obietnicy złożonej sędzi i uczynić swoim zajęciem troskę o innych. Dawanie. Jednak prawdziwy cel w życiu dała mi dopiero Lily. Zanim się urodziła, miałam wobec dzieci, łącznie z tym rosnącym we mnie, bardzo mieszane uczucia. Kiedy się pojawiła, wpadłam w zachwyty – i obsesję. Zamartwiałam się, że robi za dużo albo za mało kupy, że szczebelki w łóżeczku są rozstawione zbyt szeroko, co grozi utkwieniem między nimi główki, lub zbyt wąsko, co grozi uwięzieniem rączki. Bałam się, że ta ciemna zgnilizna wewnątrz mnie mogłaby przesaczyć się do niej. Wystarczyło, by zapłakała, a serce ścisnęło mi się boleśnie, bo byłam pewna, że gdyby nie moje geny, Lily byłaby wiecznie szczęśliwa.

Ona jednak nigdy długo się nie smuciła, a zamartwiona przyjmowała postawę prostolinijnie stoicką, zanim jeszcze dowiedziała się o jej istnieniu.

Na moją nerwową nadopiekuńczość zareagowała szybko rosnącą niezależnością. Wcześniej zaczęła chodzić, a stanawszy na nogach, wyszukiwała najbardziej niedostępne miejsca. Bycie rodzicem napełniało mnie w równej mierze zachwytem co przerażeniem, choć byłam pewna, że oba te stany przeżywam nienormalnie mocno. Nie przeszkadzało mi to. Dzika miłość do Lily tak silnie zakorzeniła mnie w teraźniejszości, że przeszłość wydawała się bez znaczenia. Historia z dzieciństwa mogłaby być historią kogoś zupełnie innego, zwariowaną anegdotą o dalekiej kuzynce z zagranicy.

Czas płynął. Nietrudno było zapomnieć. Długo wierzyłam, że to potrafię.

Wiadomość o drugiej, ostatecznej śmierci ojca dociera FedExem.

Pchnięciem otwieram drzwi wejściowe i dostaję w twarz aromatem czosnkowej marynary Sala.

– Pachnie oszałamiająco! – wołam i kopnięciem zrzucam buty w przedpokoju.

Mam szczęście: mój mąż lubi gotować i codziennie wychodzi z pracy przed czwartą. Teraz wystawia głowę z kuchni i macha mi z drewnianą łyżką w ustach. Ciemne włosy zasłonił sobie niebieską bandaną.

Lily siedzi na kanapie, chude nóżki podciągnęła do piersi, ramionami otoczyła kolana – moja córka origami. Długie prostokątne pudełko leży między nią a zwiniętym kotem. Futro Bajgla przybrało miejscami kolor czekoladowy, przez co z każdym rokiem nasz kot coraz bardziej przypomina bułeczkę cynamonową. Mruży oczy i na powrót zasypia, niezbyt przejęty moim powrotem.

– Z Japonii – mówi Lily, po czym uwalnia dłonie i podnosi pudełko. Potrząsa nim tak, jak się to robi przy okazji świąt i urodzin. – Papiery i coś długiego, jakby ogromniasta pałeczka. Tata nie pozwolił mi otworzyć. Co zamówiłaś?

Mój apetyt znika, jakby go ktoś wyssał.

Siadam obok Lily i całuję ją w czubek pachnącej brzoskwinia główki. Przytula się do mojego ramienia. Ma jedenaście lat, nie jest już dzieckiem, ale i nie jest jeszcze młodą kobietą, a pomiędzy nie ma nic pośredniego; bycie jedenastolatką oznacza chaotyczne i przypadkowe przeskakiwanie od jednego stanu do drugiego. Zdarzają się takie dni – takie chwile – gdy napotykamy ciekawskie, kochające dziecko. Kiedy indziej zostaje tylko opryskliwy, apatyczny podrostek. Biorę od niej pudełko i po raz pierwszy żałuję, że nie jest to jeden z jej apatycznych dni.

Logo FedExu częściowo zasłaniają czerwone i zielone naklejki. Japoński adres zwrotny. Na odcinku nadania widnieje wypisany drukowanymi literami nasz adres i nazwisko „Rio Silvestri”. Wstaję, skupiam na nim wzrok; pociągnięcia flamastra wydają się wyostrzać i unosić ponad płaszczyznę pudełka. To niemożliwe.

Opuściłam Japonię jako Chizuru Akitani. W tamtym kraju wszyscy powinni być przekonani, że nadal się tak nazywam. Chizuru zrzekła się japońskiego obywatelstwa. Rio Silvestri to nowa ja – Amerykanka. Tak to działa: nikt w Stanach nie wie o Chizuru, nikt w Japonii nie wie o Rio.

– Dokąd idziesz? – pyta Lily.

Jestem już u stóp schodów prowadzących do naszych sypialni. Pokonuję po dwa stopnie naraz, ściskając pudełko w dłoni.

– Otwórz tutaj! Chcę zobaczyć!

Zatrzymuję się i patrzę na nią.

– Paczka jest zaadresowana do mnie.

Mówię to tonem ostrzejszym, niż zamierzałam.

Już ma zacząć jęczeć, ale w ostatniej chwili przyobleka twarz w wyraz obojętności.

– Słabo – obwieszcza.

Wie, że nie znoszę tego słowa. Włącza telewizor.

– Hej! – woła za nią Sal z kuchni. – Pamiętasz, co mówiliśmy na temat odnoszenia się do innych?

Lily wbija wzrok w ekran, udając zainteresowanie reklamą męskiego żelu pod prysznic. Normalnie poprosiłabym, żeby na nas spojrzała, jak zaleca podręcznik wychowywania dzieci. Ale nie mogę tego zrobić. Nie mogę zrobić nic, dopóki nie dowiem się, co trzymam w ręku. Szybko idę korytarzem do naszej sypialni.

Może to kwestia wieku, może czegoś innego, ale nie ekscytuję się już tak jak kiedyś. Czarny organ, przyuczony do posłuszeństwa moim bieganiem, wycofał się jeszcze bardziej, gdy urodziła się Lily. A jednak wciąż tam jest, wyczuwam go teraz, tuż za sercem. Sal unika drażnienia go – instynktownie czy dzięki łutowi szczęścia – zaś Lily przeciwnie: świetnie wie, jak mnie wkurzyć. Wie też, że jeśli podczas kłótni muszę wyjść z pokoju, to wygrała. Oddaję jej te zwycięstwa z radością. Nigdy nie zobaczy swojej matki tracącej panowanie nad sobą.

Na dole Sal mówi do Lily coś, czego nie słyszę. Sekundę później woła:

– Robisz zapas shurikenów, Ri? Musiałem podpisać w trzech miejscach, zanim facet wydał mi to coś.

Sal nie wie o mnie wszystkiego. Może dotyczy to wszystkich mężów i żon? Na pewno w każdym z nas są miejsca niedostępne – miejsca, które mało kto by zrozumiał. Doszłam do wniosku, że w małżeństwie chodzi o to, by znaleźć kogoś, kto zrozumie właściwe rzeczy – bez zagłębiania się w te niewłaściwe. Dotrzytałam złożonej sobie obietnicy. Sal nigdy nie usłyszał o Chizuru Akitani – dziewczynie, która pękła.

Zamykam drzwi i z kubka na komodzie chwytam nożyczki, którymi Sal przycina sobie brodę. Leciutki nacisk i brązowa taśma oklejająca pudełko się przerywa. Sal ostrzy te nożyczki co sześć tygodni, w niedzielę, razem z kuchennymi nożami. W swoim kalendarzu oznacza te daty spiczastym ostrzem.

Unoszę pokrywkę na zawiasie, do której lekko przysysa się leżący w środku wydrukowany list.

Prawnik zapewnia mnie łamaną angielszczyzną – „Pan Akitani nie czepiał długo, umarł w pokoju” – że wszystko wydarzyło się szybko. Zdołał się posłużyć prawidłowym słownictwem medycznym: zawał serca. Wypuszczam powietrze

z płuc i zapadam się w kołdrę. Żadnych kłopotów. Zmarł mój ojciec, to wszystko.

Odkładam list na bok i wyjmuję z pudełka banknot o nominale dziesięciu tysięcy jenów złożony w kształt motyla. Jestem zaskoczona, że trzymał go tyle lat.

Unoszę motyle skrzydła i pozwalam im z powrotem opaść. Hiro nie ufał bankom. To dziwactwo, w połączeniu z jego roztargnieniem, oznaczało pieniądze walające się po całym domu. Kiedyś, jako dziecko, otworzyłam swoje pudełko origami i znalazłam w nim stosik gładkich banknotów. Złożyłam z nich łabędzie i umieściłam je w niewysokiej niszy w salonie przeznaczonej dla świętych przedmiotów. Przez wiele tygodni nikt nie zauważył leżącej na widoku równowartości trzech tysięcy dolarów. Kiedy nasz Żywy Skarb Narodowy (mówiąc o nim z mamą bez świadków, często posługiwaliśmy się tym absurdalnym tytułem, który, o czym dobrze wiedziałyśmy, w głębi serca napełniał go dumą) był w dobrym nastroju, wręczał mi plik banknotów wyciągnięty z torebki po ryżu albo z pudełka na buty i mówił: „Proszę! Dziecko, które czerpie przyjemność z pieniędzy, nie wydając ich!”. Oczywiście, gdy byłam już starsza i marzyły mi się komiksy i rozmaite gadzety, nigdy nie dał mi tyle, by starczyło na coś więcej niż słodka bułeczka.

Kładę motyla na liście od prawnika i zaglądam z powrotem do pudełka. Dzieli je po przekątnej przedmiot, który Lily nazwała pałeczką. Smyczek mojego ojca. Przesuwam palcem po gładkim fernambukowym drewnie.

W okresach, gdy mój ojciec przyjeżdżał do naszego domu w Tokushimie, bo akurat nie grał z orkiestrą w Tokio, czyszczenie smyczka było moim cotygodniowym obowiązkiem. Poświęcałam godzinę – znacznie więcej, niż było konieczne – na wydobywanie kalafonii spomiędzy włosów pochodzącego z ogona jakiegoś mongolskiego konia, polerowanie prętu i żabki. Nigdy nie odezwał się słowem, kiedy oddawałam mu smyczek w nieskazitelny stan. Gdy jego podróże stały się dłuższe i częstsze, gdy całe tygodnie zaczął spędzać w swoim tokijskim mieszkaniu, celowo zostawiałam czasem odrobinę wosku, by sprowokować go do jakiejś reakcji. Na mamę ciągle się wściekał, nazywając swoją amerykańską żonę „zachodnim demonem”, ale ja musiałam się napracować, żeby zaleźć mu za skórę. Gdybym tylko potrafiła wzbudzić w nim taką namiętność, jaką wzbudzała moja matka! W porównaniu z obojętnością gniew wydawał się darem.

Co zrobił ze skrzypcami? Oddzielanie smyczka od instrumentu nie wydawało się słuszne.

Podczas mojej drugiej i ostatniej w dzieciństwie podróży do Stanów Zjednoczonych usłyszałam kiedyś w Nowym Jorku, jak jakiś gruby mężczyzna w smokingu określił mojego ojca mianem arcysłuchacza. Jak kucharza, którego smak jest tak wysubtelniony, że potrafi wyczuć w wielkim garze odrobinę papryki. I miał rację. Nasz Żywy Skarb Narodowy (czy – bardziej oficjalnie – *Jūyō Mukei Bunkazai Hojisha*, Obrońca Istotnego Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego)

był niezwykle czuły na dźwięki i słyszał muzykę w najdziwniejszych miejscach. W ciężarówkach, które krążąc po mieście w czwartkowe poranki, zbierały śmieci do spalenia (ale nie w tych, które w piątki zabierały te niepalne). Słyszał rytm synkopowany, gdy mama zmywała naczynia. A przy tym był równie wrażliwy na to, co nie rezonowało, na to, co określał mianem *sazameki* – wrzawy. Dźwięk długopisu, którym sunęłam po stronie zeszytu, wypędzał go z pokoju, ale odprężał się, gdy pisała moja matka. Przypisywał ludziom muzyczne interwały. Gdy udało mi się go zirytować, wygwizdywał mój: trzy tony, „interwał diabła”, dźwiękową awanturę emitowaną zwykle przez karetki. Powiedział mi, że różnica wysokości między tymi dźwiękami wiodła ludzi do walki, do zniszczenia, do zabijania. Do mnie należał interwał, który mogłby zapoczątkować wojnę.

Na dnie pudełka leży kartka wyrwana z notatnika. Stronę pokrywa japońskie pismo. Drobne, precyzyjne znaki mojego ojca.

Dzięki YouTube'owi wiem, że wciąż jeszcze nieźle rozumiem mówioną japońszczyznę, ale moja umiejętność czytania *kanji* przepadła. Prawdopodobnie utraciłam – z braku praktyki – nawet kompetencje trzecioklasisty, z którymi opuściłam Kawano.

Gapię się na kartkę, marząc o tym, by język ustąpił. Co chce mi powiedzieć? Nie mam pojęcia, jak mój ojciec spędził ostatnie dwadzieścia lat życia. Prześlizguję się wzrokiem po liście, lecz wyławiam znaczenie tylko kilku znaków: „dziesięć” i „drzewo”. I jeszcze ten oznaczający „zachód”, który wygląda jak butelka, i nazwę naszej prefektury – Tokushima, i coś jak przekreślone widły, *shi* – „miasto”. W głowie odzywa mi się echo słów ojca: „Jesteś Japonką. Musisz nauczyć się czytać i pisać *kanji* jak Japonka – nie tak niedbale jak twoja matka”.

Ten człowiek nawet po śmierci znalazł sposób na wytknięcie mi moich niedostatków.

Nie potrafię odczytać tego listu, ale prawdę mówiąc, to bez znaczenia, co w nim napisano. Nawet jeśli są to wyrzuty – odezwał się. Coś wysłał.

Smyczek, motyl, list. Oto, według prawnika, moja spuścizna. Mogę dotknąć tych przedmiotów, powąchać je, rzucić nimi o ścianę. Te przekazane mi rzeczy mają swoją wagę i kształt. Kruchość. Moje kolano mogłoby połamać smyczek. Pieniądze spłoną. Tak jak list.

Uroczysta ceremonia ku czci mojego ojca odbędzie się jutro w Tokio. Bardziej prywatny pogrzeb i świętowanie życia, zorganizowane przez jego przyjaciela Leonarda Veruttiego, zaplanowano za tydzień w małym mieście na wyspie Sikoku, gdzie się wychowałam, dając żałobnikom spoza Japonii czas na zorganizowanie podróży. Podano szczegóły dotyczące czasu i miejsca, załączono mapę prefektury Tokushima. Gapię się na linie oznaczające drogi i szosy mojego dzieciństwa, lecz nie potrafię ich połączyć z moim pierwszym domem – tak jak nie potrafię zrozumieć przesłania ojca. Osiągnęłam cel, który przez te wszystkie lata

dawał mi napęd: zostawiłam tamto życie za sobą.

Ale nie czuję dumy. W naszej przytulnie urządzonej sypialni, otoczona dowodami swojego sukcesu, czuję się tak, jakby ktoś wyciął dziurę w moim ulubionym swetrze. Czuję się jak ktoś, kim jestem: trzydziestoosmioletnia matka i żona z funduszem emerytalnym, domem na przedmieściu i volvo. Moje życie zostało zbudowane z myślą o bezpieczeństwie.

Ale tak musi być. Wiem, jak to jest: zostać opuszczonym, uznanym za coś gorszego od bezwartościowego śmiecia. Nikt z tych, których kocham, nigdy się tak nie poczuje.

Trzykrotnie byłam bliska powiedzenia Salowi prawdy o mojej przeszłości. Najpierw po ukończeniu mojego pierwszego maratonu, Boulder Backroads. Ten wyścig został owego roku zorganizowany po raz pierwszy i dla upamiętnienia obiecano wszystkim maratończykom, którzy wcześniej nie startowali w maratonach, a dobiegną na linię mety, naszyjnik z sosnowych szyszek. Na trzydziestym czwartym kilometrze zderzyłam się ze ścianą i wydawało mi się, że nie dam rady. Uczucie, jakbym miała nogi z mokrego piasku. Uda i sutki otarte do żywego. Stopy, byłam pewna, musiały wyglądać jak kawałki zbitego mięsa. Ale pomyślałam o podwórku w Kawano, o płocie, który nie pozwalał nam wyjść na zewnątrz, pomyślałam o tym, że przecież już wiem, jak oddzielić ciało od umysłu, i biegłam dalej. Na ostatnich pięciuset metrach biegaczy zagrzewała do walki grupa dudziarzy i rozkrzyczany, rozemocjonowany tłum. Jak na przyjęciu powitalnym.

Sal i ja spotykaliśmy się od ledwie kilku tygodni. Czekał na linii mety mimo padającego tego dnia ulewnego deszczu. Wpadłam mu w objęcia, zgniatając dzielące nas szyszki, a on zarzucił mi przeciwdeszczową pelerynę na ramiona, naciągnął kaptur i otarł mi wodę i pot z twarzy. Dudy wyśpiewywały radość i żalobę. Podniosłam na niego wzrok i poczułam, jak w mojej piersi coś się zapada, lecz gdy otworzyłam usta, żeby o tym powiedzieć, nie potrafiłam nabrać powietrza. Moment minął.

Za drugim razem to była noc przed naszym ślubem, za trzecim chwila, w której dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Za każdym razem próbowałam się wcześniej zebrać w sobie. „Jest coś, co muszę ci o sobie powiedzieć” – powtarzałam. „Kiedy miałam dwanaście lat...”. Ale choćbym nie wiedzieć jak długo się przygotowywała, nigdy nie zmusiłam się do tego, by zacząć, więc wycofywałam się w pełne wstydu i frustracji milczenie.

Schodzę po schodach, licząc rytm uderzeń i skrzypnięć. Raz, dwa, skrzypnięcie, cztery, pięć, sześć, siedem, pisk, skrzyp, dziesięć, głośne skrzypnięcie, dwanaście, podłoga.

– Zmarł mój ojciec – mówię.

Lily odwraca wzrok od telewizora.

Sal wychodzi z kuchni i prosi, żebym powtórzyła. Mocno mnie obejmuje.

Wie, że moja relacja z ojcem była trudna, że ostatni raz rozmawiałam z nim jako nastolatka. Ale wie również, że w tym momencie to nie ma znaczenia.

– Mój dziadek? – pyta Lily. – Ten z Japonii?

– Tak, kochanie. Właśnie tego dotyczyła przesyłka. Jego prawnik wysłał mi kilka dokumentów i przedmiotów. – Wyciągam rękę i Lily do mnie podchodzi.

– Czy prawnik wysłał ci jego pałeczki?

Śmieję się.

– To był smyczek dziadka. Wiesz, że grał, prawda?

W zeszłym roku Lily przechodziła fazę grania na gitarze, a ja zastanawiałam się przez moment, czy nie odziedziczyła uzdolnień po dziadku. Nie lubiła jednak ćwiczyć gam i narzekała, że granie piosenki nie jest nawet w połowie tak fajne jak jej słuchanie. Doskonale ją rozumiałam i poczułam taką ulgę, że pozwoliłam jej zrezygnować szybciej, niż zapewne należało.

– Jak zmarł? – zapytała.

– Serce przestało mu bić.

– Dlaczego?

Dobre pytanie. Miał zaledwie sześćdziesiąt cztery lata.

– Nie wiem.

– Czy jest coś, co powinniśmy zrobić? – pyta Sal. – Posprzątać dom, spotkać się z jego prawnikiem? – Nie wie wszystkiego, ale orientuje się, że jestem jedynaczką, a moja matka od dawna nie żyje. A ja wiem, że nie uszczęśliwi go pomysł trzepoczący się w mojej głowie jak letnia burza.

Mogę jechać. Chcę jechać. Sama.

– Chyba niewiele zostało do zrobienia. Ale myślę, że dobrze byłoby pojawić się na pogrzebie.

– Pewnie możemy nie wysyłać Lily na obóz. Nie wiem, czy tak w ostatniej chwili można liczyć na jakiś zwrot...

Czuję, jak Lily sztywnieje pod moim ramieniem.

– Nie. Pojadę sama.

Sal jest zaskoczony.

– Dlaczego nie...

– Wyjdzie za drogo, bilety lotnicze dla całej naszej trójki kupowane na ostatnią chwilę, a poza tym Lil by się wkurzyła, gdyby przepadły jej Reel Girls, prawda?

Przyciskam ją do siebie, a ona kiwa głową. Zapłaciliśmy już za ten dwutygodniowy obóz w Los Angeles, którego organizatorzy obiecują zrobienie z młodych kobiet kolejnej generacji reżyserów filmowych. To będzie jej pierwszy prawdziwy obóz. Kiedy powiedzieliśmy jej, że może jechać, skakała po całym salonie, śpiewając kotu *Let's Go to the Movies*. Przez wiele dni potem obdarzała Sala i mnie spontanicznymi uściskami. Byłam dumna z jej odwagi, dumna z tego,

że wychowaliśmy dziecko, które nie boi się nowych doświadczeń, nowych ludzi. Jako równolatka Lily żyłam w zamkniętym pokoju zamkniętego budynku ogrodzonego drutem kolczastym. W miejscu, do którego, jak wierzyłam, najlepiej pasuję.

Sal co kilka lat wysuwa pomysł rodzinnego wyjazdu do Japonii. Jest ciekaw tego kraju – w jego wyobraźni składa się on ze świątyń, bambusów i nieokiełzanych neonów. Sądzi, że Lily powinna zobaczyć miejsce, w którym wychowała się jej matka.

Nie to żebym nie myślała o powrocie. Mam sny o Japonii, z których nie zapamiętuję obrazów ani historii, tylko po prostu budzę się z poczuciem, że tam byłam. Konkretniej, że byłam tam i biegłam. Nigdy ku czemuś ani od czegoś, co potrafiłabym zidentyfikować – to bardziej wrażenie ruchu czy... pokonywania przestrzeni. I naprawdę jestem ciekawa tego, jak zmieniła się Japonia – i ja. Jak postrzegaliby ją Lily? Jednak za każdym razem, gdy Sal wspomina o wyjeździe, torpeduję jego pomysł. To takie drogie. Nie wiem, kogo mielibyśmy tam odwiedzić. Lily jest jeszcze za mała, żeby sprawiło jej to przyjemność. Straszny tłok. Właśnie mają Puchar Świata, święto *O-bon*, Nowy Rok i to koszmarny czas na podróż.

Prawdziwe powody są zbyt istotne i zbyt intymne. Mogłabym wpaść na mojego ojca. Owszem, niewielkie szanse, ale było to możliwe. Na pewno powiedziałby coś okropnego. A może powiązaliby moje nowe nazwisko ze starym i zawrócili mnie na lotnisku, ujawniając mój status – osoby niepożądanego i niemile widzianego – mojemu mężowi i córce? Mogłabym, niezdolna stawić czoła wspomnieniom, stracić nad sobą panowanie. Musiałabym wszystko wytłumaczyć. Nie warto było ryzykować.

Ale teraz... teraz mogę już ruszać. Strażnik, Nasz Żywy (już nie!) Skarb Narodowy, odszedł. Wartownik opuścił swoje stanowisko.

Sal kiwa głową w stronę telewizora.

– Lil, kochanie, skończ oglądać swój program.

Lily była jeszcze na tyle mała, że nie obchodziło jej, gdzie spędzamy wakacje. Zachwyciły ją nasze letnie wyjazdy do Chicago i na jej ukochaną North Avenue Beach. Jeśli nie liczyć filmu *Mój sąsiad Totoro*, który jako mała dziewczynka uwielbiała (i nadal uwielbia), nie okazywała zaciekawienia Japonią ani jakimkolwiek innym obcym krajem. A jednak obawiam się, co się stanie, gdy się zainteresuje. Nie chcę ukrywać Japonii przed nią ani przed Salem. Tajemnicą musi pozostać tylko to, kim w niej byłam.

Wychodzę za Salem do kuchni, mijając stolik z rozłożonymi puzzlami. Elementy leżą na nim w układzie z pierwszego dnia, podzielone na stosiki kategoriami – brzeg, bagażnik, idealne, różne, a do tego nieskategoryzowane kawałki, które Sal nazywa kawałkami Lily. Kiedy poznałam Sala, założyłam, że to

uniwersalna taksonomia. W życiu układałam puzzle zaledwie kilkakrotnie i żadne nie były tak wielkie jak te, nad którymi Sal uwielbia przesiadywać w weekendy albo podczas oglądania filmu. Jednak dopiero wtedy, gdy Lily wróciła do domu z mieszkania przyjaciółki, skarżąc się, że dziewczynka nie miała pojęcia, czym jest kawałek z kategorii bagażnik, uzmysłowiłam sobie, że to było prywatne nazewnictwo mojego męża.

W kuchni Sal opiera się o wykładany kafelkami blat. Wiem, co powie.

– Dlaczego nie chcesz, żebym pojechał?

Zabranie go ze sobą byłoby początkiem serii pytań rozpoczynającej się od: „Dlaczego nikt z obecnych na tym pogrzebie cię nie rozpoznaje?”.

– Łatwiej będzie mi się uporać z tym samej. A poza tym nie chciałabym, żeby twoje pierwsze wrażenia z Japonii były wrażeniami z pogrzebu.

– Mężowie jeżdżą na pogrzeby ojców swoich żon. Potrzebujesz mieć kogoś przy sobie.

Sal szczyci się, że jest Dobrym Mężem, prawdziwym ojcem rodziny. Zwykle to w nim uwielbiam, ale nie zawsze. Kilka tygodni temu na zachodnim skraju Boulder, niedaleko nas otwarto osiedle o nazwie Tuscany Terrace. Ulice noszą nazwy w rodzaju Chianti Circle albo Gondola Way, na bramie wjazdowej z kutego żelaza splatają się dwie złote litery T. Sal wspomniał mimochodem, że byłoby to idealne miejsce do życia dla małej („ale może rosnącej?”) rodziny jak nasza – „tak wiesz, hipotetycznie”. Pomyśl o wszystkich tych nowych urządzeniach, w jakie wyposażają te domy, wyobraź sobie lodówkę i piekarnik ze stali nierdzewnej. Granitowe blaty! Jego zainteresowanie takim sztucznym tworem zezłościło mnie. Powiedziałam mu, że nie można kupić miejsca w dzielnicy idealnych żyć. Roześmiał się. Tej nocy w łóżku wyobraziłam sobie moje ciało jako teren pod zabudowę. Oto osiedlowa siłownia, oto basen dla mieszkańców. Dziewczyna, która zabiła Tomoyę Yu. Pielęgniarka. Żona. Matka. Biegaczka.

– Ale ty jesteś przy mnie – mówię.

Gestem wskazuję kuchenną wyspę, na której stoi drewniana miska do sałaty wypełniona po brzeg liśćmi szpinaku i pokrojonymi w kostkę pomidorami czekającymi na doprawienie słynnym borówkowo-miętowym winegretem Sala. Każda serwetka w tym domu jest zaplamiona tym dressingiem i są to jedyne plamy, które mi nie przeszkadzają. Lily od małości przepadała za „niebieską mieszanką” Sala. Kalafior, brukselka – byle je nim oblać, zjadała wszystko. Wbrew naszym radom połała nim kiedyś stertę naleśników i pochłonęła je do ostatniego. Czekam na dzień, w którym przyzna, że to było ohydne.

– Nie musisz podejmować tej decyzji od razu. To nie szpital.

– Tak się składa, że potrafię podejmować decyzje bez rozważania wszystkich możliwych wyjść, wypisywania plusów i minusów oraz sprawdzania miliona stron internetowych. – Żartuję, ale nie zostaje to przyjęte z humorem. Dotykam jego

ramienia. – Daj spokój. Wiem, jak się czuję. To nie jest pochopność, tylko sprawność.

Patrzy na mnie wymownie.

– Jeśli pojedziesz beze mnie, stracimy ten miesiąc.

Sal od lat chce mieć drugie dziecko. Żartuje, że jak już będziemy mieli drugie (w jego przykładzie to zawsze chłopiec), już tylko zero przecinek pięć dziecka i płótek ze sztchetek będą nas dzielić od realizacji amerykańskiego snu. Dwa miesiące temu powiedział mi, że jeśli wkrótce nie zaczniemy się starać, to naprawdę będzie tego żałował. Więc zaczęliśmy. W każdym razie on tak sądzi.

– Wiem. Ale to tylko miesiąc.

Lily woła z salonu:

– Kiedy będziemy jedli?

Sal chwytą dwa widelce i zaczyna mieszać sałatę. Liście szpinaku wylatują z misy. Nie patrzy na mnie. Podnoszę liść, który spadł na podłogę, ale Sal nie przestaje mieszać i z misy wypadają następne liście.

– A w ogóle dobrze się czujesz? – pyta.

Żałuję, że tak musi być. Żałuję, że nie mogę mu powiedzieć. Ale nie da się mieć wszystkiego.

– W porządku – mówię, kiedy Lily wchodzi do kuchni. – Poważnie, naprawdę w porządku.

Kiedy oni już leżą w łóżkach, schodzę na dół do komputera, ostrożnie przesuwając się bokiem obok stolika z puzzlami.

Nowe puzzle to Springbok – jak zwykle. Sal nie przynosi swoich ręcznie wycinanych układanek do domu, o ile nie testuje poziomu trudności albo nie dostrzeże jakiejś nieprawidłowości w wycięciu. A springboki są dla niego tym, czym zwykła tabliczka czekolady dla dorosłego, który ma dostęp do najlepszych belgijskich pralinek. Były jego pierwszą miłością. Układał je ze swoim ojcem, który układał je ze swoim ojcem i tak dalej, aż do czasów wielkiego kryzysu, kiedy puzzle były formą taniej, nadającej się do powtórnego użycia rozrywki. W mieszkaniu rodziców Sala we włoskiej dzielnicy wisi zdjęcie pradziadka Sala i grupki młodych ludzi układających puzzle na werandzie domu przy Taylor Street. Ojciec Sala zarzeka się, że jednym z mężczyzn jest Al Capone. Dla Sala dom nie jest domem, dopóki nie stanie w nim kwadratowy stół z leżącymi na nim na wpół ułożonymi puzzlami.

Siadam i zabieram się do szukania biletów lotniczych. Ekran wypełnia się opcjami. Jeśli chcę, mogę wylecieć jutro. Od pięciu lat nie byłam ani dnia na zwolnieniu. Jeśli Lily jest zbyt chora, żeby pójść do szkoły, w domu zostaje z nią Sal, więc uzbierały mi się całe tygodnie wolnego. W Japonii mogę być za dwa dni, licząc od tej chwili. Bez sensu. Powinien być jakiś najeżony kolcami mur do zdobycia.

Paszport leży w biurku, na dnie szuflady, w metalowym pudełku. Otwieram sztywną niebieską okładkę. Zdjęcie zrobiono osiem lat temu w jakimś małym punkcie fotograficznym przed naszą pierwszą i jedyną rodzinną podróżą zagraniczną, do Cancún. Skórę mam gładką, a czoło błyszczące. Zapomniałam: miałam kiedyś tłustą cerę. Teraz, jeśli nie posmaruję jej grubo kremem Olay, czuję się tak, jakbym miała na twarzy maskę, która zaraz pęknie.

Starzeję się – we wrześniu skończę trzydzieści dziewięć lat. A ponieważ chcę, żeby Sal był szczęśliwy, demonstracyjnie wyrzuciłam pigułki antykoncepcyjne. Kompletnie go zatkało i przez chwilę nawet się zastanawiałam, czy nie zostawić ich w śmieciach, ale nie zrobiłam tego, tylko przypominałam sobie, jak paskudnie czułam się w ciąży, jak czasem poranne mdłości uniemożliwiały mi trening i jak po pierwszym trymestrze, kiedy wreszcie ustąpiły, musiałam nosić pieluchę, bo tak często siusiałam i zdarzało mi się popuszczać. Wystarczyło dodać jeszcze najzwyklejsze zaangażowanie, którego to wszystko wymaga, i... Było jasne, że potrzebuję po prostu trochę więcej czasu. Przestrzeni do namysłu. Ta podróż mogła mi ją dać.

Słyszę skrzypnięcie na szczybie schodów. Lily.

– Mamo? Jak to możliwe, że nie jest ci smutno?

Wchodzę do niej po schodach.

– Kochanie, jest mi smutno. – Prowadzę ją do jej pokoju. – Od dawna nie widziałam się z twoim dziadkiem. Chyba myślę o tym, jak byłam małą dziewczynką i spędzałam z nim miłe chwile. Cieszę się tymi wspomnieniami.

Opatulam ją i siadam obok niej na łóżku. Bajgiel leży w swojej zwykłej pozycji, rozciągnięty na plecach obok jej poduszki. Śpi z nią, odkąd Lily dostała pierwsze duże łóżko, kiedy on był jeszcze kociakiem.

Lily przygryza wargę. Stary nawyk. Nawet jako dziecko walczyła z łzami. Dotykam kącika jej ust i odpręża się.

– Czy tatuś umrze?

– Och, Lil. Mój tata był stary i chory. Twój tata jest zdrowy i będzie żył jeszcze bardzo, bardzo długo. Będiesz tak stara jak ja, a on nadal będzie się tu z tobą droczył.

– Nigdy nie będę aż tak stara – mówi Lily, uśmiechając się szeroko. Drapię ją w piętę, wdzięczna za moje słodkie, zdrowe dziecko, wdzięczna, że ma ojca, który nigdy nie dopuści, by cokolwiek usunęło go z jej życia.

Kiedy zaczęłam się spotykać z Salem, wyczułam, że dostrzegł we mnie coś, czego tam nie było, jednak w końcu jego wiara przewyciężyła moją wiedzę, a ja sama stałam się weselszą, bardziej beztruską osobą. Miałam wrażenie, jakby proponował mi pewną rolę do odegrania. Bez wątplenia nasz wzajemny pociąg do siebie był prawdziwy. Uwielbiałam to, że potrafił mnie podnieść i nosić, uwielbiałam, jak się roznamiętniał, mówiąc o budowaniu różnych rzeczy, różnych

rodzajach drewna, cudownych możliwościach wycinarek laserowych. Śmiałyśmy się przy tych samych programach telewizyjnych, lubiliśmy te same zespoły. „Chcę stworzyć coś dobrego” – powiedział mi na naszej trzeciej randce. Byliśmy w Gino’s, pizzerii, w której kucharze ciskali ciastem w powietrze, a wino podawano w karafkach. Wciąż tam jadamy. „Zwykłego. Szczęśliwego. Cichego”. Tego wieczoru się w nim zakochałam i tego wieczoru pierwszy raz się kochaliśmy. Powiedziałam mu, że chcę tego samego co on. Czułam się tak, jakby coś uchodziło mi płazem, i powiedziałam mu o tym, gdy skończyło się wino. Sal odparł, że tak właśnie smakuje szczęście.

Puszczam stopę Lily. Znow zaczyna przygryzać wargę. Coś ją gnębi.

– Przepraszam, że powiedziałam „słabo”.

Cmokam ją głośno w czoło.

– Dziękuję, Lil. Lepiej się z tym czuję. Bardzo cię kocham, wiesz o tym?

– Wiem. – Zaczyna cicho nucić jakąś przypadkową chyba melodyjkę.

Zawsze nuciła sobie nieświadomie, gdy czuła się bezpieczna i zadowolona.

Wycofuję się z pokoju, nie do końca zamykając za sobą drzwi. Lily to lubi i ja też. Ta szczelina między drzwiami a framugą wydaje się z każdym tygodniem zwężać. Wkrótce Lily zacznie zamykać drzwi. Na zamek.

Kilka lat temu trenowałam do najdłuższego wyścigu mojego życia – sześćdziesięciokilometrowego ultramaratonu. Pojechałam do Wyoming i przenocowałam tam, żeby w nim pobiec. Trasa prowadziła pasmem Bighorn, a ja chciałam wcześniej możliwie dużo poćwiczyć na większych wysokościach, więc wyrobiłam sobie nawyk przeprowadzania podczas obu dni wolnych długiego porannego treningu z wbieganiem na szczyt Pikes Peak. Była sobota, jeden z moich ostatnich treningów przed wyścigiem. Denerwowałam się, jak mi pójdzie na dużej wysokości – nie wydawało mi się, żeby moje płuca już się na niej odnalazły – i paliłam się do tego, żeby ostro dać sobie w kość. Poprzedniego wieczoru Lily pojechała na swoje pierwsze nocowanie u koleżanki. Z dwiema pozostałymi dziewczynkami znała się od przedszkola, a ponieważ błagała mnie od miesięcy, żeby jej pozwolić, byłam raczej pewna, że nie będzie żadnego telefonu w środku nocy. A jednak: piąta rano, zasunięta pod szyję bluza z kapturem, zawiązane na podwójny supeł buty New Balance, Sal z kawą w drodze do studia, by przyjąć dostawę. I telefon.

– Mamusiu, czy mogę wrócić do domu?

Z trudem rozpoznałam Lily po głosie. Przełączyłam ją na głośnomówiący. Sal odstawił kawę.

– Oczywiście – powiedziałam, przestępując z nogi na nogę. Mrowiły mnie łydki. Bardzo chciałam już pobiec. – Tata może być po ciebie za dziesięć minut.

Pociągnęła nosem.

– Chcę ciebie.

Spojrzałam na swoją nogę. Podrygiwała. Położyłam na niej dłoń i zmusiłam, żeby się uspokoiła.

– Właśnie miałam wyjść pobiegać, kochanie. Zobaczymy się za kilka godzin, kiedy wrócę.

Lily wybuchła płaczem.

– Ty zawsze idziesz biegać! To niesprawiedliwe! Dlaczego zawsze musisz biegać, kiedy cię potrzebuję?

Sal wytrzeszczył oczy. Oboje wiedzieliśmy, że przesadza – była roztrzęsiona, prawdopodobnie całą noc nie spała. Było jasne, że zachowuje się nierozsądnie. Jednak Sal popatrzył na mnie z zaciekawieniem. Chciał zobaczyć, co zrobię. Co wybiorę: bieganie czy córkę?

Ale przecież tak naprawdę nie miałam wyboru. Miałam? Rzeczywistość rozszczępiła się na chwilę – byłam dwojgiem równie racjonalnych ludzi w jednej osobie. Oczywiście Sal mógł odebrać Lily: pocieszy ją, położy do łóżka, a ona będzie spała do południa. Wrócę, gdy wciąż jeszcze będzie martwa dla świata. Ale byłam też ja tej konkretnej chwili. Lily chciała, żebym jej coś udowodniła, i nie podobało mi się to. Zrobiłam i zrobiłabym dla niej wszystko – i byłam przekonana, że ona o tym wie. W każdym razie tak to sobie wytłumaczyłam, gdy powiedziałam:

– Dziesięć minut, Lil. Tatuś już po ciebie jedzie.

Sal nie zareagował. Tylko na mnie patrzył.

– Ona cię testuje – powiedział w końcu.

– Oczywiście, że tak. – Chwyciłam butelkę wody i portfel.

– Ale gdybyś miała w planach cokolwiek innego niż trening, już byś po nią jechała.

Miał rację. W każdym innym momencie bym pojechała, nawet gdyby miało to oznaczać spóźnienie się do pracy.

Zerkam znów na drzwi Lily. Od lat nie miała problemów z nocowaniem poza domem. Tak szybko znika „potrzebuję cię”, wypierane przez „proszę, jeszcze godzinę u Dahlii!”.

Poświata monitora oświetla róg salonu. Przywołuje.

Strona internetowa chce wiedzieć, czy w jedną stronę, czy w dwie. Bilet w jedną stronę, otwarte marzenie, przywiódł mnie do Stanów dziewiętnaście lat temu. Ale teraz to nie dla mnie. Potrzebuję jednego dnia na podróż i odpoczynek, jednego na pogrzeb, kilku, by wyjść pobiegać. A jednak pięć dni wydawało się czasem niewystarczającym.

Otworzyłam nową zakładkę. Hasło „Hiro Akitani” na Wikipedii zostało uaktualnione informacją o jego śmierci natychmiast po jej ogłoszeniu.

Niewiele wiadomo o życiu osobistym Akitaniego. Plotki, że był ojcem Chizuru A., 12-letniej dziewczynki, która w 1988 roku śmiertelnie ugodziła nożem kolegę z klasy, wydają się nie mieć podstaw.[3][18] Przez całe życie Akitaniego

tabloidy bez powodzenia próbowały wiązać go z różnymi kobietami.[5][11][12] Inne dowody sugerują, że był prawdopodobnie homoseksualistą.[potrzebny przypis]

Ostatnie zdanie jest nowe, choć pod różnymi postaciami pojawiało się już wcześniej. Zmiany zostały wprowadzone przed ośmioma godzinami z adresu IP 133.65.88.26. Na stronie artykułu o nim nieudokumentowane twierdzenia pojawiają się nieustannie. Dwa lata temu ktoś zmodyfikował jego życiorys, utrzymując, że Hiro Akitani faktycznie zmarł wskutek choroby w dzieciństwie i został zastąpiony przez nieznanego oszusta.

Edytuj. Klik. Twoje edycje zostaną przypisane do użytkownika SalSilvestri1974.

Zobaczmy, jak wygląda prawda. Hiro Akitani jest częściowo odpowiedzialny za śmierć swojej żony, Eleny Akitani (z domu Brown), w 1988 roku; pozostawił po sobie córkę Rio, którą porzucił w zakładzie poprawczym, gdy miała 12 lat, oraz wnuczkę Lily, której nigdy nie poznał.

Zamykam zakładkę bez zapisywania edycji.

Na stronie linii lotniczych JAL wpisuję numer naszej karty kredytowej. To takie proste. Szesnaście cyfr i pudełko z kilkoma pamiątkami są wszystkim, czego potrzebuję. Denver, LAX, Osaka. Zostanę cały tydzień, a jeśli okaże się, że to za długo, zapłacę za zmianę terminu rezerwacji. Mój palec zawisa na moment w powietrzu, zanim nacisnę „Kup”. Wyobrażam sobie ojca stojącego za mną z popękany turkusowym kubkiem do herbaty w ręku. Śmieje się ze mnie, bo czekałam aż do jego śmierci, by zmierzyć się z jego ukochaną Japonią – by zmierzyć się z nim. Nienawidzę myśli, że przeżywam to wszystko tak bardzo, by przywołać jego ducha. Wiem, że nie powinnam tego robić – minęło tyle czasu, odkąd drzwi między nami były otwarte na oścież.

A jednak. W tym liście, w tym smyczku, w tym motylu coś jest. Zaproszenie. Po trwającym tyle lat oddaleniu potwór uniósł głowę i wyszeptał: „Chodź”.

Przygotowuję się do wyjazdu, wypożyczając japońskie filmy, w tym ulubiony film mojego dzieciństwa: *Nausicaä z Doliny Wiatru*. Lily ogląda go ze mną dwukrotnie – niespodzianka, jeśli wziąć pod uwagę, że nienawidzi napisów i nie ogląda zagranicznych filmów bez angielskiego dubbingu. Sal odmawia przyłączenia się do nas – trzy dni przed moim wyjazdem spędza na irytowaniu się, że jadę bez niego – jednak więcej niż raz przyłapuję go na zerkaniu na ekran z biurka, przy którym siedzi. Poza tym za bardzo jest z nami związany, żeby kompletnie się odciąć, więc od czasu do czasu nasz wzrok spotyka się nad górną krawędzią jego monitora. Sal krzywi się niby złośliwie, że został przyłapany, po czym mruży oczy, by mi pokazać, że wcale nie jest mu dobrze z tym, jak się to wszystko rozegrało.

Rankiem w dniu lotu robię jedenastokilometrową przebieżkę przez rezerwat Betasso; dotarcie od kuchennych drzwi do płataniny jego ścieżek i osik zajmuje mi półtorej minuty, a jego wzgórze, ostre korzenie i ostoje saren znam na pamięć. W tej pętli podbiegi są naprawdę zabójcze, co lubię. Wzgórze wymagają wszystkiego i są obojętne – mogę się na nie wściekać, że są tak uporczywie strome, a ich to nic nie obchodzi. Nie mówiąc o tym, że bieg góra – dół uruchamia więcej mięśni i pozwala uniknąć urazów zmęzeniowych piszczeli, stwarzając mi różnorodne możliwości wykańczania się.

Moje płuca są wielkie i lśniące. Tutejszy tlen daje superdoładowanie. Powietrze pachnie rosą, orzeźwiająco sosną i glebą. Na łące w połowie drogi spod ziemi wytrysnął obłok fiołków. W moim życiu zdarzy się coś wielkiego.

Przed wyjazdem na lotnisko składam list od ojca i wsuwam go do koperty. Motyl idzie do mojego portfela. Lily prosi o smyczek, po czym kładzie go na szczycie regału na książki, gdzie trzyma cenne rzeczy: kawałek pierwszych puzzli, które Sal dla niej wyciął (stegozaur składający się z sylwetek mniejszych dinozaurów), połamane muszle z Cancún, karmazynowy błyszczak do warg, którego nigdy nie zauważyłam na jej ustach, certyfikat udziału w zajęciach Boulder Children's Theater sprzed wielu lat, łańcuszkową bransoletkę, której wcześniej nie widziałam. Smyczek dzieli tę przestrzeń na dwie części, wyznaczając mimochodem granicę między dziewczęcością a kobiecością. Przed nim znajduje się tajemnicza bransoletka, błyszczak oraz zdjęcie Lily i jej przyjaciółki Dahlii w błyszczącej ramce „Najlepsze przyjaciółki na zawsze”. Za nim leżą muszle, kawałek puzzli, certyfikat i zdjęcie na breloczku przedstawiające ją i mnie w lunaparku Elitch Gardens podczas przejażdżki samolocikiem udającym dwupłatewiec.

Sal zawiezie mnie na lotnisko. Lily wolno zostawać w domu samej do dwóch godzin, o ile nasi sąsiedzi, Jill i Chuck, są u siebie. Teraz waha się między spędzeniem dodatkowych trzydziestu minut ze mną w samochodzie a perspektywą

wolnej godziny w samotności w domu. Czas w samotności wygrywa. Ściskam ją na pożegnanie, próbując zachować w pamięci jej słodki zapach. Kiedy ją znów zobaczę, będzie opalona i o centymetr wyższa, a w jej gęstych włosach koloru cyprysowej kory będą pobłyskiwać rude pasma.

– Bądź grzeczna – mówię, zakładając jej za ucho długi kosmyk. Odruchowo odrzuca go do przodu.

Ma moje oczy – ciemne, w kolorze migdałów – i słoniowe uszy Sala, co do których uznała ostatnio, że są zbyt długie i bezwzględnie muszą być ukrywane.

Podczas jazdy Sal mówi o planach wspinaczki skałkowej z Justinem i E.J., kolegami z pracy.

– Ostatnio wspinałem się dwa lata temu. Po jednym wejściu będę miał ramiona jak z galarety.

Próbuje zachować pogodę ducha. Kładę dłoń na jego udzie, przechylam się i całuję go w policzek. To bardzo delikatny, niezręczny pocałunek pierwszej randki. Proponuje, że zaparkuje samochód i wejdzie ze mną do hali odlotów, ale mówię, że może mnie wyrzucić przy krawężniku.

Zakładam plecak zastępujący mi walizkę. Walizka na kółkach, którą wyciągnęłam z dna szafy w przedpokoju, śmierdziała kocimi sikami, więc uznałam, że musi wystarczyć plecak. Jest odpowiednio duży, by zmieściły się w nim buty do biegania – nigdzie się bez nich nie ruszam – strój na trening, ubranie na pogrzeb oraz kilka par szortów i koszulek. Sal zsuwa go z powrotem z moich ramion.

– Nie będę się z tobą żegnał ponad tym czymś – mówi, chwytając etykietkę przyczepioną do jednego z suwaków („Plecak antykradzieżowy: 14+2 ukryte przegrody”). Zamiast ją szarpnąć, jak sama bym to zrobiła, wyciąga z tylnej kieszeni spodni szwajcarski scyzoryk i ją odcina. Bładozielony plecak REI to jego zeszłoroczny prezent walentynkowy; bardzo ekscytowała go liczba ukrytych kieszeni. Robiłam dobrą minę, chociaż od czasów college’u nie uprawiam turystyki pieszej – wolę poruszać się szybciej.

Obejmując mnie na pożegnanie, kładzie mi jak zawsze dłoń na potylicy. Przytulam policzek do jego piersi i słyszę miarowe bicie serca.

– Będę czekać! – woła, gdy idę w kierunku obrotowych drzwi.

Odwracam się i uśmiecham. Przygląda do tyłu swoje ciemne włosy. Czuję, jak palce zaplątują mi się w tych śliskich falach – tych samych, które łagodnie wiją się na głowie Lily i splatają na jej karku. Może naprawdę chcę mieć drugie dziecko? A może łatwo mi tak pomyśleć, gdy wkraczam na międzynarodowe lotnisko, upojnie sama. Przesyłam mu buziaka. Popycham ciężkie szkło, które puszczone w ruch szczelnie mnie od niego odgradza.

Żadnych pacjentów do zaintubowania, żadnych dzieci do odebrania, żadnej podłogi do zmycia, żadnych obiadów pozbawionych śladowych ilości orzeszków

ziemnych do kupienia. Jestem gotowa. W jakimś sensie od dawna na to czekałam. Wkraczając na pokład samolotu do Japonii, wchodzę na ścieżkę bez rozstajów. Póki nie dotrę do stanowiska kontroli paszportowej na lotnisku Kansai, nie będę miała sposobności zawrócić.

Dwie godziny po rozpoczęciu dwunastogodzinnego lotu z Los Angeles, gdy rozdano już posiłki i przygaszono światła, proszę Mariko, jedną ze stewardes krążących w tylnej części samolotu, by pomogła mi poćwiczyć konwersację po japońsku. Zajmuje puste miejsce obok mnie i zdaje mi relację ze swojego życia: od chwili rozpoczęcia nauki w jednej z tokijskich szkół z internatem. Jeśli nie liczyć kilku potocznych określeń, rozumiem większość z tego, co mówi. Jest starsza, niż na to wygląda – trzydzieści trzy lata – i ledwie przed rokiem wyszła za mąż.

– Lubię być z dala od domu – szepcze. – Mój mąż jest dobrym człowiekiem i mam wielu przyjaciół, ale dopiero wtedy, gdy lecę do innego miasta, naprawdę czuję, że żyję.

Mnie samej mówienie idzie powoli – lata temu przestałam myśleć po japońsku – ale jakoś idzie.

– Opisz mi swój zwykły dzień – mówi Mariko. – Opowiedz o wszystkim dokładnie, ze szczegółami.

Opowiadam jej więc o moim szpitalu, o tym, jak Sal z wycinania puzzli w czasie wolnym od pracy uczynił swój zawód, o pragnieniu Lily, by mieć smartfona. Na początku logika podmiotu, na końcu wyrywający się czasownik. Za każdym razem, gdy Mariko odchodzi, wezwana przez kogoś z pasażerów, ćwiczę po cichu: „To jest czasopismo” (To tutaj, czasopismo, jest). „Potrzebuję do łazienki” (Chodzi o mnie, łazienka, iść potrzebuję). Opowiadam jej o tym, jak oświadczył się Sal – lśniącym puzzlem w kształcie obrączki, który samodzielnie wyciął – a ona piszczy: *Romanchikku!* Wtedy sobie przypominam: Japończycy nie mają słowa „romantyczny”.

Kiedy Mariko pyta mnie o cel mojej wizyty w Japonii, wyjaśniam, że odwiedzam ojca, który nie czuje się zbyt dobrze. Zastanawiam się, czy nie pokazać jej listu, lecz chociaż zachowuje się przyjaźnie, wyczuwam, że trzyma mnie na precyzyjnie określony dystans. Porozumiewanie się po japońsku to nie tylko słowa. Interakcje kręcą się wokół *honne* i *tatemaie*. *Honne* to to, co tak naprawdę myślisz i czujesz; *tatemaie* to twarz, którą pokazujesz światu. Choć Mariko jest nadzwyczajna pod tym względem, że w ogóle ujawnia mi jakikolwiek fragment *honne*, jestem w głównej mierze odbiorcą jej miłego i cierpliwego *tatemaie*. Muszę odpowiedzieć tym samym, a to oznacza, że list nie wchodzi w grę. List jest esencją *honne*.

W ciemnej kabinie dwukrotnie odzywa się dzwonek. Mariko się podnosi i po raz pierwszy odzywa po angielsku:

– Teraz ty pośpisz, a ja popracuję. Och, jak ja ci zazdroszczę! Jakie to

szczęście być dwujęzyczną. Ja ćwiczę, ale mój angielski jest słaby.

Wyjmuje coś z kieszeni i mi wręcza. Holograficzna zakładka z delfinem.

– To dla twojej córki – mówi.

Okazuję stosowną wdzięczność, ale w środku się śmieję – Lily uznaje zakładki za równie bezużyteczne jak ja. Jak są ci potrzebne, to nie ma ich pod ręką, a w gruncie rzeczy nigdy nie wydają ci się naprawdę niezbędne. Lily albo zostawia książki otwarte, okładką do góry, czym doprowadza Sala do szaleństwa („Zniszczysz w ten sposób grzbiet!”), albo zagina kartkom rogi. Złe nawyki przejęła ode mnie. Gdy byłam w jej wieku, zaznaczałam, gdzie skończyłam czytać, ołówkiem na marginesie: „Jestem tutaj. Jestem tutaj. Jestem tutaj”.

Prostuję się i wypijam caberneta, którego przyniosła mi Mariko. Rozkoszuję się byciem tu i teraz. W powietrzu nie ma nic, czym musiałabym się zająć, a kwestie lądowania, wjazdu do obcego kraju i dojazdu autobusem z lotniska Kansai do wiejskiej prefektury Tokushima wydają się odległe. Obawy o to, na kogo się natknę na pogrzebie ojca – druga żona, jakieś dzieci, czyli moje przyrodnie rodzeństwo – przygasają. Jedyńm w tej ciemnej, nieruchomej kabinie dźwiękiem jest miarowy szum powietrza przepływającego na zewnątrz.

W trakcie tej niekończącej się sztucznej nocy raz po raz budzę się i zasypiam. Znow śnię o Japonii, o wbieganiu bez śladu zmęczenia na nieosiągalne wzgórza i pagórki. Dobiegam do... – mimowolnie kopię nogami siedzenie przed sobą – a potem ląduję z powrotem na jakimś cudacznym terenie, podskakuję, lecę. W tym półśnie wyczuwam szarpnięcie na brzuchu. Jestem przymocowana do uwięzi. Uwięź jest mocna i delikatna – i wiedzie mnie ku Japonii. To nowe doznanie, wcale nie nieprzyjemne. Uczucie, jakby samolot nie miał własnego napędu, lecz był ciągnięty, jakby cały ten wyspiarski kraj przyciągał mnie do siebie.

Wijąca się kolejka posiadaczy zagranicznych paszportów powoli przesuwa się do przodu. Wyjmuję dokument i formularz celny, a po chwili odkładam je z powrotem. Jeszcze za wcześnie, żeby je wyciągać. Potwornie zasycha mi w ustach.

Masz absolutne prawo być tutaj, powtarzam sobie. Jesteś Amerykanką. Turystką odwiedzającą Japonię w ramach krótkiego pobytu, nieprzekraczającego dziewięćdziesięciu dni. Nawet gdybym wciąż nazywała się Chizuru Akitani, nikt przecież nie zabronił mi tu wracać. A jednak nie mogę się otrząsnąć z poczucia, że w Japonii jestem złym człowiekiem. Człowiekiem winnym. Para przede mną spiera się po niemiecku i nie przesuwa naprzód, kiedy robi to grupa przed nimi. Odchrząkuję i podchodzę krok bliżej. Luka się powiększa.

– Przepraszam – mówię odrobinę zbyt głośno.

W końcu zostają wezwani.

A potem przychodzi moja kolej. Dłoń w rękawiczce przywołuje mnie do

najdalej znajdującego się stanowiska.

Idąc, czuję napierające na mnie ze wszystkich stron spojrzenia pozostałych pasażerów i urzędników kontroli paszportowej. Chodzenie jest skomplikowane. Poruszam się zbyt wolno i wszystkich wstrzymuję. Nie – idę zbyt szybko, zdradzając się ze swoją nerwowością. Posyłam uśmiech poważnemu młodemu mężczyźnie za szybą, lecz gdy próbuję się odezwać, nie rozlega się żaden dźwięk. Mężczyzna przekrzywia głowę i mówi po angielsku:

– Paszport?

Grzebię w torbie, sprawdzając wszystkie przegródki.

– Przepraszam – mówię, rozsuwając kieszeń, w której na pewno nie ma mojego paszportu. – Przed chwilą go miałam w ręce. – Sprawdzam w spodniach. Przetrzęsam po raz trzeci główną komorę plecaka i znajduję niebieską książeczkę w miejscu, które sprawdziłam na samym początku.

Urzędnik bierze moje dokumenty bez słowa i przewraca puste kartki paszportu. Jego twarz nie zdradza żadnych emocji.

– Powinam częściej wyjeżdżać, co? – wypalam. – Z kraju.

Podnosi do światła stronę z wyblakłym stemplem z Cancún. Kładzie książeczkę z powrotem, kartkuje do dziewiczej strony z tyłu i przykłada do niej pieczęć.

Moje serce czuje się jak koń wyścigowy puszczony z boks startowego. Pospiesznie mijam urzędnika i idę w stronę hali przylotów. Jestem w Japonii.

Za automatycznie rozsuwanymi drzwiami stoi zbity tłum. Dziesiątki ludzi trzymają tabliczki – na wielu wydrukowano *kanji*, których nie potrafię odczytać. Czekający zerkają na mnie i przenoszą wzrok na kolejną twarz.

Nigdy nie miałam takiej wolności. Mogę wsiąść do autobusu jadącego pod górę Fudzi i wspiąć się na jej szczyt albo do superszybkiego pociągu do Tokio i przeimpreszować całą noc w dzielnicy Roppongi. Mogę wjechać jedno piętro windą do hali odlotów i kupić bilet na Okinawę, do Hongkongu, Paryża. Nikt mnie nie zatrzyma; nikt się nawet nie zorientuje, że powinien.

Kobieta pracująca w kantorze lustruje mnie spojrzeniem, być może próbując ocenić, w jakim języku powinna się do mnie zwrócić. Witam ją po japońsku i bez problemu realizuję czeki podróżne. Ściskając w ręku grubszy niż wcześniej portfel, wchodzę do sklepiku z prasą i jedzeniem.

W metalowej brytfannie obok kasy gotuje się na wolnym ogniu *oden*. Ale *oden* to zimowe jedzenie. Najwyraźniej wymoczone w rosole kawałki gotowanych ziemniaków, warzyw korzeniowych i nieokreślonych białych kulek cieszą się taką popularnością wśród podróżujących – jako smakołyk witający w ojczyźnie albo ostatni kęs: *sayōnara* – że nawet poza sezonem mają tu swoje stałe miejsce. Minęło prawie dwadzieścia lat, ale wystarczy jeden rzut oka na brytfankę i czuję w ustach orzeźwiający smak bulionu.

Lodówkę pod przeciwległą ścianą wypełniają ryżowe kanapki: *onigiri*. Musi być ze dwadzieścia odmian tych trójkątów wielkości dłoni. Przełykam ślinę. Wyobrażam sobie, jak przegryzam lekko słoną otoczkę z wodorostów i zatapiam zęby w lepkim, twardawym, skropionym octową zaprawą ryżu. A potem nadzienie: ostry kurczak, tuńczyk, pieczona wieprzowina albo moje ulubione: *umeboshi* z marynowaną śliwką – jej smakowita zmarszczka każe ci zamknąć oczy i dziękować opatrności za posiadanie języka. Chwytam jedną *onigiri* z kurczakiem, jedną z tuńczykiem i dwie *umeboshi*.

Opuszczam sklepik i wychodzę na halę. Pasażerowie lśniącej szklanej windy wydają się unosić na otwartej platformie. Dobre sto metrów wyżej obraca się powoli kanciasty telefon komórkowy w wariacko pomarańczowym kolorze, jakiego z pewnością nigdy wcześniej nie widziałam. Wszyscy, których mijam, ciągną za sobą eleganckie walizki albo wyraźny zapach: tytoniu, lakieru do włosów, ciepłych, rozwiewających się obłoczków Chanel No. 5.

Mija mnie, unikając mojego wzroku, łysiejący mężczyzna w szaro-granatowym garniturze i błyszczących butach. Kilka kroków później natykam się na następnego, podobnego do niego mężczyznę, a potem jeszcze jednego – są identycznie ubrani. Ich twarze noszą ten sam zmęczony wyraz, jakby wszyscy czerpali z tego samego źródła narodowego znużenia.

Port lotniczy wydaje się żyć i rwać do pomocy. Piktogram autobusów dalekobieżnych kieruje mnie do windy, która rusza w chwili, gdy do niej wsiadam. Wszystko działa automatycznie: drzwi otwierają się bez zachęty, wózki bagażowe odpinają niedotknięte. Pod ścianami stoją rzędy automatów z zimnymi i gorącymi napojami oraz suszoną rybą w pudełkach na prezent. Jeden sprzedaje czarne jajka ugotowane na twardo, pamiątkę z gorących źródeł w Hakone. Maszyna zachwala po angielsku: JAJKA DŁUGOWIECZNOŚCI.

Gdy zbliżam się do drzwi prowadzących na zewnątrz, do środka wchodzą dwie dziewczyny w minispódniczkach. Obie wyglądają tak, jakby miały pająki zamiast rzęs. Uroczę stworzenia: nienagannie dobrane dodatki, ubrania obcisłe w odpowiednich miejscach, włosy szesane z oczu. Jednocześnie obrzucają mnie spojrzeniem. Uświadamiam sobie, że jestem dorosłą kobietą niosącą plecak, i nagle przypominam sobie, jakie to uczucie: być kobietą w Japonii. Przez te dziewczyny mam ochotę zamknąć się w łazience z suszarką do włosów i kuferkiem kolorowych kosmetyków. Nie mam kuferka kolorowych kosmetyków.

W duchu dziękuję opatrności za to, że moja córka dorasta w mieście, w którym owłosione nogi i pachy nie zasługują na uważniejsze spojrzenie, a kobietę w sukience z sieciówki i pantoflach na płaskim obcasie komplementuje się za styl.

Wilgoć uderza mnie w twarz i ramiona, jeszcze zanim dotrę do automatycznych drzwi. Gdy się rozsuwają, otacza mnie gorąca bańka. Wdycham to

miasto: wilgotne powietrze potęguje zapach spalin i papierosów. Rezerwat Betasso ze swoim ostrym, słodkim, sosnowym tlenem musi być chyba na jakiejś innej planecie.

Autobus na Sikoku czeka na ostatnim peronie. Kupuję bilet w automacie zwracającym się do mnie po angielsku z brytyjskim akcentem. Podczas drukowania biletu z ekranu kłania się animowana kobieta.

W autobusie jest duszno. Porysowane okna z pleksi zdobią grube różowe zasłonki i pasujące do nich lambrekiny (tego słowa nauczył mnie Sal; wydało mi się czarujące, że jego wiedza praktyczna rozciąga się nawet na obszar dekoracji okiennych!). Opadam na siedzenie przy oknie i zamykam oczy. Przez ostatnie osiemnaście godzin zajmowałam się wyłącznie siedzeniem w samolotach i na lotniskach, rozmową z Mariko i spaniem, a jednak czuję się tak, jakbym miała za sobą czterdziestoósmiogodziną zmianę. Boli mnie głowa, tuż za oczami. Podczas mojego ostatniego dyżuru przed wyjazdem, dwie noce temu, przywieziono chłopca z urazem głowy po wypadku na rowerze, rok starszego od Lily – zmarł przed rozpoczęciem operacji. Jego żółta koszulka Denver Nuggets była lepka i ciemna od krwi i płynów ustrojowych. Takie obrazy zostają w głowie. To najtrudniejsza część mojej pracy. Potrafię przez cały dzień patrzeć na krew w próbkach, ale nigdy nie przyzwyczaję się do krwi na dziecku.

Autobus ożywia się z warkotem. Poza mną jest tylko dwóch pasażerów: nastolatek w wielkich didżejskich słuchawkach i kobieta w średnim wieku, której udało się już zasnąć. Wyjeżdżamy z lotniska i wspinamy się na wzgórze, z którego roztacza się widok na krajobraz zaatakowany przez człowieka. Ziemię pokrywają szare bloki. Sto metrów nad ulicami zajmuje się swoimi sprawami alternatywne społeczeństwo gazów. Biały dym kłębi się ku górze i splata z brązowymi i fioletowymi smugami sadzy z niewidocznych kominów. Po drugiej stronie bariery oddzielającej dwie jezdnie autostrady do miasta wlewa się powoli rzeka samochodów.

Gdzie kończy się Osaka? Kilka wzgórz – i tylko najbardziej stromym szczytom oszczędzono dywanu miasta. Kto mieszka w tych splamionych rdzą wieżach? Czy jestem taka jak oni? Wszyscy co do jednego wiedzą o śmierci mojego ojca. Nie. To nieprawda. Jest ich tak wielu, że z pewnością chociaż kilku nic nie wie.

Otwieranie *onigiri* wymaga sposobu. W celu zachowania świeżości plastik, w który zapakowana jest ta przekąska, wsuwa się podczas jej przyrządzania między wodorosty, więc jeśli zabierzesz się do jej rozpakowywania niewłaściwie, otrzymasz zielone strzępki przyklepione do wnętrza dłoni i gołą kulkę ryżu. Ale palce pamiętaj. Pociągnij ten jęczyzek do góry, odwiń w lewo, pociągnij w ten sposób, szarpnij i *voilà!* W jednym ręku plastik, w drugim *onigiri* w nienagannym stanie.

Chrupkość wodorostów, gładkość ryżu i och! – ta śliwka. Smakowita kwaskowatość kasa mi policzki i gryzie w podniebienie. Uśmiecham się tak szeroko, że grudka ryżu wypada mi z ust i ląduje na kolanach. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłam coś tak... pełnego. Japońskie jedzenie, które zamawiamy w Kolorado, jest zupełnie nijakie: blady tuńczyk, łosoś na lekko skropionym octem ryżu, niechlujne kulki kremowego sera i jaskraworóżowe rozdrobnione rybnie mięso mające imitować kraba. Rozmiękle *nori*, które przylepiają się do zębów.

Biorę kolejny kęs, rozkoszując się dawno utraconymi smakami. *Onigiri*, oprócz tego, że smakowite, są kojąco brzydkie. W zeszłym tygodniu Sal przekonał Lily i mnie, żebyśmy wybrali się na wieczorne grillowanie wspólnoty mieszkaniowej Tuscan Terrace. Podczas tej B-B-Q Nite nie rozpalono ani jednego grilla. Zamiast tego kelnerzy roznosili tace z jedzeniem w zestawieniach z pewnością podyktowanych rzutem kostką (no bo kto je marynowane papryczki z kantalupem?) oraz placuszki łososiowe udekorowane czymś, co serwujący opisał jako karmelową piankę, a co wyglądało na brudne mydliny. Przysiedliśmy na chwilę z innymi rodzicami, których dzieci, bliźniacy kilka lat młodsi od Lily, podzieliły się z nami swoimi krakersami Goldfish. „Nigdy nie wierz ślicznym przekąskom – powiedział Sal. – To jak dualizm cząstka – fala: mogą albo dobrze wyglądać, albo świetnie smakować, nigdy jedno i drugie jednocześnie”. Siedząca obok nas para uśmiechnęła się uprzejmie. Ich dzieci – Maxwell i Arwin, edukowane domowo – nadal wrzucały sobie krakersy do ust. Wyszliśmy wcześniej i wpadliśmy po drodze do 7-Eleven po duże pudełko lodów czekoladowych. Nie mogę się doczekać, aż opowiem Salowi o idealnej, smakowitej prostocie *onigiri*.

Zanim wyjedziemy na przedmieścia, autobus zatrzymuje się trzykrotnie. Na pierwszym przystanku wsiada pięć osób, na drugim dwie, na trzecim wkuśtykuje podpierający się laską mężczyzna w czapce Yomiuri Giants. Przestrzeń od drogi aż po górzysty horyzont wypełniają małe drewniane domki oddzielone poletkami ryżowymi.

Wszystko wszędzie przypomina mi o moim dawnym życiu. Nagrany w autobusie kobiecy głos zwracający pasażerom uwagę na konieczność pilnowania przedmiotów osobistych ma tę samą śpiewną intonację co ten w superszybkim pociągu do Tokio, którym jechałam z ojcem, gdy byłam jeszcze na tyle mała, by siadać mu na kolanach. (*Nozomi*, tak się nazywał ten pociąg – nadzieja). Siedzący po drugiej stronie autobusu w rzędzie przede mną mężczyzna w czapce Gigantów otwiera plastikowy pojemnik z *yakitori*, szaszłykami z grillowanego kurczaka. Niewiarygodny zapach, nieco przypalony i pieprzny, wywołuje u mnie mrowienie towarzyszące wyczekiwaniu, jakiego doświadczałam dzieciństwie przed rozpoczęciem pokazu fajerwerków i letnich świąt. Mężczyzna je powoli i po każdym kęsie ociera usta zieloną chusteczką.

Przedmieścia ciągną się w nieskończoność. Wydaje się, jakby budynków nie

postawiono na solidnym gruncie, lecz na innych budynkach. Może to się nigdy nie skończy? Może cała Japonia została opanowana przez rozrastające się bez opamiętania miasta?

Autostrada wznosi się coraz wyżej i wyżej – i wtedy go widzę. Most. Trzy lata przed moim *kireru* zbudowali gigantyczny most wiszący, przerzucony nad cieśniną Naruto i jej oszalałymi wirami wodnymi. Pierwsze stałe połączenie między masywem lądu a wyspą Sikoku. Nigdy na nim nie byłam, lecz często o nim myślałam. To tu zginęła moja matka.

Nie jest tak wysoki, jak sobie wyobrażałam. Zza brudnawych betonowych słupków i barierek trudno dostrzec wodę. Przez te wszystkie lata nikt nie powiedział mi, czy skoczyła stąd, czy z tarasu widokowego pod nami. Czy skoczyła na główkę, czy po prostu zrobiła krok w pustkę? Czy się bała? Metal i asfalt, na którym stała po raz ostatni, przelatują w pędzie dwa metry pode mną. Choć bardzo się staram, nie potrafię jej powiązać z tym miejscem.

Rozświergotane lasy i niekończące się wybrzeża mojego dzieciństwa nie były snem. Proszę – oto w oddali pojawiło się morze, a za nim fioletowy zarys wyższych gór. Sikoku jest tak wiejska jak zawsze. Oparła się wielkoblokowemu wzrostowi Honsiu. Wzdłuż autostrady rozciągają się rozległe, soczyście zielone pola. Mijamy teraz mniej samochodów, a te, które widzimy, są zardzewiałe, niedzisiejsze, wypłowiałe od letniego słońca. Znaki stacji paliwowych są równie niechlujne jak samochody, które obsługują. „Sikoku jest starą Japonią” – zwykł mówić dziadek. A mówiąc „starą”, miał na myśli „prawdziwą”.

Dziadek Nao, albo Ojisan, jak kazano mi na niego mówić, był ojcem Hiro. On i babcia mieszkali w prefekturze Ehime w nękanym przeciągami drewnianym domu z pajakami czającymi się po kątach (babcia nie zamierzała zakłócać im spokoju: przynosiły szczęście). Podczas naszych rzadkich wizyt ojciec i dziadek witali się kulturalnie jak dwaj biznesmeni, a babcia krzątała się po domu, ścierając z nieskazitelnie czystych powierzchni nieistniejący kurz. Rzadko rozmawiała ze mną i moją matką, lecz zaszczycła nas tajemniczymi uśmieszkami. Lubiłam tam jeździć. Hiro mógł sobie grać przed dziesięcioletnim tłumem w Wielkiej Sali Ludowej w Pekinie, ale wobec Ojisana był dzieckiem. Nie znałam szczegółów łączącej ich relacji, ale wiedziałam, że w domu dziadka porządek dziobania jest dla mnie korzystniejszy.

Podczas wojny dziadek Nao był młodym człowiekiem. Wierzył w obowiązek, szacunek i porządek. Przed domem dziadków wisiała na pękniętym bambusowym maszcie japońska flaga – *maru*, jak nazywał ją Ojisan – i każdego wieczoru przed kolacją stawaliśmy pod nią i słuchaliśmy z podłączonych do odtwarzacza trzeszczących głośniczków hymnu narodowego. Hiro nigdy nic nie powiedział, ale wiedziałam, że nienawidzi tego rytuału.

Podczas ostatniej wizyty u dziadków miałam dziewięć, może dziesięć lat. Po

naszym przyjeździe Ojisan obwieścił, że wespniemy się na Ishizuchi-san, najwyższą górę na Sikoku. W czasie wojny dawała ludziom schronienie, więc wciągnięto ją na listę miejsc o specjalnym znaczeniu historycznym i włączono do trasy pielgrzymki wiodącej przez osiemdziesiąt osiem świątyń, którą Ojisan odbył po wojnie w wieku dwudziestu kilku lat. Uczyliśmy się o tym szlaku pielgrzymkowym w szkole, chociaż nigdy nie byłam w żadnej ze świątyń. Zaintrygował mnie ten pomysł – cała ta cisza i spokój. Nie byliśmy jednak rodziną, która gustowała w spędzaniu czasu pod gołym niebem.

– Chizuru musi poczuć, jak to było – powiedział Ojisan, a ja ucieszyłam się, że mnie wyróżniono, uznano za wystarczająco istotną, by zmobilizować całą rodzinę. Nigdy nie wspinałam się na żadną górę.

Koordinację wyprawy powierzono mojemu ojcu; to musiał być jakiś rodzaj kary nałożonej przez dziadka Nao. Przecież to Ojisan był dobrze zorganizowany: zawsze wiedział, o której przyjeżdża pociąg i ile czasu zajmie nam dostanie się tu czy tam. Wyczuwałam wiszącą w powietrzu awanturę – Hiro był zbyt nieobliczalny, by wywiązać się z tego zadania. Pogoda była okropna: pochmurno i wilgotno, mroźna mgła zwieszała się aż po czubki traw. Słyszałam, jak Hiro zrzędzi przy mojej matce:

– To śmieszne. Wspinałaś się kiedykolwiek na górę, której nie możesz zobaczyć?

Przygotowania trwały cały ranek. Im bardziej byliśmy spóźnieni, tym spokojniejszy stawał się dziadek. Coś było nie tak. Zanim Hiro znalazł właściwe mapy, zapakował prowiant i wepchnął to wszystko do starego zielonego samochodu dziadka, na jego koszulce pod pachami pojawiły się ciemne plamy. W końcu zawołał:

– Jesteśmy gotowi! Chodźmy.

Dziadek Nao wyszedł niespiesznie do samochodu, spojrzął na słońce, które przezierало z trudem przez chmury nad jego głową, i powiedział:

– Nie.

– Nie?

– Jest już za późno – oznajmił Ojisan i zawrócił w stronę domu.

Mój ojciec zastygł w bezruchu. Po skroni spłynęła mu kropla potu, szczupłe ramiona zadrżały. Lewe ramię opadło wyraźnie niżej niż prawe – jak zawsze, gdy nie zwracał uwagi na swoją sylwetkę. Czekałam, aż wybuchnie, ale nic się nie wydarzyło. Podczas wczesnego obiadu wzięłam sobie dokładkę każdego z dań, zapomniawszy już, że zależało mi na wspinaniu się gdziekolwiek.

W pociągu, w drodze do domu, zapytałam ojca:

– Dlaczego Ojisan nigdy nie przychodzi na twoje koncerty?

– Nie lubi muzyki – powiedziała mama.

Siedziała między nami, trzymając dłoń na kolanie ojca. Zaproponowałam mu

masaż ramion – coś, co dzieci robiły nauczycielom w szkole, coś, co uwielbiała moja mama – ale Hiro pokręcił głową.

– Myślałam, że wszyscy lubią muzykę.

– Nie wszyscy – odparł.

– Mnie się podoba twoja muzyka – powiedziałam.

Ojciec wyjrzał przez okno. Nie było tam nic z wyjątkiem pól ryżowych i kilku nijakich młynów. Ani jednej z tych tablic reklamowych, na które fajnie się patrzyło, gdy jeździliśmy pociągami miejskimi.

– Mnie też się podoba, kochanie – powiedziała mama.

Objęła mnie ramieniem, drugim otoczyła Hiro i zaproponowała grę w papier – kamień – nożyce bez użycia rąk. Zamiast pokazywać jeden z tych trzech znaków dłonią, odliczałaś do trzech i wykrzykiwałaś swój wybór. Wymyśliła tę grę w Nowym Jorku, tak w każdym razie twierdziła, bo Hiro intensywnie ćwiczył na skrzypcach i nigdy nie miał wolnych rąk, żeby zagrać normalnie. („A jak inaczej ludzie podejmują decyzje, jeśli nie za pomocą *janken*?”). Graliśmy w tę grę przez resztę drogi do domu. I choć przecież była losowa, wydawało mi się, że to Hiro wyszedł z niej zwycięsko, jak zawsze.

Jest już po dziesiątej, kiedy autobus zajeżdża na stację Tokushima.

– Hotel Up? – pytam kierowcę taksówki bagażowej. Dziesięć minut później wysadza mnie przy wejściu do piętnastopiętrowego betonowego walca.

Wybrałam hotel Up ze względu na widok na Tokushimę; poszłam na całość i zarezerwowałam jeden z mniejszych apartamentów na najwyższym piętrze. Sal nie wie, ale dla mnie ten wydatek jest usprawiedliwiony: chcę oddalić się od miasta, znaleźć się w miejscu, z którego mogę na nie patrzeć, nie będąc widzianą.

Apartament urządzono w pobudzającej czerni i bieli, a na ścianach zawieszono tyle luster, że dostaję zawrotów głowy. Ogromne łóżko zasłane lekkimi jak puch poduszkami jest idealne. Rzucam się na plecy i kompletnie się w nim zapadam. Pogrzeb jutro o drugiej po południu. Nie muszę nastawiać budzika – meldując się w hotelu, poprosiłam, by obudzono mnie telefonicznie. Wydrukowałam sobie trasę i te pięć przecznic – dwie na północ, trzy na wschód – dzielących mnie od domu pogrzebowego zamierzam przejść pieszo. Podczas uroczystości nie natknę się na rodzinę: rodzice ojca musieliby mieć ponad sto lat, a rodzina mamy... No cóż, nawet gdyby została poinformowana o śmierci ojca, żaden z żyjących krewnych Eleny Brown Akitani nie wyprawiałby się z Teksasu, by oddać cześć mężczyźnie, który ukradł ich kowbojkę i zrobił z niej idiotkę.

Te myśli zapadają się w materac, przeciekają przez sprężyny, przesączają się przez biały dywan i fundamenty budynku, wreszcie wsiąkają w ziemię. Nie ma żadnego czarnego organu, żadnego Sala ani Lily, żadnego szpitala, żadnego stanowiska kontroli paszportowej. Jest tylko jedna myśl, odtwarzająca się raz po raz: Jestem tutaj. Jestem tutaj. Jestem tutaj.

Dom pogrzebowy to czarna marmurowa kostka. Odbicie mojej sylwetki w kamieniu jest anonimowe i nie rzuca się w oczy. Cieniu mojego ja, czy jesteś gotowy? Sylwetka prostuje plecy i unosi podbródek. Za mną przechodzi jakaś postać, a ja odwracam się, zażenowana. No przecież to było pewne, że przyłapią mnie na oglądaniu się przed pogrzebem.

Kobieta o głowę ode mnie wyższa, z głębokimi zmarszczkami wokół niebieskich oczu, staje za mną i poprawia włosy. Czerwone jak wino znamiona pokrywające jej policzek nie pozostawiają wątpliwości.

– Panna... Danny?

Aż się wzdrygam, uprzytamniając sobie, jakie to absurdalne, że zwracam się do niej w ten sposób jako osoba dorosła.

Rozdziawia usta.

– Chizuru? – Gwałtownie wciąga powietrze, jakby próbowała wessać to imię z powrotem, po czym bierze mnie w objęcia. – Aż trudno cię poznać – mówi, odsuwając się.

Jej ciemne loki przetykane są siwizną, ramiona okrywa czerwony szal, a cienkie nadgarstki otaczają blade kamienne bransolety: jedna żółta, jedna niebieska. Co ona tu robi? Ach! Uwielbiała muzykę mojego ojca. Zwykle podczas lekcji nastawiała swój niebieski przenośny odbiornik na stację z muzyką klasyczną, irytując wicedyrektora za każdym razem, gdy przechodził korytarzem. Od czasu do czasu puszczała jakieś wykonanie Hiro, a wtedy dzieci zaczynały chichotać i się na mnie gapić, by zobaczyć, jak zareaguję. „Co za talent!” – mówiła panna Danny, choć oczywiście posługiwała się japońską wersją tego terminu: *tarento*. Pogłębiało to mój dyskomfort, jakbym to ja była odpowiedzialna za jej ekliwe mieszanie języków i marną wymowę. Nie mogłam sprawiać wrażenia zbyt dumnej, ale i nie mogłam okazywać zażenowania z powodu własnego ojca.

– Co za niespodzianka, widzieć panią tutaj.

– Ciebie również. Chciałabym powiedzieć, że jest mi przykro z powodu twojej straty, ale...

– No tak. Nie utrzymywaliśmy kontaktów. – Zniżam głos. – I nie nazywam się już Chizuru... Teraz mam na imię Rio. Rio Silvestri.

Panna Daniela Townshend, moja nauczycielka angielskiego tamtego koszmarnego roku, moja ostatnia nauczycielka w japońskiej szkole publicznej. Panna Danny, jedyna nauczycielka, która niczego nie udawała. Nie udawała, że smakuje jej japońskie jedzenie, nie udawała, że jest bezradna w obcym kraju, nie udawała, że prześladowcy nie istnieją. Panna Danny, o której fantazjowałam, że uratuje mnie z Kawano i adoptuje. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś ją zobaczę.

– Rio Silvestri... Ależ nadałaś sobie imię. Chodź, niech ci się przypatrzę.

Dorosła i urocza. – Danny delikatnie dotyka mojego podbródka i unosi mi głowę, by się przyjrzeć. Opuszki jej palców są ciepłe.

– Nie mogę uwierzyć, że przyleciała pani tutaj aż z Nowej Zelandii.

– Och nie. Ja tu mieszkam. – Wyciąga rękę do klamki.

– Tutaj?

– No, w Tokio. Pojechałam z powrotem do Auckland na krótko, całe wieki temu, ale Japonia mnie usidliła i w końcu tu wróciłam. – Wchodzi do środka. – Nie jesteś sama, prawda?

Nie mogę uwierzyć, że przez cały ten czas była w Japonii. Ogółem rzecz biorąc, dłużej, niż sama tu mieszkalam.

– Tak naprawdę... jestem. – Trzymam się tak blisko niej, że następuję jej na piętę. Nie chcę, żeby odeszła. – Przepraszam – szepczę.

Gdyby podczas mojego pobytu w Kawano wróciła do Nowej Zelandii, fakt, że mnie nie odwiedzała, miałby jakiś sens.

We wnętrzu unosi się silny zapach kadzidła. W mrocznym, wyłożonym drewnem pomieszczeniu stoją rzędy ławek; musi ich być około siedemdziesięciu i szybko się zapełniają. Na przedzie drewniany rzeźbiony krucyfiks oparty o ołtarz za przenośnym sintoistycznym chramem z urną w środku. Z połączanej skrzynki unoszą się smugi lawendowego dymu.

Nie rozpoznaję żadnej z tych twarzy. Był moim ojcem. To proste, prawdziwe i absolutnie nie do wypowiedzenia w tych okolicznościach, bo kto by mi uwierzył? Muszę się zachowywać tak, jakbym z człowiekiem w urnie nigdy nie rozmawiała, jakbym nigdy nie marzyła, by popchnął moją huśtawkę w parku, nigdy nie przygotowywała mu śniadania ani nie czyściła smyczka. Co za ulga, co za szczęście, że natknęłam się tu na Danny. Ona wie wszystko.

Mimo mojego lekceważącego stosunku do anonimowych źródeł Wikipedii (POTRZEBNY PRZYPIS) brak pograżonej w oczywistej żałobie rodziny wydaje się zaskakujący. Od śmierci mojej matki i usunięcia mnie z życia mojego ojca minęło przeszło dwadzieścia lat, a w centrum uwagi nie widzę żadnej kobiety, żadnych dzieci, które sprawiałyby wrażenie zdruzgotanych, tak jak się to dzieje w St. Mary's, gdy słyszą, że ich tatuś czy mamusia się nie obudzą. Rodzice mojego ojca, tak jak się spodziewałam, muszą już nie żyć, a jeśli on nie ożenił się powtórnie, jestem w tej sali jego najbliższą rodziną. Podoba mi się, że odgrywam tu taką rolę, nawet incognito.

– Usiądźmy z tyłu.

Tak jak w przypadku apartamentu w hotelu Up chcę być gdzieś, skąd mogę patrzeć, nie będąc widzianą.

Danny przygląda włosy.

– Ehm...

– Zamierzałaś się z kimś spotkać?

– Nie, tak naprawdę z nikim konkretnym. Chodźmy.

Toruje nam drogę wśród grupiek żałobników. Ma na sobie złotą tunikę upstrzoną cekinami i wydymające się białe spodnie.

W moim szarym kostiumie stoję się obok niej przyjemnie niewidzialna. Większość moich ubrań jest właśnie taka: prosta i neutralna. Rzeczy, które nie przyciągają uwagi. Dorastałam boleśnie świadoma tego, jak patrzą na mnie inni, świadoma braku podobieństwa, jaki dostrzegali między nami. Chciałam się wtopić, zasypać tę przepaść. Danny przeciwnie, obróciła obcość na swoją korzyść. Przypominała mi dyrektorke teatru dziecięcego Lily, Rachel Stein. Gdy zaczęła siwieć, stała się silniejsza niż wcześniej, jakby cała ta melanina tylko ją powstrzymywała.

Danny jest wysoka, ale niższa, niż ją zapamiętałam. Jest też bardziej koścista, gdy tymczasem w moich wspomnieniach zapisała się krągłościami: okrągła twarz, figura w kształcie gruszki, solidna, niosąca otuchę osobowość.

Zajmujemy miejsca pod tylną ścianą pokrytą cienkim rdzawym dywanem.

Sala buzuje jak na przyjęciu koktajlowym. Mężczyźni i kobiety śmieją się, ściskają, rozmawiają. Tłum jest komicznie różnorodny. W pobliskiej alejce kobieta w sari szczypliwie w policzek ubranego w smoking chłopca albinosa i wykrzykuje: *Mon dieu, petit fromage!* Kim oni są? Którego Hiro Akitaniego znali? Niektórzy ludzie pokazują wszystkim tę samą twarz, lecz inni, jak mój ojciec, są klejnotami obracającymi się bezustannie, by zaprezentować światu najkorzystniejszą fasetę.

Dotykam torebki. W środku jest list ojca. Chcę, by zawierał radosną nowinę: coś, co mi wyjaśni, dlaczego zostawił mnie w Kawano, coś, co mi wyjaśni... jego. Gest – wreszcie! – miłości.

– Jak twoja znajomość *kanji*? – szepczę do Danny.

Jej spojrzenie utkwione jest w grupie ludzi siedzących z przodu. Odpowiada, nie odrywając od nich wzroku.

– *Kanji*? Chyba w porządku. W zeszłym roku zdałam JLPT *ni-kyu*. – W końcu na mnie patrzy. – Podchodziłam cztery razy. Można by sądzić, że mieszkanie tu powinno mi to ułatwić, ale czytanie nigdy nie było moją mocną stroną.

Ni-kyu to drugi poziom trudności.

Mam nadzieję, że nabożeństwo będzie krótkie. Danny przecież nie odrzuci zaproszenia na kawę. Znajdziemy ustronne miejsce. Przeczyta mi list na głos, tak jak kiedyś co piątek na angielskim czytała nam fragmenty literackie. Mówiła, że dla uczniów istotne jest usłyszenie rytmu mistrza, nawet jeśli nikt (z wyjątkiem mnie, choć często pozorowałam obojętność, bo rozumienie angielskiego nie było *cool*) nie pojmuje znaczenia. Zapamiętałam szczególnie jedną historię: o klasie mieszkających na Wenus dzieci, które po wielu latach deszczu miały zobaczyć słońce. Dla żartu zamknęły w szafie klasowego odmieńca, trochę inną od nich

dziewczynkę. Gdy wyszło słońce, z podniecenia zapomnieli o wszystkim i przez godzinę bawili się na zewnątrz, rozkoszując się ciepłem i światłem. Dopiero gdy znów się rozpadało, ze skruchą przypomnieli sobie o zamkniętej w szafie dziewczynce. W końcu ją wypuścili, ale słuchacz już wie, że jest za późno – straciła szansę ujrzenia słońca i już nigdy jej nie odzyska.

Gdy panna Danny skończyła tę opowieść, rozplakałam się – nie potrafiłam się powstrzymać. Tomoya Yu wydał policzki i zaczął udawać, że szlocha, prowokując resztę klasy do chichotów. Wiedziałam, że gdyby ta historia miała miejsce w klasie panny Danny, to ja byłabym dziewczynką zamkniętą w szafie. Pulchną, z podwójną powieką i nie całkiem czarnymi włosami – ja byłam tą inną.

Na przedzie sali pojawia się ksiądz i nas wita. Nie działa mu przypięty na piersi mikrofon. Wszyscy obecni pochylają się do przodu. Zza jego ciężkiej białej szaty unosi się dym znad chramu, co sprawia wrażenie, jakby paliły mu się plecy.

Ksiądz skrzypi, jakby głos mu zardzewiał. Odczytuje fragment napisany przez dalajlamę, następnie werset z Biblii, a potem czirokeską modlitwę za zmarłych. Za każdym razem małe grupki gości wymieniają spojrzenia. Pewnie się zastanawiają: A gdzie są modlitwy i inkantacje sintoizmu? Czy ten gość nie był Japończykiem? Ale ojciec miał zawsze słabość do tego, co obce. To uczucie wydawało się umacniać jego patriotyzm i podsycać pragnienie, bym stała się tak japońska, jak to możliwe – jakbym mogła w ten sposób zrekompensować coś, co niektórzy mogliby uznać za nielojalne upodobania. Występował za granicą przy każdej sposobności i rzadko bywał w domu podczas świąt czy weekendów. Ojcowie innych dzieci, niewolnicy etatu, też nieczęsto bywali w domu, ale to było co innego. Mój ojciec był artystą, marzycielem w najpełniejszym znaczeniu tego słowa. Nawet wtedy, gdy był w domu, to jakby go nie było. Mama usprawiedliwiała jego dziwactwa, przypominając ludziom o przebytej przez niego chorobie, ale ja nigdy nie dałam się przekonać. Mój ojciec był tak dumny, charyzmatyczny i skoncentrowany na sobie, jak to tylko możliwe. Zrozumiałam to, zanim poznałam opisujące to w jakimkolwiek języku słowa.

Słyszałam tę historię tyle razy, że znam ją na pamięć. Niedługo po pierwszym występie publicznym w Sapporo siedmioletni Hiro zachorował. Początkowo wydawało się, że to paskudna grypa, ale temperatura skoczyła mu tak wysoko, że jego matka zarzekała się, że wilgotna czerwona szmatka, którą przykładła mu do czoła, syczała przy zetknięciu ze skórą. Dziadkowie zawieźli go jak najszybciej do miejscowego szpitala, gdzie lekarze próbowali zbić gorączkę pigułkami i lodowatymi kąpielami. Bezskutecznie.

Hiro większość choroby przespał. Tym, co najżywiej zapisało mu się w pamięci, była opalizująca *tennyo*, ogrodowa wróżka, tańcząca w szpitalu na jego piersi. *Tennyo* chciała, żeby gdzieś poszedł – „do jasnego królestwa żab z łaskoczącym wietrzykiem” – i prosiła tak ładnie, że się zgodził.

Pielęgniarka uznała go za zmarłego, lecz kiedy pojawił się lekarz, Hiro wrócił. Usiadł i obwieścił, że dotarł aż do błyszczącego zamku, ale zatrzymał się, bo *tenno* nie pozwoliła mu zabrać skrzypiec. Pielęgniarka zemdłała.

Wskutek choroby Hiro stracił czucie w lewej ręce od łokcia w dół. Próbował ruszać palcami, ale te nie chciały nawet drgnąć. Niepowodzeniem zakończyły się próby wywołania reakcji odruchowych. Hiro już nigdy nie zagra na skrzypcach – powiedzieli lekarze moim dziadkom. Lecz tak jak nie docenili powagi jego stanu, tak samo nie docenili jego.

„Mylicie się – powiedział lekarzom Hiro ku przerażeniu babci. – Będę grał na skrzypcach. Grałem już na scenie w Sapporo z Shinji Okamoto”. Specjalista uśmiechnął się uprzejmie do babci, która okazała się na tyle taktowna, że kiedy dwa lata później Hiro odzyskał władzę w lewym ramieniu wystarczającą do tego, by utrzymać skrzypce, oraz sprawność palców wystarczającą do tego, by odnaleźć struny, nie poinformowała o tym lekarza. Nie chciała wprawiać go w zakłopotanie. Ojciec lubił nam opowiadać, jak używał liczydła, by ćwiczyć palce i odzyskać zwinność konieczną do przesuwania nimi po gryfie instrumentu.

Na przedzie sali drobny Włoch opowiada, łkając, jak w Neapolu ojciec grał na swoich ulubionych skrzypcach Busano, które zniknęły z powierzchni ziemi skremowane wraz ze swoim właścicielem, dla Cyganki, która w wyniku tego przeżycia odnalazła Boga. To musiał być Leonardo Verutti.

– Hiro był znakomity – mówi Leonardo, a oczy mu błyszczą. – Skupiał w sobie boski pierwiastek.

Wierzę mu. Ojciec powściągał wszystkie odczuwane namiętności, by przelać je w wykonania swoich utworów. Kobiety, które go kochały, włącznie z moją matką i mną, miały o to żal. Chciał wierzyć, że gra dla nas, a nie grał dla nikogo z wyjątkiem siebie. To skupienie na jednym celu oznaczało, że potrzebował ochrony. Wychodził boso na zewnątrz i nie zauważał, że stoi na śniegu, a któregoś ranka wstawił przygotowaną przeze mnie miseczkę ryżu, z pałeczkami i wszystkim, do swojego futerału na skrzypce.

Mimo wszystko jestem zaskoczona, że chciał, by skremowano z nim busano. Instrument powstał w Wenecji w 1730 roku i wart był pół miliona dolarów. Ojciec uwielbiał się nim popisywać. Nie miałam pojęcia o jego wartości aż do swojej pierwszej podróży do Nowego Jorku. Hiro i ja natknęliśmy się wówczas w metrze na młodego mężczyznę grającego drugi koncert skrzypcowy d-moll Maxa Brucha. Ojciec zatrzymał się i zamknął oczy. Uwielbiał czar tego utworu i wykonanie na instrumencie niskiej jakości raniło jego uszy. Skrzywił się, bez namysłu podszedł i położył dłoń na palcach chłopaka. „Spróbuj na tym”, powiedział i otworzył futerał. Chłopak wzruszył ramionami, ujął skrzypce, zaczął grać... i szczyka mu opadła. Na twarzy rozlał mu się szeroki uśmiech, a całe jego ciało zaczęło się kołysać, jakby busano były piękną kobietą, z którą dane mu będzie, o czym dobrze

wiedział, zatańczyć tylko jeden taniec.

Ojciec musiał jednak uznać, że busano na jego służbie wypełniły już swoje obowiązki na ziemi. Był Hiro Herosem, Żywym Skarbem Narodowym. W 1975 roku, na rok przed moim urodzeniem, telewizja NHK wyemitowała serial *Odyseja Akitanego*, który okazał się tak popularny, że dopóki nie zaczęłam chodzić do czwartej klasy, puszczała go dwa razy do roku. Był również twarzą Yakultu, koncernu posiadającego wytwórnię jogurtu pitnego, linie kolejowe i amatorską drużynę baseballową. Utwory dla niego pisali Sterling Parnassus i Olivet Lineze. Oczywiście plotkowano, że cieszy się takimi względami tylko ze względu na swoją niepełnosprawność (nigdy nie odzyskał pełnej mobilności lewego ramienia), ale niesłusznie: zdobył Avery Fisher Prize i niezliczoną ilość razy po przesłuchaniach w ciemno zapraszany był do grania z orkiestrą i wykonywania partii solowych. Nie było wątpliwości: Hiro Akitani był najlepszy.

Przez całą uroczystość Danny pociągała nosem i w ciągu niespełna czterdziestu minut zużyła całą paczkę chusteczek, z których usypał się na jej kolanach biały kopczyk. Dwukrotnie wybuchła nieopanowanym spazmatycznym szlochem. Widziałam ludzi radzących sobie ze śmiercią na wszystkie możliwe sposoby, tu nie ma żadnych norm. Żałowałam jednak, że sama nie potrafię czegoś zrobić, czegoś wyrazić, tak bardziej w stylu Danny. W końcu był moim ojcem, a tymczasem siedziałam z suchymi oczami i nie płakałam – ale i nie chciałam, by ktoś mnie prześcignął.

Ksiądz rozwija ekran projekcyjny, żebyśmy mogli obejrzyć prezentację z laptopa Leonarda. Światła przygasają i możemy zobaczyć pierwsze zdjęcie: mój ojciec jako chłopiec ubrany w mundurek ucznia szkoły średniej, szczupły i poważny. Potem widzimy go grającego na skrzypcach na chodniku jakiegoś europejskiego miasta, z oczami utkwionymi w klaszczącym obok niego maluchu o słomianych włosach. Łokieć wykrzywia pod dziwnym kątem rekompensującym mu ograniczoną mobilność stawu. Ta nietypowa pozycja stała się jego znakiem rozpoznawczym – Yakult zrobił dla swoich produktów opakowanie w kształcie jego sylwetki, by móc wykorzystać wizerunek, nie płacąc za zdjęcie. Jego krytycy (pojawiali się rzadko, głównie Niemcy) posunęli się do insynuowania, że nigdy nie osiągnąłby poziomu mistrzowskiego, gdyby szczęśliwym trafem nie zyskał takiej sylwetki. Owszem, mówili, uroczy, puciołowaty Hiro Akitani rzeczywiście grał jako sześciolatek utwory Paganiniego (tę informację podawano przed każdym jego występem), ale wykonanie? Słodkie, oczywiście, ale wirtuozerskie – nic podobnego. Pomijał tony harmoniczne decydujące o barwie, a jakoś dźwięku skrzypiec o połowę mniejszych niż normalne była w najlepszym razie znośna.

Teraz naprawdę płaczę, a na powierzchnię wypływają moje dobre wspomnienia o nim, z których żadne nie pojawiło się podczas pokazu slajdów – wycieczki w czasach mojego dzieciństwa, gdy ceniłam sobie długie loty

międzynarodowe gwarantujące nam wspólne spędzenie czasu, i jego śmiech: potężny, wybuchowy dźwięk podrywający ludzi na równe nogi. W rzeczywistości płacę jednak dlatego, że przyjazd tu uzmysłowił mi jasną: jego śmierć nie ma nic wspólnego z jego obecnością. Nie ma ani jednego zdjęcia naszej rodziny, ani słowa o mnie czy o mamie. Zostałyśmy wymazane.

Twarz Danny jest chaosem trwałych czerwonych znamion i świeżych różowych plam. Tak często i z takim impetem wydmuchuje nos, że aż dziw, że cokolwiek jeszcze w niej zostało. Ksiądz poleca nam odejść w pokoju, a ona wstaje bez słowa. Wraz z resztą gości wylewamy się z domu pogrzebowego.

Powietrze na zewnątrz jest ciepłe i ciężkie, obwarowane nisko wiszącymi chmurami. Wilgotna ulica pachnie benzyną i kwitnącą śliwą.

– Masz czas na lunch? – pytam Danny. Gdy nie odpowiada od razu, dodaję głupio: – Nie nalegam.

– Chyba nie dam rady, kochanie. Mam spotkanie po drugiej stronie miasta. – Wyciąga etui z torebki, wyjmuje z niego wizytówkę i podaje mi ją, jakby to był papieros, a nie oficjalnie, obiema dłońmi, jak nakazują wymogi uprzejmości. – Zadzwoń do mnie, umówimy się na kiedy indziej.

Wyjmuję kopertę zawierającą list mojego ojca, a z niej kartkę. Jest złożona w zgrabny kwadracik.

– Zwykła kawa albo coś na szybko? Chciałam zapytać, czy nie pomogłabyś mi tego przeczytać. To od niego.

Bierze ostrożnie kartkę.

– Myślę, że mogłabym – mruczy, obracając ją w dłoniach. – Jeśli się pospieszymy.

Nie rozkłada listu. Zamiast tego skręca w boczną uliczkę i zaczyna mówić o swoim życiu. Muszę podbiec kilka kroków, żeby za nią nadążyć.

– Mieszkam teraz w Tokio, w Asakusie, starej dzielnicy herbaciarni. Kiedyś była dość podła, ale oczyścili rzekę i założyli uroczy park. Dzieci z sąsiedztwa przynoszą łódeczki, żeby je tam puszczać... Ja nie mam dzieci. Cóż, nigdy też nie wyszłam za mąż, ale to nie jest warunek konieczny. Każdy ma prawo do własnych wyborów, a zresztą wiesz przecież, że japońskie uniwersytety wymagają, by w zamian za etat oddać się im sercem i duszą...

Nie przestaje trajkotać – to raczej monolog niż dialog. Ale nie szkodzi, daję się ponieść jej energii. Poza tym miło jest pomyśleć, że ta kobieta, która kiedyś dobrze mnie знаła, najwyraźniej wciąż czuje się całkiem swobodnie w mojej obecności. Wie o mojej przeszłości więcej niż ktokolwiek inny, łącznie z członkami mojej rodziny.

Jej głos nie stracił melodyjności. Kiedy pierwszy raz przyszła do szkoły, ojciec musiał mi wytłumaczyć kwestię akcentów, bo kompletnie spanikowana wyznałam mu, że straciłam zdolność rozumienia angielskiego. Powiedział, że

Nowozelandczycy mają najbardziej uroczy akcent pod słońcem.

– Mógłbym od rana do wieczora słuchać ich wykładów na temat polityki, a nawet, mój Boże, gospodarki, i słyszeć tylko muzykę.

Danny, gdy już odnalazła swoje tempo, zwalnia i teraz ja muszę zwolnić, skrócić krok, żeby za mną nadążała. Mijamy sklep z komiksami, stoisko z kulkami z suszonej ośmiornicy, sklep z artykułami za sto jenów. Postarzała się, ale wciąż można w niej dostrzec stremowaną dziewczynę, która stawała przy tablicy podczas lekcji angielskiego w szóstej klasie i gryzmoła odmianę czasownika albo rozdawała własnoręcznie wycięte i zilustrowane karty do bingo. Ma taką samą twarz, zapadającą w pamięć, ale niezbyt ładną: blisko osadzone oczy z krótkimi rzęsami, krzywe usta, no i oczywiście znamiona. Ponad połowę prawej strony jej twarzy pokrywają purpurowe plamy. A jednak jest w niej obietnica. Kiedy się uśmiecha, wszystko się równoważy, a ona staje się – zaledwie na kilka sekund – śliczna.

Na rogu młody mężczyzna z nastroszonymi włosami wyciąga w naszą stronę paczki chusteczek z reklamą szkoły prowadzącej kursy konwersacji w języku angielskim. Danny bierze jedną, ja odmawiam.

– Jest takie badanie, które dowodzi, że ludzie wezmą cokolwiek, co im się wręczy – mówię.

– Przydają się w toalecie.

Zapomniałam. W tym kraju dziewczyna musi mieć ze sobą własne.

Idziemy dalej. Danny bawi się bransoletkami i zadaje trudne pytania. Kiedy ostatni raz widziałam się z Hiro? A więc nigdy nie poznał swojej wnuczki? Jaka ona jest? Co skłoniło mnie do wzięcia udziału w pogrzebie?

Odpowiadam jej bez oporów. Minęło tyle czasu, odkąd mogłam porozmawiać o moim ojcu z kimś, kto go znał. Przy Danny mogę zrzucić *tatema* i odsłonić *honno*. Bez zastanowienia wyjaśniam, dlaczego przyjechałam: by zaspokoić ciekawość, kim się stał, by zobaczyć miejsce, w którym dorastałam – i coś jeszcze, co uzmysławiam sobie, dopiero gdy zaczynam mówić: chcę lepiej poznać tę dziewczynę, która spędziła pierwsze dwadzieścia lat życia w Japonii, dziewczynę, którą wydawało mi się, że mogę – powinnam! – zostawić za sobą. Danny pomrukuje i przytakuje.

– Pamiętasz, jak czytałaś nam kiedyś po angielsku?

– Uczniowie mieli to w pogardzie. Wszyscy z wyjątkiem ciebie, Chizuru.

– Imponowało mi wszystko, co robiłaś. Ciągle podróżowałaś, uczyłaś się, byłaś ciekawa świata.

Danny wskazuje na witrynę baru ramen przed nami, gdzie za szybą smętnie prezentują się miseczki z zakurczonym plastikowym makaronem.

– Podobno to niezłe miejsce.

Wyblakły i przetarty *noren* wiszący w drzwiach jest równie atrakcyjny jak

ścierka do naczyń.

– Jesteś pewna?

Przecznicę dalej jest jasno oświetlony rejon, w którym musi być przecież jakaś miłsza restauracja, ale Danny wśliznęła się już za zasłonę, wywołując powitalny okrzyk kogoś w środku.

Pomieszczenie wonieje wieprzowym tłuszczem, ale jest czyste i przyjemnie oświetlone. Danny zamawia miseczkę zwykłych klusek. Kucharz powtarza zamówienie – chyba do swojej kuchenki, bo poza nim w kuchni nie ma nikogo. Zanim zdążamy zasiąść na wysokich stołkach, na pomarańczowym, wykładanym kafelkami blacie pojawia się kopiasta miska parujących zielonych cebulek. Danny kładzie list na blacie. Rozkładam go, wygładzam dłońmi i umieszczam przed sobą jak posiłek.

– Nie mogę już czekać ani sekundy dłużej.

– W porządku. – Danny przysuwa list do swojej miseczki. Odsuwam go z powrotem.

– Z dala od twojej zupy.

Gdy Danny pochyla się nad listem, stykamy się ramionami. Pachnie trawą.

– Pozwól mi to najpierw przeczytać po cichu, żeby tłumaczenie było płynne.

Czyta, poruszając ustami. Urywa, oblizuje wargi. Ma łzy w oczach.

– Niełatwo to czytać.

Nie wiem, czy ma na myśli treść tej wiadomości, czy drobniutkie pismo Hiro.

Czyta głośno po japońsku:

– *Do mojej córki. Kiedy się urodziłaś, twoje imię brzmiało „tysiąc żurawi”.*

Czy nie było dla ciebie wystarczająco dobre?

W internecie znalazłem zdjęcie mojej wnuczki na scenie w Kolorado. Ma moją charyzmę, to oczywiste. Jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś, opowiedz jej, proszę, o mnie i o tym, co osiągnąłem. Dzieci potrzebują dobrego przykładu.

Danny zaciska powieki i na powrót szeroko otwiera oczy.

– Tu trzeba dosłownie lupy. Miał wylew dziesięć lat temu. Trzy lata później, po drugim, przestał występować.

Wiem o tym drugim wylewie – o tym, który zakończył jego występy – ale nie wiedziałam o pierwszym.

– Co jeszcze?

– *Nie zostawiam ci pieniędzy. Nie czuj się urażona. Pieniądze w niczym nie pomagają, a poza tym i tak znalazłem dla nich lepsze zastosowanie. To tyle. –* Danny składa list, zanim zdążam po niego sięgnąć, gwałcąc kartkę nową siatką zagiąć. – Wszystko zrozumiałaś?

– I nic więcej? „Dzieci potrzebują dobrego przykładu”?

Rozkładałam na powrót list. Na tej stronie jest tyle znaków, przecież nie mogły przelecieć tak szybko. Na pogrzebie powiedziała, że czytanie nie jest jej mocną stroną. Może to prawda?

Teraz potrząsa głową i zakrywa oczy dłońmi.

– Niełatwo to czytać – powtarza.

– A co z motylem, który wysłał? Co ze smyczkiem? Nie wspomniał o nich?

Wyobrażam sobie regał Lily i ten rozdzielający jej rzeczy kawałek drewna. Połowa X. Powiem Salowi, żeby go zdjął.

Danny miesza pałeczką zupę, tworząc w niej wir. Bulion podkrada się do brzegów naczynia. Wyciąga pałeczkę i patrzy mi prosto w oczy. Makaron wciąż wiruje.

– Ten smyczek. Sądziłam, że go spalił.

– Ze względu na skrzypce? Ja też. Kiedyś go dla niego czyściłam. Pewnie chciał mi powiedzieć w ten sposób, że nie wypełniłam swoich obowiązków.

Tyle lat, a on resztką sił dopilnował, żebym się dowiedziała, iż jego przekonania nie uległy zmianie. Składałam list poprawnie wzdłuż pierwotnych zgięć, wyostrzając je brzegiem paznokcia. Kucharz pyta, co zamawiam. Kręcę głową. Kluski wydają się takie pospolite, takie prymitywne, tak dalekie od pożywienia, którego pragnę.

Danny przykrywa moją dłoń swoją.

– Przykro mi, że to nie to, czego oczekiwałaś.

Chcę się czegoś przytrzymać, więc chwytam jej palce.

– Sądziłam, że wreszcie otrzymałam jakąś odpowiedź. A tutaj znajduję coś, co w sumie jest kolejnym „pierdol się”.

Danny cofa dłoń i uderza ramieniem w torebkę, z której wysuwa się książka i spada na podłogę. Szybko ją podnosi. Na okładce jest świątynia, a kartki, upstrzone samoprzylepnymi karteczkami, oddzieliły się od grzbietu. Danny wsuwa książkę z powrotem do torebki.

– Czy to pielgrzymka Sikoku?

– Tak – odpowiada niechętnie. – Pojutrze wkraczam na ścieżkę.

– Masz zamiar ją przejść? W całości?

Pielgrzymka – ta sama, którą przeszedł mój dziadek – obejmuje osiemdziesiąt osiem świątyń i trwa kilka miesięcy. Nie potrafię sobie wyobrazić, by Danny zdołała pokonać ją choćby w jednej czwartej. Teren jest stromy i górzysty. Trzeba nieść plecak. Pielgrzymi śpią na podłogach, w namiotach. Wspinaczka do świątyni na szczycie góry Ishizuchi, która miała być celem nieudanej wyprawy z Ojisanem, wykończyłaby sprawnego dwudziestolatka.

– Uważasz, że ją przejadę, pozbawiając się całego cierpienia?

Cokolwiek czas uczynił z jej ciałem, nie miało to wpływu na ducha. Te

wszystkie lata temu opowiadała nam podczas spotkań Klubu Angielskiego o swoich weekendowych przygodach: o tym, jak przejechała pięćdziesiąt kilometrów na rowerze, by spróbować jakichś wyjątkowych klusek, jak łąpała prom do Wakayamy na jakiś mało znany festiwal. Była w ciągłym ruchu: uczyła się japońskiego, robiła rekonesanse przed kolejnymi wyprawami, wyciągała z nas, dzieci, kulturowe subtelnosci zrozumiałe już tylko dla naszych babć. To było imponujące – i onieśmielające – że ta cudzoziemka wydawała się znać mój kraj lepiej ode mnie. Przypuszczam, że w tym momencie już naprawdę go zna. Nie podobają mi się uczucia, jakie to we mnie budzi: zazdrość o czas, który dane jej było tu spędzić, zaborczość wobec tego, co należało kiedyś do mnie. W brzuchu mi kruczą uśpione roszczenia.

– Mój dziadek raz przeszedł ten szlak, po wojnie. Powiedział, że chciał podziękować Bogu za zachowanie go przy życiu podczas bitwy, ale na pielgrzymce niemal wyzionął ducha, tyle trwała ta wspinačka.

Ależ to byłoby wyzwanie: nie wiedzieć, gdzie człowiek będzie spał, radzić sobie bez prysznic po dniu w tej wyspiarskiej wilgoci. Tęskniłabym za ogromnym podwójnym materacem z puchowym pokryciem i za gorącą wodą na zawołanie. A może nie? Jest coś pociągającego w tej koncepcji, by po prostu iść. Stać się „przenośnym”. Pielgrzymka mogłaby przypominać wbieganie na bezkresne wzgórza.

– Uniwersytet chciał zaktualizować swój przewodnik, a ja zgłosiłam się na ochotnika do wykonania tej pracy. Warunki na trasie, zakwaterowanie, sklepy po drodze. Wysokość składanych ofiar, ceny sprzętu, wyżywienia i pokoi *minshuku* w rodzinnych pensjonatach. Nie przepuszcza się takiej okazji.

– Nie boisz się o swoje bezpieczeństwo?

Unosi do ust miseczkę wypełnioną po brzegi bulionem, siorbie i śmieje się.

– To jest Japonia.

– Tam są komary wielkości śliwek.

Mogę sobie wyobrazić wielkie, górujące nade mną paprocie, starożytne cedry pnące się w górę, zdecydowane znaleźć światło.

– A ja jestem okropna w smaku. – Wsysa kilka sprężystych żółtych nitek.

– Ile tego jest, wszystkiego razem?

– Nieco ponad tysiąc kilometrów.

Palce u nóg świerzbą mnie na samą myśl o postawieniu sobie tak imponującego celu, nawet jeśli technicznie rzecz biorąc, nie wiązałoby się to z przebiegnięciem całej tej odległości. Moim najdłuższym wyścigiem był stukilometrowy Pikes Peak Jamboree sprzed dwóch lat. Pielgrzymka nie jest oczywiście wyścigiem – w sytuacji idealnej to coś wręcz przeciwnego – a jednak nieodparcie kusi mnie pomysł ustalonej trasy i dystansu, zamierzenia, w którym jest start i linia mety.

– A więc niedługo wracasz? – pyta Danny.

– Lot powrotny mam dopiero w piątek. Myślałam o tym, żeby wybrać się za miasto pobiegać.

Odpowiada z pełnymi ustami:

– Trasa wokół Bizan jest idealna dla biegaczy.

Góra Bizan znajduje się w samym centrum miasta Tokushima. Właściwie to bardziej wzgórze niż góra; znak opisujący Bizan oznacza „brew”, bo tak to właśnie wygląda. Na szczyt idzie się zaledwie trzydzieści minut, jest tam też kolejka, która wwozi turystów na szczyt.

– Dzięki za przypomnienie.

Może uderzę na plażę, zobaczę, jak daleko uda mi się zabiec po piasku bez napotykania na przeszkody zbudowane ludzką ręką. Możliwe, że linia brzegowa nie zmieniła się znacząco od czasów mojego dzieciństwa, nie została zabudowana tak, by nie dało się jej już rozpoznać.

Danny głośno siorbie zupę. Odwracam się. Korci mnie, by zapytać, dlaczego nigdy nie przyjechała do Kawano, ale nie chcę jej wprowadzić w zakłopotanie. Muszę o tym napomknąć w taki sposób, by nie zabrzmiało jak skarga, podkreślić swoją ciekawość i dystans wobec tamtego okresu pytaniem wyraźnie sugerującym wybaczenie. Obok mnie siedzi ktoś, kto tam był – tamtego roku, tamtego miesiąca, tamtego popołudnia o dwunastej dwanaście był świadkiem zdarzenia, które mój ojciec i jego rodzina określili później mianem „kłopotów Chizuru”. Danny wydaje się sądzić, że skoro wyszczuplałam, dorosłam i wyszłam za mąż, to zapomniałam.

Wyjmuję z kubeczka parę drewnianych jednorazowych pałeczek i rozrywam je. Nie rozdziela się równo: czubek lewej dostaje się tej prawej. Ojciec powiedziałby, że to zły znak.

– Jestem już spóźniona – mówi Danny, podnosząc się.

– Poczekaj. Mogę cię odprowadzić tam, dokąd idziesz?

– Wezmę taksówkę. To za daleko.

To wszystko dzieje się zbyt szybko.

– Możemy się spotkać jutro? Proszę. Właściwie nie zdążyliśmy porozmawiać.

Danny rzuca na kontuar kilka dużych monet. Odgłos metalu uderzającego o ceramikę rani mi uszy.

– Może wpadniesz jutro wieczorem? – proponuje. – O siódmej. Hotel Sakura, w pobliżu stacji kolejki. Wydamy pożegnalną kolację. Dla ciebie. I dla mnie.

Po powrocie do monochromatycznego apartamentu rozbieram się. Kostium, bluzka, stanik i majtki lądują w plastikowej torbie na rzeczy przeznaczone do prania. Zwijam w kulkę śmierdzące kadzidłem rajstopy i wrzucam je do srebrnego kosza na śmieci. Suche, chłodne powietrze wiejące z klimatyzatora w pobliżu drzwi do łazienki ześlizguje mi się po skórze, jakby zostało wyszkolone do ignorowania tego, co dzieje się w tym pokoju.

Podczas nauki w college'u i szkole pielęgniarstwa chodziłam do terapeutki. Zofia była Polką. Miała cienkie włosy, suchy, męczący kaszel i słabość do mnie – o ile dodatkowe sesje, które pozwalała mi umieścić w planie każdego semestru, uprawniały do postawienia takiej tezy. Zawsze stawiała na stole zielone winogrona, nawet jeśli nie było na nie sezonu. Lubiłam ją.

Zdarzały się złe chwile (na przykład wtedy, gdy z powodu zwiększonej nieco wcześniej dawki prozacu przespałam egzamin z chemii organicznej i profesor Glick nie pozwolił mi go poprawić albo kiedy Freddie Ng powiedział mi, że nie pociągają go Azjatki), które uruchamiały czarny organ i rozwścieczały mnie tak, że odzyskanie panowania nad sobą wymagało przebiegnięcia kilkunastu kilometrów. Kiedy spuściłam prozac w toalecie, Zofia zaczęła mnie namawiać do przetestowania innych leków, ale odmówiłam.

„Co się kryje pod tym gniewem?“, dociekała podczas naszych sesji. Oczywiście był to strach. Wyobrażałam sobie wściekłe winogrono z zaciśniętymi pięściami, które unosiło się nad obgryzającym paznokcie winogronem z wybałuszonymi oczami i wymyślało mu. Wtedy starałam się ze wszystkich sił upodobnić do reszty: kopnąć swoje uczucia w tyłek i zachowywać się normalnie, ale czasem mogłam tylko siedzieć bez ruchu i oddychać, a czarny organ gotował się w moim wnętrzu.

Z wiekiem jednak moje uczucia złagodniały. Miałam mnóstwo energii, którą rozładowywałam, biegając, ale i potrzebowałam odprężenia znacznie bardziej niż kiedyś. Nie wiem, skąd biorą siły kobiety, dla których pielęgniarstwo jest drugim zawodem. Prawie zawsze są matkami dorosłych dzieci, a ja prawie zawsze chcę zapytać: „Jak mogłyście poświęcić dwadzieścia lat życia na wychowanie dzieci i po tym znaleźć w sobie siłę, by pójść do szkoły i zacząć wszystko od początku?“.

Nie boję się już tak jak kiedyś. Jestem pielęgniarką, żoną i matką – drobne przeszkody odbijają się od tych ścian. List mojego ojca rozwścieczył mnie, owszem. To bolało. I uroczystość pogrzebowa: co jeszcze wycięli z jego starannie opracowanego życiorysu? Lecz teraz pod tym gniewem nie ma strachu – jest rozczarowanie. Mogliśmy coś ocalić, on i ja.

Podłoga łazienki jest podgrzewana. Odkręcam prysznic i w ciągu kilku sekund szklana kabina wypełnia się parą. Rama znajdującego się obok kabiny okna

sięgającego od podłogi do sufitu otacza słońce zapadające za pasma wzgórz na zachód od miasta. Kilka kilometrów dalej krawędzie wieży w kształcie litery S rozbłyskują różem. Biorę buteleczki odżywki, żelu do mycia i szamponu o zapachu jałowca, które Lily dała mi na urodziny, i skąpawszy się w pachnącej domem pianie, siadam pod strumieniem wody na marmurowej podłodze kabiny. W siadaniu pod prysznicem jest coś buntowniczego. To nie przypomina kąpieli, tej nieprzerwanej obecności wody na skórze, uczucia, że jest się rozmiękczanym jak ziarenko ryżu. Podciągam kolana do klatki piersiowej i pozwalam, by gorące krople bębniły o moje plecy.

Słońce znika, pograżając wzgórze w ciemności na tle fioletowego nieba. Łazienka i ja odbijamy się teraz w szkle. Podnoszę się – lewe kolano pyka dwukrotnie – i obserwuję kropelki spływające mi po skórze.

Lubię łuk ścięgien za kolanami i charakterystyczny zarys ud i łydek: efekt przebiegania od dekady ponad sześćdziesięciu kilometrów tygodniowo. „Masz tę linię” – powiedziała kiedyś moja współpracownica Maya, wskazując na moją nogę. Brzuch mam wciąż płaski, choć w ciągu ostatnich lat nieco zmiękł mimo brzuszków, które robię po zakończeniu biegu. Od urodzenia Lily prawą pierś mam trochę większą od lewej. Moja twarz jest moją twarzą, moje włosy moimi włosami.

Minęły prawie siedemdziesiąt dwie godziny, od kiedy biegałam w Betasso. Nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni przeżyłam tyle czasu bez katharsis potu, bez rytmu serca mówiącego mi: Panuję nad tym. Zaopiekuję się tobą. Tylko biegnij. Nie czuję się dobrze, gdy nie biegam – jakby mózg stopił się z ciałem, jakby ciało stało się wszystkim, czym jestem. Dostaję od tego klaustrofobii. Zapręgając ciało do wysiłku, mogę przed tym uciec, mogę zostawić głowę i czarny organ za sobą.

Owijam się luksusowym hotelowym szlafrokiem i podnoszę małą torebkę z ubraniami przeznaczonymi do prania, chwytając jej odbicie w lustrze: zużyte rzeczy. Okręcam ją wokół osi, zamykając powietrze wewnątrz.

Na korytarzu nie ma nikogo. Truchcikiem biegnę do stojącego na końcu złotego kosza na śmieci, wrzucam do niego torbę z ubraniami, odwracam się i ruszam z powrotem. Palcami stóp chwytam się jasnego dywanu. Uwielbiam pędzić po hotelowych korytarzach – niekończące się drzwi, gruba wykładzina pod stopami, mentalna ulga płynąca ze śledzenia schematu: czerwony romb, żółty kwadrat, 808; czerwony romb, żółty kwadrat, 809. Po przebiegnięciu pięciu długości w tę i z powrotem zyskuję komfortowy dystans od swojego ciała i czuję się lepiej.

Przebiegłam łącznie cztery maratony i dwa wyścigi kwalifikowane jako ultramaratony: sześćdziesięciokilometrowy bieg przełajowy w Wyoming i Jamboree. Trening do ultra różni się od treningu do zwykłego maratonu. Zamiast stopniowo zwiększać dystans, stosuje się interwały. Tak jak sprinterzy pracują nad

prędkością, tak ultramaratończycy pracują nad wytrzymałością. Nie da się przebiec sześćdziesięciu kilometrów bez przerwy, nikt tego nie potrafi, dlatego trzeba uwzględnić odcinki marszu.

Sporo czasu zajęło mi przyjęcie do wiadomości, że będę musiała przez krótki czas iść, by móc pobiec dalej. Najtrudniejsza okazała się część dotycząca umysłu. Ultrabiegi są bardzo fizyczne i to jest powód, dla którego w ogóle zaczęłam biegać. Chodziło o doprowadzenie umysłu do miejsca, w którym wiedziałby, kiedy posłuchać ciała, a kiedy pogłodzić je po głowie jak posłuszne dziecko. Przebiegając te długie dystanse, zastanawiałam się czasami, czy tak właśnie czuł się mój ojciec, gdy grał, czy tak się czuła moja matka, gdy malowała. Może nie byłam całkiem nijaka. Bieganie było moją sztuką. Pracę pod górę, byłam skrzypaczką grającą solo – grałam otoczona orkiestrą drzew. To była niemądra myśl (nigdy o niej nikomu nie opowiadałam), ale lubiłam ją przywoływać.

W Kolorado jest środek nocy, mimo to dzwonię do Sala.

– Myślałem, że zadzwonisz wcześniej. Jak było?

Jego senny głos jest obecny i realny. Czuję flanelową pościel, którą założył wieczór przed moim wyjazdem, czuję jego słodko-duszny nocny oddech.

Opowiadam mu o Leonardzie Veruttim, pokazuję slajdów, kremacji bezcennych skrzypiec.

– Mój pokój hotelowy wygląda jak z teledysku Eurythmics.

– Znałaś ludzi, którzy przyszli?

– Nie było nikogo z rodziny. Ale była nauczycielka angielskiego z mojej podstawówki.

– Poważnie? Ta Australijka?

– Danny jest z Nowej Zelandii.

– To chyba wszystko jedno, nie? – Śmieje się.

Padam plecami na łóżko.

– Taa. A ja jestem Koreanką czy coś. Ale blisko, nie?

Wzdycha.

– Skarbie, przepraszam. To był żart. Palnąłem bez namysłu. Wydajesz się spięta. Chciałem cię rozśmieszyć.

– To ważne, skąd ludzie pochodzą, Sal. To wiele mówi o tym, kim są.

Milczy przez chwilę.

– Wiem. Przepraszam. Proszę... opowiedz mi o spotkaniu z Danny.

– Przetłumaczyła mi list ojca. Było w nim tylko o tym, że nie zostawił mi żadnych pieniędzy.

– Co? Poważnie? To, kurwa, słabo.

– Nic, czego nie powinnam była przewidzieć.

To żenujące, że nie byłam na to lepiej przygotowana.

– Skąd mogłaś wiedzieć, Ri. – A gdy nie odpowiadam, ciągnie: – Tak to jest

z rodziną. Znają wszystkie twoje słabości. Ja sam przejechałem na drugi koniec kraju, żeby uciec od mojej, a przecież nie miałem się na co uskarżać. – Ziewa prosto w słuchawkę. – Jesteś tam?

– Jestem zmęczona.

– Gotowa wskoczyć do samolotu powrotnego?

– Ledwie tu przyjechałam.

– Ale co tam będziesz robić do piątku, zupełnie sama?

– Coś wymyślę. – Prostuję prawą nogę i obciążam stopę, napinając mięsień czterogłowy. Wolno opuszczam nogę, a potem robię to samo z lewą.

– No cóż, jeśli ma to jakieś znaczenie, to tęsknię za tobą. A poza tym mamy do zrobienia Silvestriego numer dwa.

Nie odpowiadam. Na nocnym stoliku leży okrągłe pomarańczowe opakowanie z moimi pigułkami. Równie dobrze mogłoby tańczyć i ostrzegawczo kłaść palec na ustach.

– Czy wszystko jest tam takie, jak zapamiętałaś?

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Wydaje się... znajome. I nieznanym. – Przewracam się na łóżku i wystawiam stopy za krawędź. – Jadłam wczoraj *onigiri*. Kulki ryżowe zawinięte w wodorosty, z farszem w środku. To... przynosiło otuchę. Przeciwiństwo mydlanych kanapek w tym całym Tuscany Terrace. Żadne arcydzieło, ale jakie dobre.

– Co mi przypomina, że na ścianie wspinaczkowej spotkałem Kena i Lisę, małżeństwo, z którym siedzieliśmy tamtego wieczoru. Zamierzają kupić tam dom.

– Mówisz o tych z bliźniętami?

– No. Złożyli w tym tygodniu ofertę na zakup jednej z działek na końcu ślepej uliczki. Są mili, nie sądzisz? Byliby pewnie dobrymi sąsiadami.

Owszem, są mili, a ich dzieci słodkie, choć może nieco głupiutkie, i nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zamieszkali na mojej przecznicy. O ile tylko moja przecznica nie byłaby uliczką wijącą się wśród niby-weneckich terenów pod zabudowę.

– Przypominali krakersy w kształcie zwierzątek – mówię – tyle że byli ludźmi.

Sal się śmieje.

– Daj spokój. Wiesz, że przy pierwszym spotkaniu nigdy nikt ci się nie podoba.

Ma rację, co nie oznacza, że nie oceniam ludzi trafnie w dziewięćdziesięciu procentach przypadków.

– Te domy mają dodatkową sypialnię na dole, tak mi powiedzieli – ciągnie Sal. – Świetnie się składa, bo chcą mieć jeszcze jedno dziecko. Chłopców dadzą na pierwsze piętro i będą mieli sypialnię obok pokoju malucha. A kiedy dziecko

podrośnie, mogą się zamienić i wszystkie dzieci zamieszkają na piętrze.

Nie mogę w tym samym czasie patrzeć na pigułki i rozmawiać z Salem.

– Idź spać, zanim się kompletnie rozbudzisz. Zadzwoń jutro.

Kiedy się rozłącza, siadam na brzegu łóżka i gapię się na lustro w czarno-białą szachownicę po drugiej stronie pokoju. Odbija dwa inne lustra, które z kolei odbijają inne wzory w szachownicę. Nie potrafię powiedzieć, pod jakim kątem patrzę na cokolwiek.

Tak właśnie widzi mnie Sal: jako kogoś, kto byłby zadowolony, mogąc zamieszkać w Tuscany Terrace. Kogoś, kto natychmiast wróci, tylko dlatego że jest sam. Myśli, że bez niego nie potrafię się bawić. Nie podejmuję ryzyka. Ale nie jestem taka jak on, taka przewidywalna. To on jest facetem, który zatrzymuje się na pustym skrzyżowaniu pośrodku pustyni.

No dobra. Nie podejmuję ryzyka. Przyjazd tutaj był największym ryzykiem, jakie podjęłam od przylotu do Stanów Zjednoczonych dwadzieścia lat temu. Ale ta osoba poprzedzająca Rio – Chizuru Akitani – wciąż istnieje. Danny ją pamięta. Danny, która za moment stanie się najbardziej nieprawdopodobną osobą, jaka kiedykolwiek podjęła *hachijūhakkasho*. Zdecydowała się podążyć wyznaczoną ścieżką, lecz przeżywać każdy dzień bez planu. Tylko ona, drzewa i ziemia. Podejścia będą wyczerpujące.

To jest to. Mogę tu pobiec. Ścieżką przez las – lub przynajmniej częściowo wśród zieleni – którą wcześniej pokonał członek mojej rodziny. Ile czasu zabierze mi przebiegnięcie całości? Czy mogę to zrobić sama? Tak niewiele wiem o pielgrzymce, która powinna być częścią mnie jako *awakko* – dziecka Tokushimy. Raz ujranej, nie potrafię usunąć tej wizji z głowy: Danny i ja wśród gęstych lasów Sikoku, odwiedzające świątynie, ochlapujące dłonie święconą wodą, słońce przesączające się na nas przez liście. I ja – biegnąca, biegnąca, biegnąca. Przeszłość wdeptana w ziemię daleko za mną. Zapomniana.

Następnego ranka wrzucam swoje rzeczy do plecaka, zapinam go i zakładam na plecy. Zawisa wygodnie na ramionach. Jestem spakowana zgrabnie i kompaktowo, jak *onigiri*.

Winda zjeżdża na dół bez zatrzymywania się. Wsiadam w wysokim lobby. Po mojej lewej siedzi pochylony nad instrumentami kwartet smyczkowy, rozsnuwając Vivaldiego wśród elegancko ubranych biznesmenów. Walizki suną po marmurze jak posłuszne zwierzątka. Nikt tu nie zamierza robić nic szalonego – z wyjątkiem mnie.

Ten utwór to *Lato*. W długich włosach pierwszej skrzypaczki pobłyskują srebrzyste pasma. Znałaby mojego ojca. Mogłabym zapytać: „Czy miała pani okazję poznać Hiro Akitaniego, Żywy Skarb Narodowy?”, a ona mogłaby odpowiedzieć: „Rywalizowaliśmy o prymat w Juilliard”. A może: „Spędziłam z nim noc w Wiedniu. Myślisz, że skąd się wzięła ta siwizna?”.

Nad lobby unosi się dzika końcówka *Lata*. Wszyscy członkowie kwartetu się kołyszą; skrzypaczka gra z zamkniętymi oczami i uśmiecha się lekko, jakby czuła na twarzy promienie słońca.

Hotel Sakura znajduje się trzy kilometry stąd. Spacer zajmie mi pół godziny. Jest chłodniej niż wczoraj. Od dawna nie byłam równie podniecona. Idę tak szybko, że zacznę podskakiwać i podbiegać. Ludzie uśmiechają się do mnie.

Hotel ma na fasadzie nad wejściem ogromny różowy kwiat wiśni, rzucający cień na chodnik, na którym stoję, by wejść do środka. Przyszedłam na kolację o siedem godzin za wcześnie. Nie mogę się doczekać reakcji Danny, gdy zobaczy mnie gotową do wspinaczki. To jedna z tych rzeczy, które właśnie Danny mogłaby zrobić.

Siedzi w lobby po turecku na tapicerowanej kanapie. Koszulka gimnastyczna, spodnie od dresu, czerwony szal udrapowany na ramionach. Buty na kanapie! Gdy widzę tę oznakę lekceważenia zasad dobrego wychowania, serce wzbiera mi uczuciem.

Na podłodze obok kanapy stoi wysłużony plecak turystyczny. Danny zauważa mnie dopiero wtedy, gdy stoję wprost przed nią.

– Chciałaś wyjechać... teraz?

Po jej twarzy przemyka coś jakby strach, który zaraz znika.

– Jesteś wcześniej.

– Idę z tobą.

Danny wpatruje się we mnie, po czym wybucha śmiechem tak głośnym, że kilka osób odwraca się i gapi.

– Mówię poważnie. Chcę iść. Mam trochę czasu, zanim córka wróci z obozu. Muszę się zmobilizować. Zrobić coś ryzykownego. Tak jak ty to zawsze robisz.

Patrzy na mnie, naprawdę patrzy – jakby czytała książkę.

– Nie chcesz, żebym poszła?

– Nie o to chodzi. – Ma łagodny głos. – Kochanie, miło cię było zobaczyć i zjeść wczoraj z tobą lunch, ale ta pielgrzymka... nie jest zwykłą wędrówką. To przeżycie duchowe. Osobiste.

– Oczywiście. Przydałoby mi się pewne... przebudzenie. Mnie samej. – Nie potrafię się zmusić do wypowiedzenia słów „przeżycie duchowe”.

Danny zamyka oczy.

– To urocze. Ale minęło dużo czasu. W jakimś sensie prawie się nie znamy.

– Musi widzieć ból na mojej twarzy. Poklepuje puste miejsce obok siebie. Siadam.

– Wiem, co powinnaś zrobić. Pojedź do Aomori. Odbywa się tam festiwal płodności. Wielkie fallusy obnoszone dookoła, młodzi mężczyźni w pieluchach. Oderwiesz się myślami.

– Tylko kilka dni, potem przebiegnę tę trasę. Dobiegnę tak daleko, jak się da, zawrócę i pobiegnę z powrotem. Złapię cię przed wyjazdem. Jeśli wyjadę, nie

zrobiwszy czegoś wielkiego, będę tego żałować. Będzie tak, jakby japońska część mnie całkowicie zniknęła. A ja obiecałam sobie, że tak się nie stanie. – Kulę się, słysząc we własnym głosie dziecinne jęczenie.

Uważnie obserwuje moją twarz, jakby znała każdy jej wyraz.

– Obietnice – mówi cicho. Obraca bransoletki na lewym nadgarstku. – Dobrze. Spróbujmy. Możemy ruszyć od razu, skoro jesteś taka napalona. Po drodze miałam zamiar kupić kilka rzeczy.

– Naprawdę?

– Miałam przeczucie, że niedługo będę sama. – Nie wygląda na szczęśliwą, ale mało mnie to obchodzi. Nie będzie tego żałować. – Single zawsze poznają ludzi na szlaku. Nie zdawałam sobie sprawy, że jednym z nich okażesz się ty, i to zanim w ogóle wyruszę.

Zanim wyjdziemy z hotelu, Danny zawiesza mi na szyi sznurek ciężkich muszli. Wyglądają jak poczerńiałe kasztany i brzęczą głucho, gdy się poruszam.

– Dla ochrony – mówi.

Lubię je nosić. Ciężar przydaje im wagi.

Bierzemy taksówkę na skraj miasta, w pobliże miejsca, gdzie rzeka Yoshino wpada do oceanu. Zgodnie z szyldem sklepik na rogu to 7-Eleven, ale w niczym nie przypomina on miejsca, do którego Sal i ja biegamy na lody w Boulder. Przy wejściu nie leży warstwa niedopałków, na blacie nie rozlewa się niebieskawa kałuża z automatu do slurpee. Zamiast niechlujnego małolata grającego na komórce wita nas okrzykami trójka młodziutkich ekspedientów.

Przyszliśmy wybrać przekąski na drogę; w pobliżu szlaku pielgrzymkowego jest dość zajazdów i restauracji, żebyśmy teraz nie musiały robić dużych zapasów. En, przyjaciel Danny, jest właścicielem „sklepu pielgrzyma”, do którego zajrzemy w następnej kolejności, by kupić pozostałe potrzebne rzeczy. Tutaj muszę zaopatrzyć się w telefon – coś prostego, co pozwoli mi dzwonić do domu. W sklepie Ena czeka mnie zakup bukłaka na wodę, może kapelusza, ale poza tym niewiele mi trzeba.

Ktoś nieźle się bawił przy projektowaniu układu asortymentu. Batonów czekoladowe obok damskich środków higieny, olej silnikowy nad zabawkowymi samochodzikami. Dostęp do telefonów na kartę blokuje mi siatkowy koszyk wypełniony po brzegi plastikowymi butelkami. Nad koszykiem wisi napis: GOLDEN TIME WHISKEY. Z wnętrza litery O mruga kreskówkowy myszosczek. Biorę butelkę.

Płacę za whisky, pudełko batonów muesli, napój Calpis i jednorazowy telefon z abonamentem międzynarodowym opisanym w ulotce jako „serdeczny”.

– Co oznacza „serdeczny”? – pytam dziewczynę za kontuarem.

Powtarza pytanie swojemu współpracownikowi.

– On chodzi na konwersacje po angielsku – mówi.

– To tłumaczy się jako dobre uczucia, dużo dobrych chęci – wyjaśnia uczący się angielskiego.

Przy akompaniamencie śpiewnych pożegnań sprzedawców wychodzę na zewnątrz poczekać na Danny, zatopioną aktualnie w myślach w dziale z pieczywem. Słońce stoi wysoko, powietrze jest ciężkie od zapachu rzeki. Odkręcam plastikową nakrętkę golden time’a i włączam różowy telefon z klapką. Kiedy Nasz Żywy Skarb Narodowy wyjeżdżał z miasta, mama nalewała sobie do wieczornej herbaty odrobinę whisky, narzucała stary T-shirt i malowała tylko w koszulce i w majtkach. W tamtych czasach jej obrazy były abstrakcjami, smagnięciami koloru na zasadniczo mrocznym tle. W Nowym Jorku, gdzie poznała

Hiro, portretowała tych, których nazywała „nic-ludźmi” – tych, którzy nie byli nikim ważnym. Wszystkie namalowane obrazy rozdawała, więc te jej prace znałam tylko ze zdjęć. Namalowała jeden autoportret, o którym wiedziałam, choć nigdy bym nie zgadła, że to to, gdyby nie rozpoznał go mój ojciec. Obraz przedstawiał czarny kwadrat na granatowym tle. Trzeba było dłuższej chwili, by dostrzec, że na płótnie są dwa kolory.

Gdy ojciec wyjeżdżał w podróż, przestawałyśmy sprzątać. Pozwalałyśmy, by w pojemnikach gromadziły się sterty śmieci. Dzień przed powrotem Hiro włączałyśmy muzykę i doprowadzałyśmy dom do porządku, a mama odstawiała whisky do skrzynki z płótnami.

Twoje zdrowie, mamo. Alkohol uderza w tylną ściankę gardła tak, że zaczynam kasłać. Calpis jest kiepską popitką, ale wszystko mi jedno. Zachowuję się nieracjonalnie. Ze sklepu wychodzi grupka nastolatków. Zauważają mnie i zaczynają szeptać, jakby dostrzegli celebrytkę. Śmieję się. Któraś z dziewczyn odwraca się, dostrzega, że się śmieję, i unosi dłoń na znak pokoju. Odwzajemniam gest.

W lewym górnym rogu wyświetlacza telefonu pojawia się uśmiechnięty fioletowy gremlin z wielkimi oczami. Najwyraźniej to oznaczenie dobrego zasięgu. Wyjmuję wizytówkę Danny i wysyłam jej esemesa: *test!* Widzę przez okno, jak wyciąga telefon i go sprawdza; przez moment sprawia wrażenie zmieszanej, dopóki nie zauważy mojego machania. Odchodzę na parking i wybieram numer domowy, w głębi ducha spodziewając się komunikatu o błędzie, żądania dodatkowych pieniędzy albo jakiejś innej przeszkody. Tymczasem słyszę sygnał na linii, a potem w moim uchu odzywa się głos Sala.

– Danny wybiera się na bardzo fajną wyprawę badawczą.

Opisuję mu pielgrzymkę i to, jak mnich Kōbō-Daishi, znany również jako Kūkai („ten, który jest z nieba i morza”), obszedł wyspę i poświęcił osiemdziesiąt osiem miejsc na świątynie, jak droga, którą pokonał, stała się święta i jak każdego roku tysiące ludzi przeznaczają miesiąc albo dwa życia, by pójść w jego ślady. W mój głos wkrada się duma.

– I... pomyślałam, że przejdę z nią część tego szlaku w czasie, gdy Lily jest na obozie. Kawalek będę iść z nią, a potem kawalek przebiegnę.

– Ty, wędrująca z inną osobą? Nie udało mi się ciebie skłonić nawet do jednodniowej wycieczki do Blue Lake.

W jego głosie słychać urazę. Po przyjściu Lily na świat maszerowanie i bieganie stało się dla mnie czymś, co robiłam sama. Zawsze wolałam biegać samotnie – nie lubię zmieniać tempa, by dopasować się do innych, i tracię miarowość oddechu, jeśli muszę rozmawiać – ale później stało się to regułą. Niegdyś wytchnieniem od chaosu pracy był dom. Dziecko zmieniło to sanktuarium w zagracone pudło, w którym – podobnie jak w szpitalu – byłam ustawicznie

potrzebna. Las niczego ode mnie nie żądał.

Biorę kolejny łyk whisky i calpis.

– Wiem. Prawdopodobnie nie zostanę z nią długo. Po prostu... miło jest porozmawiać z kimś, kto mnie znał, gdy byłam dzieckiem.

Sal wzdycha.

– Kiedy wrócę do domu, pojedziemy do Blue Lake. Będziemy pływać na golasa i wyc do księżyca. Lily może zostać z Dahlią.

– Czy to oznacza, że zmieniasz rezerwację?

– Pewnie będę musiała. Przełożę powrót o jakieś trzy, cztery dni, żeby dać sobie czas na dotarcie do Osaki. Jesteśmy tu dość daleko.

– Wolalbym, żebyś wcześniej to ze mną omówiła... Oj, poczekaj chwilę, Lily chce z tobą porozmawiać.

– Cześć, mamó! – Głos Lily jest jak rakietka, szybki i bezpośredni, prosto w serce. – Jak pogrzeb dziadka?

Dołożyłam wszelkich starań, by opowiedzieć Lily miłe historie o jej dziadku. Sal wie (albo sądzi, że wie), ile spraw pominęłam, i w obecności Lily podtrzymuje tę grę. Wściekły się, że jego też okłamałam.

– Nabożeństwo było ładne. Zrobiło mi się smutno. Ale cieszę się, że przyjechałam.

– Ja chyba nie jestem smutna, bo nigdy go nie poznałam... ale trochę mi smutno i tak.

– Smutno ci?

– Tak, nie wiem czemu. No, jak babcia Scotta G zmarła w zeszłym roku, to popłakał się w klasie i opuścił chyba ze trzy dni w szkole.

Gdy to słyszę, nagle okrutny wydaje mi się dystans, który stworzyłam między rzeczywistością a wyobrażeniem Lily o jej dziadku.

– Odczuwanie smutku jest normalne, Lil. Śmierć to trudna sprawa. Trzeba czasu, żeby się z nią oswoić, nawet jeśli nigdy nie poznało się zmarłego.

– No tak... Ale poczekaj, gdzie ty jesteś? Słyszysz jakieś dzwony czy coś?

Stoję przed 7-Eleven, pocę się w cieniu, piję whisky i wybieram się właśnie na pielgrzymkę.

– Jestem w mieście, w którym się wychowałam, nazywa się Tokushima. Jest trochę większe niż Boulder, a przy tym równie ładne. – Prześlizguję się spojrzeniem po wodzie i wbijam wzrok w gęsty las. Danny i ja wkrótce znajdziemy się wśród tych drzew. – Płynie tu szeroka rzeka i ludzie rozsiadają się z jedzeniem na jej brzegu, a kiedy jest za gorąco, przesiadują pod mostami. Tutejsze góry są niższe i bardziej zielone. Dżunglowe.

– Nie ma takiego słowa.

– Już jest. Wyobraź sobie Chautauqua Park, tylko bardziej jak Cancún. Bardzo wilgotno.

– W Cancún jest suuuperparno.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby użyła słowa „parno”.

– Pamiętasz to? Miałaś zaledwie trzy lata.

– Mam dobrą pamięć.

– Z pewnością masz. A wiesz co? Szykuje mi się przygoda. Razem ze znajomą zamierzamy obejść z plecakami kilka starych świątyń. Tak naprawdę ta pani była kiedyś moją nauczycielką.

– Będziesz wędrować ze swoją nauczycielką?

– Przecież lubisz swoich nauczycieli.

– No tak, ale... Czekaj... Och, kurczę, wiesz, co się wczoraj stało? Panna Dirmiggio kazała nam wszystkim zostać po dzwonku, bo Roni rzuciła papierem w Jaylen, ale się nie przyznała, więc wszyscy musieli zostać, dopóki jakieś mamy nie zaczęły pukać do drzwi, więc musiała nas wypuścić.

– No, no! – Zamykam oczy i opieram się o ścianę budynku.

Beton pali mnie w plecy.

– A poza tym dostałam piątkę z wypracowania na temat lektury, no i fajnie, ale należała mi się szóstka. Sawyer dostała szóstkę, a jej ilustracje do książki nie były takie dobre.

Ten nauczyciel nie ma przekonania do ocen literowych ani procentowych. Szóstka to „idealnie”. Zawsze przychodzi mi to na myśl łyżwiarstwo figurowe lat osiemdziesiątych.

– Może powinnaś sobie podnieść poziom trudności.

– Wrócisz do domu, zanim przyjadę z obozu?

– Absolutnie. Kochanie, muszę lecieć. Daj mi porozmawiać z tatusiem.

– On chyba jest wściekły.

– Nie jestem wściekły – słyszę głos Sala, kiedy bierze od niej telefon. – Twoja mama zmieniła plany, a ja dopiero przed chwilą się o tym dowiedziałem, więc jestem trochę zirytowany, to wszystko.

W rozmowie ze mną ogranicza się do spraw praktycznych, więc wiem, że aż w nim kipi. Bajgiel złapał kleszcza, ale Sal usunął go bez problemów. Zmienił filtr oleju w volvo i założył nowe pióra wycieraczek. Wiem, że stara się nie okazywać uczuć, ale lubię, kiedy mówi w ten sposób – jego głos jest jak lina, po której nie znać wytrzymałości, dopóki się jej nie napnie.

– Tęsknię za tobą – mówimy ja i whisky.

– Więc wróć do domu.

Nie mam do powiedzenia nic poza „nie mogę”, które wydaje się szczere, ale nie zdołam mu go wyjaśnić, więc tylko liczę sekundy ciszy w eterze i zastanawiam się, ile to kosztuje.

– Nie marnuj karty telefonicznej czy czego tam używasz – mówi w końcu Sal.

Skorodowany seledynowy samochód z dwiema deskami surfingowymi na dachu staje na jałowym biegu obok kanciastego vana. Z samochodu wysiada mężczyzna w mokrej piance. Człapie do mnie ze złożonymi dłońmi.

– *Ohenro-san?* – szepcze. Czy jestem pielgrzymem?

– Poczekaj chwilę – mówię do Sala i rzucając mężczyźnie pytające spojrzenie. Nie mam na sobie tradycyjnej białej szaty, lecz on wskazuje na moje korale.

– *Osettai.*

Rozchyła dłonie nad moimi złożonymi rękami i kładzie na nich dwie owinięte w plastik kulki ryżu i kilka monet.

Domowe *onigiri*! Obezwładnia mnie fala ciepłych uczuć do niego – nawet do sposobu, w jaki przymocował deski do relingów czymś, co wygląda na sznurek do bielizny. Przepijam do niego w podziękowaniu, a on unosi kciuki i wraca do swojego samochodu.

– Przepraszam. Słuchaj, przypomnij Lily, żeby była dla wszystkich miła, dobrze?

Moja córka wydaje mi się czasem znajoma w nieprzyjemny sposób: zupełnie niepodobna do mnie, lecz raczej do Harumi Yonezu czy jednej z tych popularnych dziewczyn, które poznałam w dzieciństwie.

– Powiedziałem jej, że ma wrócić do domu przynajmniej z dziesiątką nowych znajomych na fejsie, a ona mi na to: „Tato, ludzie już nie korzystają z Facebooka. To dla małych dzieci”.

– Zaczęło się. Mamy już prawie nastolatkę.

– Mógłbym przysiąc, że dzieci wcale nie rosną codziennie odrobinę, one to kumulują. Któregoś ranka budzisz się i masz zupełnie nowe, znacznie starsze dziecko.

Obiecuję zadzwonić, jak będę mogła, i uprzedzam go, że w górach pewnie nie będziemy miały zasięgu. Mówi, że obejrzy trasę pielgrzymki na Google Earth, żeby wyrobić sobie jakieś pojęcie o ukształtowaniu terenu.

– Będę wiedział, czego się spodziewać, kiedy pojedziemy tam razem.

Jestem mu nieskończenie wdzięczna, że nie draży tematu i zostawia mi trochę luzu.

– Jesteś dla mnie dobry.

– Bo cię kocham.

W jego tonie słychać, że przegrał. Ogarnia mnie znajome wrażenie, że znów mi się upiekło.

Sklep Ena znajduje się w ciągu stojących nad brzegiem morza pawilonów handlowych nieopodal hotelu Islander. To oczywiście, kto tu robi lepszy interes. Różową betonową elewację hotelu znaczą plamy rdzy. Neon miga, a „I” jest całkiem przepalone.

– Kiedyś to było eleganckie miejsce – mówi Danny smutno.

– Hotel slander. Czyli zniesławienie. Ha.

Budynek wygląda tak, jakby morze wyrzuciło go na brzeg, a ktoś przyszedł i dla żartu wywiesił na nim tabliczkę OTWARTE. Za to należący do Ena sklep pielgrzyma radzi sobie całkiem dobrze, sądząc po pomalowanej brunatnoczerwoną bejcą bambusowej okładzinie zewnętrznej i lśniących drzwiach ze szprosami. Tradycyjne japońskie drzwi zrobiono by z drewna i papieru, lecz tutaj po naoliwionych szynach przesuwana się replika ze szkła i metalu. Przypominają mi się wrota Tuscan Terrace.

Gdy przekraczamy próg, odzywa się nagranie bambusowych fujarek. Wnioskując z różnorodności dostępnych towarów, transformacja z człowieka w *henro* jest kwestią tak stanu ciała (i portfela), jak i ducha.

– Dani-san! – Wysoki, szczupły mężczyzna wyskakuje zza lady z polerowanego szarego kamienia odbijającej światło górnych lamp. Twarz ma tak pomarszczoną, że trudno dostrzec w niej oczy. Głowę pokrywają mu starcze plamy. – I co ja ci mówiłem? – Ma silny akcent, a przy tym połyka samogłoski. – Wiedziałem, że nie ruszysz w tę podróż samotnie.

Danny ściska go na powitanie.

– To prawda, co mówią... En-san ma zawsze rację.

– Rio... – powtarza staruszek, gdy mu się przedstawiam. – Ciekawe imię. – Zerkna na mój nos. – Piegi! – wykrzykuje, cofając się.

– Matka Irlandka – wyjaśniam.

Spędziwszy prawie dwadzieścia lat w Stanach, zapomniałam o istnieniu tego rodzaju ludzi. Patrzą na ciebie tak, jakby bez powodzenia próbowali ustawić ostrość. Jestem niska, mam mały nos i drobne kości – bez wątpienia pochodzę z Azji Wschodniej. Kiedyś stawałam przed łazienkowym lustrem i udawałam, że jestem kimś innym: nieznaną obrzucającą mnie szybkim, przelotnym spojrzeniem. Czy wyglądałam wystarczająco japońsko?

– Ach! Więc jesteś *hafu* – mówi En, kiwając głową. – Wielu cudzoziemców podejmuje w dzisiejszych czasach tę pielgrzymkę.

– Rio nie jest *hafu*. Jest podwójna – mówi Danny, klepiąc mnie po ramieniu.

Jej dotyk jest krzepiący. Wciąż potrafi sprawić, bym poczuła się bezpiecznie.

En przegląda listę rzeczy, które muszę kupić: biała bawełniana tunika i luźne spodnie symbolizujące czystość podróży, słomkowy kapelusz od deszczu, książeczka na pieczętki, książeczka z sutrami, paski z imieniem, bukłak na wodę, świece, kadzidło, moskitiera, kuchenka turystyczna i kij do podpierania się.

– Jestem raczej minimalistką – mówię, zerkając na zielone przywieszki z cenami i wszystkie wypisane na nich zera.

– Kij pielgrzymi jest niezbędny, by okazać szacunek Kūkaiowi. – En unosi wypolerowaną drewnianą laskę, na której szczycie pobrękują srebrne dzwoneczki.

– Nie dopuść, by kiedykolwiek dotknęła mostu. Kūkai musiał kiedyś szukać schronienia na noc pod mostem. Nie wolno ci budzić jego ducha.

– Wolalabym poszukać sobie kija po drodze. I znaleźć taki, który nie hałasuje.

Widziałam luksusowy model Danny i już teraz boję się nieustannego pobrzękiwania, które bez wątplenia będą wydawać pokaźne dzwonki.

– Och, ale dzwonek kieruje uwagę człowieka ku jego zadaniu. – En kładzie laskę na ladzie. – No i oczywiście *hakui* – ciągnie, z rozmachem narzucając sobie na ramiona jedną z białych kurtek.

To tradycyjny strój *henro*: nieskazitelnie biała koszula z rękawami do łokcia i sznurem, który zawiązuje się w pasie.

Pokazuję gestem na swój T-shirt i luźne spodenki do biegania.

– Mam ubranie do chodzenia.

– Wkładasz *hakui* z szacunku dla drogi. Biały jest kolorem żałobnego całunu. W dzisiejszych czasach bardziej przypomina to przycisk „reset”. Jesteś tu, by zresetować swoje życie, tak? Odrzucić przeszłość?

Narzucam na siebie koszulę i dostrzegam swoje odbicie w lustrze. Wyglądam jak ktoś inny.

– Poza tym dzięki temu można rozpoznać w tobie pielgrzyma. Przydaje się do zbierania *osettai*. *Osettai* to kultywowana przez nas, Japończyków, tradycja. Dar zawsze musisz przyjąć. Amerykanie uwielbiają prezenty, prawda? A zatem rozumiesz. *Osettai* to dla darczyńcy inwestycja. Coś jak zakup akcji.

Odruchowo kładę dłoń na sercu. Gdyby czarny organ mógł przemówić, wypaliłby: „Doprawdy? Japonia musi być wyjątkowa! Opowiedz mi więcej o waszych fascynujących tradycjach”. Potrafię jednak trzymać język za zębami. Mogę po prostu rzucić protekcyjny uśmiešek temu staremu człowiekowi, który wydaje się bardziej pogodzony z czystą cudzoziemskością Danny niż z moim niejednoznacznym pochodzeniem.

Danny zdejmuje z wieszaka spiczasty słomkowy kapelusz i wyciąga go w moją stronę.

– Możesz sobie biadolić, ile chcesz, ale to jest naprawdę niezbędne. Uchroni cię przed poparzeniami słonecznymi. I osłoni przed deszczem.

Zakładam kapelusz. Pod jego szerokim rondem czuję się bezpieczna jak żółw w skorupie.

Kupuję *hakui* razem z kapeluszem i bukłakiem na wodę. Przy kasie otwieram portfel i wyjmuję z niego spłaszczony papierowy motyla. Rozłożywszy skrzydła, a na koniec tułów, dłońmi rozprostowuję banknot na ladzie, lecz kiedy je cofam, banknot składa się z powrotem, przyjmując zniekształconą poprzednią formę. En się krzywi. Po kilku próbach wygładzenia banknotu tak, żeby leżał płasko, wciska go pod stertę leżących na półce przewodników.

– Pieniądz to pieniądz – burczy, wręczając mi kilka monet reszty.

Danny szybko podchodzi do lady.

– Czy to był banknot od Hiro?

– Owszem. Nie będziemy za nim płakać, *sayōnara, dōmo arigatō*.

Danny otwiera portfel i wyjmuję z niego banknot o nominale dziesięciu tysięcy jenów.

– Proszę, En. Może się ze mną zamienisz? – Bierze pognieciony banknot. – Tak na wszelki wypadek.

Sądzi najwyraźniej, że kiedyś pożałuję decyzji o pozbyciu się go. Wolałabym, żeby się zajęła własnymi sprawami.

En rzuca na ladę dwie paczki suszonych kalmarów i obwieszcza wielkopańskim tonem:

– *Osettai*.

– Dziękuję – mówi Danny. – Przydadzą się na szlaku. A skoro już o tym mowa, powinniśmy ruszać w drogę.

En rozkłada na ladzie gazetę.

– Najpierw musimy się upewnić, czy to dobry dzień na rozpoczęcie podróży.

– Znajduje kalendarz sintoistyczny z jego kształtami i kolorami wskazującymi najlepsze i najgorsze dni na wszystko: podpisywanie umów, podróże, sprawy służbowe, budowanie, śluby. Puka w dzisiejszą datę i wydrukowane obok niej symbole. – Tak... Całkiem dobrze wróży – mówi zadowolony. Zerka na dział poniżej: prognoza pogody. – Aura typowa dla późnego lata. Gorąco, niewielki deszcz. Ale... – wskazuje na niebieski obszar przedstawiający wodę – ...musicie pamiętać, by pomodlić się w Ryozen-ji o ochronę przed tajfunami.

Na Sikoku sezon tajfunów zaczyna się dopiero późną jesienią, ale nie chcę się kłócić z Enem. Spierając się, sprawiałabym wrażenie cudzoziemki, a skoro on tak mnie postrzega, specjalnie nie zrobię nic, co mogłoby dowieść słuszności jego przekonań.

Danny nie przysłuchuje się tej wymianie zdań, jej uwagę pochłania lektura sąsiedniej strony. Lewą szpaltę zajmują zdjęcia trójki uśmiechniętych dzieci.

– Ziemia do Danny! – mówię i w tym momencie dostrzegam słowo, które znam, trzy proste sylaby: *ki-re-ru*.

Danny szybko składa gazetę i rzuca pogodnie:

– A więc ustalone. Ruszamy.

Pochyla się i opiera przedramię na gazecie.

– Co to było? – szepczę.

– Zaczynacie od Ryozen-ji? – En unosi dłoń w kierunku pierwszej świątyni, leżącej przy drodze niewiele dalej.

– Tak – odpowiada Danny. – Świątynia numer jeden. Jesteśmy takie podekscytowane – trajkocze. – Naprawdę podekscytowane.

– Czy nie przynosi czasem szczęścia odwiedzanie ich w odwrotnym porządku? – pytam.

En klaszcze w dłonie, jakbym opowiedziała przedni żart.

– Była taka moda dwadzieścia lat temu, ale tylu ludzi odwiedzało świątynie w odwrotnej kolejności, że koniec stał się nowym początkiem, wskutek czego po to, by zyskać wrażenie cofania się, ludzie musieli wrócić do pierwotnego porządku.

– Kapitalne – mówi Danny.

– Znacie to stare powiedzenie – mówi En, patrząc na mnie. – Druga strona medalu również ma drugą stronę.

Żegnamy się. En pochyła się za ladą i kiedy na chwilę znika, łapię płachtę gazety. Danny gestem nakazuje mi ją odłożyć. Wypadam na zewnątrz, Danny wychodzi za mną i wyszarpuje mi stronę z ręki. Rożek się oddziera i zostaje mi między kciukiem a palcem wskazującym.

– Co tam jest napisane?

– Bzdury, same bzdury.

Nad szpaltą z nagłówkiem *kireru* znajduje się zdjęcie kobiety w wielkich prostokątnych okularach na drobnym nosie.

– Co tam jest napisane? – powtarzam.

Danny patrzy na gazetę, jakby to był zastrzyk, który musi komuś zrobić. Zaczyna tłumaczyć z japońskiego:

– Obecna epidemia zbrodni popełnianych przez dzieci na dzieciach jest schorzeniem całego kraju zapoczątkowanym w 1988 roku sprawą Chizuru A., która zabiła Tomoyę Yu, chłopca ze swojej klasy, ugodziwszy go śmiertelnie nożykiem do otwierania listów projektu Morimoto. Od tamtego czasu wystąpiło kilka przypadków, ale aż do dziś sądzono, że to zjawisko dawno zanikło. Niestety jej ohydna spuścizna nadal żyje.

Twarz Tomoyi, ostre łuki jego brwi, modne uczesanie i kurtka tej samej marki co kurtki pozostałych uczniów, lecz starannie odprasowana i sprawiająca przez to wrażenie ładniejszej – wszystko to staje mi mimowolnie przed oczami. I ten jego wzrok zatapiający się we mnie jak jastrząb, który dostrzegłszy ofiarę, przysiadł na gałęzi.

– Obecna epidemia? – szepczę.

– Było parę incydentów. W Nagano, kilka tygodni temu, nastolatek samurajskim mieczem odciął przedszkolakowi głowę i zatknął ją na ogrodzeniu. Inny ugodził swojego nauczyciela w pośladek, gdy ten ocenił go na niedostateczny.

Robię kilka kroków i siadam na asfalcie. W pierwszej chwili pali, ale potem rozplywa się skwierczącym ciepłem po moich udach. Ciepłem, które mogłoby mnie pochłonać, pochłonać życia i uczynki wszystkich tych dzieci. Ogniem, który mógłby się wypalić, pozostawiając stojącego na popiołach chłopca, którego

zabiłam.

- Dalej. Czytaj dalej.
- To nie ma sensu.
- Proszę. Muszę wiedzieć.

Danny patrzy na mnie, a potem na gazetę.

– Te dzieci należałoby dożywotnio izolować. Kto raz zabił, będzie zabijał zawsze. Tylko tyle można zrobić dla dziecka, nawet własnego? Niektórych stworzeń nie da się poprawić.

Klękam i zakrywam twarz dłońmi. Czuję się zupełnie odsłonięta, jak w tym powracającym śnie, w którym z nieba, prosto na mnie, spada samolot, a ja, choćbym nie wiem, co robiła, nie mogę mu zejść z drogi.

– Autorka twierdzi, że to się dzieje z mojego powodu. – Wskazuję na krótkie teksty pod artykułem. Każdy z nich opatrzony jest fotografią. – A jak reagują na to ludzie? Czy oni też sądzą, że to moja wina?

Danny wciska gazetę do kosza na śmieci.

– To są bzdury i nie zamierzam czytać ani słowa więcej.

Zerkam przez okno na Ena, który odkurza ladę małą miotełką. Skupia się na tym zdecydowanie za mocno, co znaczy, że na pewno nas obserwuje. Pamiętałby śmierć Tomoyi Yu. Pamiętałby historię pół-Japonki, która wymyślnym nożykiem do otwierania listów dźgnęła w szyję ślicznego, bogatego chłopca.

– Jest dobrze. Nie ma się o co złościć. Ta dziennikarka nie ma nad tobą żadnej władzy. Nie skrzywdzi cię. – Oczy Danny są twarde i ciemne jak modlitewne koraliki.

Jej słowa brzmią jak obietnica. W moich uszach „Nie skrzywdzi cię” brzmi jak „Nie pozwolę jej na to”.

W dniu, w którym Tomoya Yu pojawił się w szkole, zapowiadano tajfun. Burza poszła bardziej na północ, powodując ostatecznie osunięcie się ziemi w prefekturze Kagawa, ale nigdy nie otrząsnęłam się z poczucia, że i tak spadła na nas katastrofa.

Przyjął się zwyczaj, że rodzic nowego ucznia (na ogół matka) składa wizytę w szkole, aby wyrazić uszanowanie dyrektorowi, wicedyrektorowi, nauczycielom, woźnym, paniom przygotowującym herbatę i tak dalej. Miało to symbolizować szacunek, zaufanie i – co najważniejsze – uległość rodzica wobec władz szkolnych.

Matka Tomoyi pojawiła się podczas lunchu, wyraźnie nieświadoma, że zakłóca przerwę porządkową uczniów i posiłek tych, którym chciała zaimponować. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Starsi nauczyciele, nawet dyrektor Doro-doro (miał zbyt blisko osadzone oczy, przez co przypominał postać z kreskówki) gięli się przed nią w ukłonach. Czas, który wybrała na odwiedziny, pozwolił nam oglądać to widowisko w trakcie wykonywania naszych codziennych obowiązków.

Gładkie czarne włosy opadały prosto jak ucięte nożem po obu stronach jej upudrowanej twarzy. Kąciki warg zabarwionych soczystą czerwienią unosiły się w uśmiechu ku ślicznym oczom i idealnie ukształtowanym brwiom. Miała na sobie granatowy bliźniak i spodnie khaki. Postukując obcasikami, unicestwiła ostrymi noskami skórzanych pantofli idealny stożek kurzu w kształcie góry Fudzi, który był wynikiem mojego zamiatania przez ostatnie pięć minut. Buciki pasowały do paska i torebki ze złotą sprzączką. W najlepszym możliwym znaczeniu tego słowa nie była stąd – w przeciwieństwie do mojej mamy, która nie była stąd w sposób, o którym ludzie szeptali.

Ojciec Tomoyi przyszedł do szkoły pod koniec dnia; plotkowano, że piastował jakieś wysokie stanowisko w rządzie. Patrzyliśmy, jak niespiesznie idzie korytarzem w towarzystwie dyrektora, który chociaż wyższy, wydawał się jakby mniejszy, kiedy przygarbiony szedł pół kroku za swoim gościem.

Całe Ryozen-ji to wytarte kamienie i ciemne, podniszczone drewno. Na środku staw z fontanną. Do rzucającej chleb staruszki podpływają stadka złotych rybek. Gdy kobieta odrywa kawałek i wyciąga go przed siebie, biało i pomarańczowo cętkowana rybka całkowicie wyskakuje z wody, a wtedy kobieta puszcza chleb. Rybka chwytą go i wpada z pluskiem do wody.

Wczesnopopołudniowe światło pada na pokryty porostami gładki, wyższy i nieco szerszy od człowieka. Przesuwam palcem po jego powierzchni i wyrytych w nim literach. Kamień jest gładki i chłodny. Znam niektóre z tych *kanji*. Cyfra jeden – linia prosta – i kilka kresek obok, które oznaczają świątynię. Dalej rozpoznaję kolejny znak, podzielony kwadrat. Słońce. To tutaj tylu ludzi rozpoczynało swoją podróż – albo też, dwadzieścia lat temu, ją kończyło. Zastanawiam się, czego szukali ci nieznajomi i ilu z nich to znalazło. Dziadek Nao stał tu na długo przed tym, zanim się urodziłam i zanim Hiro dotknął skrzypiec. Czy był radosny? Poważny? Czy był silny i sprawny, czy głowę porastały mu gęste włosy? Może któregoś dnia Sal i Lily przyjadą tutaj i zastanowią się, kim byłam, kim jestem teraz.

Wkrótce zapytam Danny o Kawano. Dziś. Czy wiedziała, że tam jestem? Czy myślała o tym, żeby przyjechać? Nie potrzebuję przeprosin. Po prostu chcę wiedzieć.

– Ze wszystkimi świątyniami na trasie pielgrzymki związana jest jakaś legenda. Wyjątek stanowi ta jedna – mówi Danny, czytając z przewodnika. – Najwyraźniej oznaczenie numerem jeden wystarcza.

Dwóch mężczyzn w *hakui* staje obok misy do mycia rąk i pali papierosy. Kiwają nam głowami.

Danny odwiedziła wcześniej kilka świątyń będących celem pielgrzymek i wie, jak się zachować. Prowadzi mnie przez kolejne etapy. Wylej wodę na dłonie. Zapal trzy świece, by oczyścić ciało, umysł i duszę. Zadzwoń dzwonkiem. Kłaśnij w dłonie. Wyrecytuj sutrę tej świątyni. Sutra wypisana jest prostymi znakami *hiragana*, które są mi znane, lecz nie potrafię ich czytać odpowiednio szybko i w końcu mamrocze coś do wtóru biegle recytowanych przez Danny inkantacji.

Następna świątynia na szlaku znajduje się kilometr dalej. Na jednym ze skrzyżowań stoi drewniany znak z pielgrzymem namalowanym czerwoną farbą i strzałką kierującą do punktu docelowego. Według Danny pierwszych pięć świątyń znajduje się przy tej utwardzonej drodze.

– Kiedy to właściwie zaczyna przypominać prawdziwą wędrówkę? – pytam.

– Jeszcze zdążysz się nacierpieć.

Słyszę świątynię na długo przed tym, zanim pojawi się w polu widzenia. Dźwięk przypominający bzyczenie dużego owada. Kiedy podchodzimy bliżej,

uzmysławiam sobie, że to nie jest jakaś nowa odmiana cykady, lecz odgłos skandowania dużej grupy ludzi.

Na środku dziedzińca rośnie ogromne drzewo, a jego gałęzie rozpościerają się nad ziemią jak parasol. Tak jakby kamienie, krzewy i sama świątynia spadły z tych konarów.

– To jest *chomeisugi* – czyta Danny z przewodnika. – Cedr Długiego Życia liczący ponad tysiąc lat. Ci, którzy go dotkną, dożyją sędziwego wieku.

Kładę dłonie na olbrzymim pniu. Jest ciepły jak ciało.

– Nie dotkniesz go? – pytam.

Danny uśmiecha się i znika za pniem.

Masywne korzenie napierają z ziemi. Balansuję na jednym z nich, jakby to była równoważnia. Na końcu znajduje się mała figurka ubrana w czerwony śliniaczek. Dwa półksiężycy wyginają się łukiem na kamiennej twarzy posążku, tworząc oczy. Uszy są nienaturalnie długie; ich płatki wyrastają ze szczęki.

Takie posążki nazywane są Jizō. Pamiętam z dzieciństwa uroczystość dla Carli, przyjaciółki moich rodziców, która miała aborcję. Mama mi powiedziała, że Jizō troszczy się o dzieci, którym nie dane było się urodzić. „Dokąd one idą?”, zapytałam. „Zostają w niebie”, odpowiedziała. Jizō pilnuje, by dostały kolejną szansę. Chciałam pytać dalej: Co robią te dzieci, kiedy czekają? Jeśli dostaną drugą szansę, to czy urodzą się tym samym rodzicom, czy innym? Czy gdybyś był dzieckiem drugiej szansy, wiedziałbyś o tym?

– Legenda głosi, że ciężarna kobieta, która kilkakrotnie poroniła, przysłała tu, by znaleźć Kūkaia i otrzymać od niego pomoc – mówi Danny. – Przeszła trasę odwrotnie i spotkała go tutaj, właśnie wtedy, gdy zaczęły się jej bóle porodowe, i powiła zdrową dziewczynkę.

– Niewiele brakowało, a urodziłabym swoją córkę w lesie – mówię.

Lily przyszła na świat trzy tygodnie za wcześnie. Wody mi odeszły, kiedy byłam na spacerze z psem. Pies, wabiący się Snafu, ocalona ze schroniska krzyżówka labradora z bokserem i collie, obwąchiwał moje mokre kolana i lizał je, kiedy dzwoniłam po Sala. Gdy urodziła się Lily, Snafu zaopiekował się chłopak pracujący z Salem. Nie ufałam temu psu. Nie ufałam niczemu, co uratowano.

– Przerzucaliśmy się imionami. Dla dziewczynki obojgu nam podobały się Sadie, Madeline i Lily. No więc stoję tam, ociekam wodami płodowymi i panikuję. Podnoszę wzrok i pierwszą rzeczą, jaką widzę, jest łan lilii. Wiedziałam już wtedy, że to będzie dziewczynka, i to się sprawdziło. To było prawie dwanaście lat temu. Dwudziestego czwartego września.

Danny z zachwytem klaszcze w dłonie.

– Zawsze są znaki, o ile się ich wypatruje. Moja mama, gdy była ze mną w ciąży, odwiedziła jasnowidza. Powiedział jej, że wyjadę daleko, odniosę ogromny sukces, zwykłe gadanie. Ale przewidział też, że będę miała problemy

z głową. Mama była przerażona, że urodzę się z dziurą w czaszce czy jakimś innym koszmarem. Pojawiłam się na świecie ze znamionami.

– Musiała poczuć ulgę.

– Początkowo. Ale kiedy nie zbladły, no cóż... Wiesz, jakie są dzieci. W gimnazjum próbowałam je ukryć pod makijażem, ale wyglądało to jeszcze gorzej. Szkoda, że nie słyszałaś, jakie wymyślali mi przezwiska.

– Na przykład?

– Żyrafa. Puzzle. Inne były bardziej dosadne. Dupogęba. Obsrana morda.

– Obsrana morda? – Odchrząkuję. – Przepraszam... Nie powinnam się śmiać.

Zbывa mnie takim gestem, jakby zdejmowała pajęczynę.

– To wszystko przeszłość. Kształtowanie charakteru.

– Można i tak na to spojrzeć.

– Nadałam im imiona. Częścią procesu godzenia się z ich istnieniem było nadanie im tożsamości. Takiej, nad którą miałam władzę. To jak nadawanie imienia zwierzątku domowemu. – Wskazuje na długie wygięte znamię biegnące wzdłuż jej szczęki. – To jest Bumerang, inaczej Boomie. Powyżej jest Starla, to ze względu na kształt, a to... – dotyka kleksa w kształcie ameby na szyi – ...jest Frank.

– Cześć, Frank – mówię, kłaniając się. – Miło mi cię poznać.

Danny okrąża drzewo. Jizō wyglądają jak dzieci czekające w milczeniu na adopcję. Kiedy dostaną swoją szansę? Czy niektóre z nich już ją dostały?

Chūzetsu – aborcja – to jedno z przezwisk, które nadał mi Tomoya Yu. Wciąż słyszę jego niski głos. Wydawało się, jakby ciągle miał chrypę, więc kiedy brał oddech, to zanim się odezwał, rozlegało się takie ciche „klik”, jak przy odbezpieczeniu pistoletu. Zastanawiam się, czy Danny to pamięta – czy pamięta ten pierwszy raz, kiedy mnie wybrał. Tamtego dnia Danny mnie uratowała. Uratowała i przeklęła.

Po lunchu był czas na sprzątanie: dwadzieścia minut, podczas których uczniowie zamiatali podłogi, opróżniali kosze na śmieci, zakładali świeże rolki papieru toaletowego albo chowali się na schodach. Dzień był pochmurny, a niebo jak beton. Przez wychodzące na dziedziniec okna wpadało mdłe światło. Na korytarzu śmierdziało kleenem, różowym płynem dezynfekcyjnym, który przyjeżdżał w osiemdziesięciolitrowych pojemnikach. Nienawidziłam tej substancji. Jeszcze długo po wyschnięciu zajeżdżała zgniłymi różami.

Dzieci wielbiły modne ubrania Tomoyi i jego wielkomiejski akcent, więc chłopak nigdy nie dotknął ścierki. Zamiast tego codziennie wybierał sobie niewolnika, żeby ten odwał za niego robotę. Kogokolwiek by wybrał, ten przewracał oczami i udawał, że się złości, ale widać było, że tak naprawdę jest zadowolony.

Wycierałam tablicę panny Danny, co należało do moich regularnych obowiązków. Tomoya podszedł i stanął twarzą kilka centymetrów od mojej twarzy. To był pierwszy raz, kiedy się do mnie odezwał.

– Ej, kartoflu.

Zignorowałam go i mocniej przycisnęłam gąbkę. Była wielka i płaska, z jednej strony miała przymocowanych kilka warstw filcu. Lubiłam czyścić tablicę do ostatniej kredowej smugi. W ten sposób, gdy zasiadaliśmy do lekcji angielskiego, otwierała się przed nami pełnia możliwości.

– Powiedziałem: Ej, tłusty kartoflu! – wrzasnął, nachylając się nad moim uchem. – Twoja kolej, żeby odpracować za mnie podłogę.

Pokręciłam głową, nie podnosząc na niego wzroku. Panna Danny miała alergię na kredowy pył i gdybym nie wyczyściła tablicy, przez całą lekcję kichałaby i pociągała nosem.

– Może dzięki temu trochę stracisz na wadze – powiedział i zachichotał. Wsadził ołówek do temperówki przymocowanej do ściany i zaczął obracać korbką. – Przechadzki do sklepu z cukierkami nie liczą się jako ćwiczenia, kumasz?

Kiedy odwróciłam się w jego stronę, zobaczyłam gromadzące się w drzwiach dzieciaki.

– Muszę skończyć z tą tablicą – powiedziałam.

Skupiłam się na szorowaniu lepkiej plamki obok półeczki na kredę, skąd przed chwilą usunęłam gumę do żucia. Kątem oka dostrzegłam jego zmierzającą w moją stronę prawą dłoń, w której trzymał świeżo zaostrzony ołówek. Drgnęłam i uniosłam rękę. Z palców wysunęła mi się gąbka, uderzyła Tomoyę w pierś, buchnęła mu w twarz chmurą bladożółtego pyłu, po czym wylądowała na jego nowych, śnieżnobiałych tenisówkach.

Kredowy osad przywarł do nóg Tomoyi, który zatoczył się w tył i zamrugał, po czym zaczerpnął powietrza i odezwało się to „klik”, a po nim szybki, głęboki wdech, który miał być paliwem dla strumienia obelg. Lecz zamiast przemówić, Tomoya zaczął kasłać.

Zgiął się wpół, ze świstem wciągając powietrze, a kark mu poróżwiało. W drzwiach gromadziło się coraz więcej dzieci. Kiedy Tomoya się wyprostował, po policzkach płynęły mu łzy. Ktoś zachichotał i cała grupa zawtórowała mu śmiechem.

– Zamknąć się! – Tomoya wciągnął powietrze, zrobił krok w moją stronę, przycisnął palcem skrzydełko nosa i smarknął.

Na moim przedramieniu wylądował długi glut, ciepły, a po chwili chłodny. Zaczęłam kasłać. Czarny organ potrzebował powietrza, potrzebował odetchnąć. Pięści tak mocno zacisnęły się przeciw temu wzbieraniu w piersiach, że potem jeszcze przez pół godziny miałam wewnątrz dłoni różowe ślady paznokci.

– Tomoya Yu! – odezwał się przenikliwy kobiecy głos, po czym panna

Danny, moja bohaterka, stanęła za nim, położyła mu dłoń na ramieniu i pociągnęła go w stronę drzwi. – Co cię napadło? Ze wszystkich paskudnych, obrzydliwych... – ciągnęła po angielsku, krzycząc i gestykulując wolną ręką. Rozszyfrowanie jej nowozelandzkiego akcentu już na lekcji było wystarczająco trudne, a kiedy była zdenerwowana, żaden z uczniów nie miał szans jej zrozumieć.

Przeszła na japoński.

– Czy masz w swojej szafce zapasową koszulę do szkoły?

Tomoya skinął głową.

– Dobrze. Zdejmij tę.

Nie wyglądał już jak chłopak, który rozstawia wszystkich po kątach. Pokręcił głową.

Panna Danny powtórzyła polecenie.

Tomoya powoli rozpiął koszulę i zdjął ją, po czym stanął w za krótkim podkoszulku z zieloną plamą na przodzie, spod którego wystawał mu brzuch.

Rzuciła mi jego koszulę i powiedziała:

– Wytrzymaj to tym. Będzie mógł wytłumaczyć tę plamę swojej matce.

Zaczęłam wycierać smarki, a ona wyprowadziła Tomoyę na korytarz.

– Ona ma jego koszulę – zaszeptał ktoś. – Ale obciach!

– Co ona powiedziała, Chizuru? – zapytała Harumi Yonezu, śliczna dziewczyna z drużyny siatkarskiej. – Po angielsku. Czy ona powiedziała coś złego?

Przetłumaczyłam mojej zasłuchanej publiczności każde słowo, dodając więcej niż kilka od siebie. Jeśli nie liczyć panny Danny i mojej mamy, nikt nigdy nie słuchał mnie tak uważnie. Przez cały czas, gdy mówiłam, a z mojej piersi dobywał się szmer aprobaty, czułam na sobie wściekłe spojrzenie stojącego na korytarzu Tomoyi. Stał twarzą do panny Danny odwróconej do nas plecami, ale patrzył wprost na mnie. Odpowiedzenie mu takim samym spojrzeniem było rzucaniem wyzwania, ale nie potrafiłam się opanować. Cisnęłam jego koszulę na podłogę i kopnęłam ją pod biurko. Ktoś ją podniósł dwoma palcami i zachichotał.

– Paskudztwo! – krzyknął ktoś inny i koszula zaczęła latać to tu, to tam, aż wreszcie wylądowała na brzegu kosza na śmieci.

Inni w tym czasie też patrzyli na Tomoyę, ale mieli mniej do stracenia, a on nie patrzył na nikogo poza mną. I tak to się zaczęło. Wszyscy wiedzieli, że Tomoya jest rekinem; zataczając powrotne koło, upatrzył sobie za cel tego, kto go sprowokował. Upatrzył sobie bezbronną ofiarę.

Ta droga mnie zabija. Jest asfaltowa, szara, nudna. Gorąca. Karłowate drzewa nie dają cienia, czubek głowy gotuje mi się pod kapeluszem. Jaka część tej trasy wygląda właśnie tak? Gapię się na odległe, porośnięte lasem wzgórza – takie bujne, takie ciche. Dlaczego nie mogłyśmy zacząć tam? Samochody trąbią, a mijający nas kierowcy krzyczą: *Ganbatte!* Nie ustawajcie! Dochodzimy do opierającej się o barierkę pary w średnim wieku w pełnym pielgrzymim

rynsztunku. On coś dłubie przy aparacie cyfrowym, ona rozmawia przez komórkę. Gdy ich mijamy, żadne nie podnosi na nas wzroku.

Danny na każdym postoju czyta fragmenty ze swojej książki. Tę świątynię zbudowano w intencji rybaków i rodzących kobiet, tamta leczy schorzenia oczu i narządów w jamie brzusznej.

Powietrze jest wilgotne i pachnie olejem silnikowym. Włosy przylepiają mi się do karku. Obtarłam sobie skórę na podbiciu lewej stopy. Chodzenie z plecakiem najwyraźniej ociera mi stopy inaczej niż bieganie. Choć Danny się nie zdradza, ciemne plamy pod jej pachami i powolność tempa każą mi się domyślać, że wypatruje przystanku tak samo jak ja.

Jest już po piątej, kiedy schodzimy z szosy i pejzaż wskakuje na swoje miejsce. Dolina rzeki Yoshino jest gęsto zarośnięta, ale szeroko otwarta, a do tego pulsuje żabim rechotem i cykaniem cykad. Świat ma tutaj wszystkie odcienie zieleni: krzewy miewają barwę limonki, a drzewa są tak ciemne, że aż niebieskie. Tu nie ma już asfaltu – nasza nowa gruntowa droga jest miękka i nierówna. Kroczenie nią wypełnia mnie poczuciem celowości. Coś mi się w środku przestawia.

Danny wyrzuca ręce w górę.

– Tutaj jest uzdrawiająca energia.

Moja podróż nie należy do łatwych, ale odbywam ją. Każdy krok odczuwam jako drobne zwycięstwo – nad bólem karku i ramion, nad zmęczeniem, nad tym, co zobaczyłam w gazecie. Jestem pielgrzymem. Po raz pierwszy od urodzenia Lily czuję, jakby w moim życiu nastąpił jakiś ruch – nie w bok, ale naprzód.

– Widzę, że nadal lubisz nucić.

– Nie nuciłam.

– Pamiętam, jak byłaś uczennicą, w klasie było cicho, bo wszyscy pracowali nad jakimś ćwiczeniem, a ty, proszę, nuczysz sobie w pierwszym rzędzie. Nie uświadamiałaś sobie nawet, że to robisz.

A więc to prawda: Lily faktycznie ma ten nawyk po mnie. Nuci, mruczy i podśpiewuje sobie w łóżku, w trakcie gry i czytania książki. To urocze, ale tylko do pewnego momentu. Zaczęła to robić kilka tygodni temu, kiedy razem z Salem układali puzzle, a ja próbowałam sobie poczytać. Nigdy nie śpiewała żadnej konkretnej melodii, więc nie sposób się było dostroić.

– Lil. Przestań, proszę – powiedziałam.

– Co mam przestać?

– Nucić.

– Nie nucę.

– Owszem, nuczysz.

Minęła minuta. Hhmm-hmhm-hmmm. Sal i ja wbiliśmy w nią spojrzenia. Podniosła wzrok, nie przestając nucić, i po chwili wybuchła śmiechem.

– Faktycznie nucę! – wykrzyknęła, zachwycona. – To wariactwo. Mogę coś zrobić i nawet o tym nie wiedzieć.

– Ma to po tobie – powiedział Sal.

– Po mnie? Ja nie nucę.

– Owszem, nucisz – powiedzieli Sal i Lily jednocześnie. – Robisz to, kiedy jesteś szczęśliwa – powiedziała Lily. – My to lubimy.

Opowiadam Danny tę historię, a ona mówi:

– Cieszę się, że czujesz się szczęśliwa.

Misa do mycia rąk znajdująca się w piątej świątyni, Jizō-ji, wymaga naprawy. Z dachu zwisa kilka gontów, a jedna z drewnianych podpór zupełnie przegniła. Do najbliższej belki przymocowano cynowy kubek, z którego wystają wąskie taśmy kolorowego papieru – *osame-fuda*, paski z imionami, które pielgrzymi zwyczajowo noszą ze sobą na szlaku.

Miło jest wiedzieć, kto przyszedł tu wcześniej, i pozostawić ślad dla nieznanego, który nadejdzie. Żałuję, że nie kupiłam pasków dla siebie.

– Co oznaczają różne kolory?

Danny kartkuje przewodnik.

– Biały oznacza, że przeszedłeś trasę pielgrzymki cztery razy lub mniej. Zielony: od pięciu do siedmiu. Czerwony: od ośmiu do dwudziestu czterech. Srebrny: do czterdziestu dziewięciu.

Unoszę gruby pasek złotego brokatu.

– Czy na tym jest napisane osiemdziesiąt trzy lata? Potrafisz odczytać z tych *kanji* imię?

– Takaro Sakabuchi. Osiemdziesiąt trzy! Może i jest zgrzybiałym staruszkiem, ale przeszedł tę trasę ponad sześćdziesiąt razy.

Zastanawiam się, jak wyglądają stopy Takaro. Może wędruje boso, jak członkowie plemienia Ute, którzy zawsze wygrywają biegi przełajowe pod Boulder? Odkładam pasek Takaro i wyciągam biały. Informacja o pielgrzymie nie jest wypisana pismem japońskim, lecz literami alfabetu łacińskiego: SHINOBU OEDA. LAT 20.

– Shinobu... Kobieta.

– Taka młoda i sama wędruje – mówi Danny. – Uwielbiam patrzeć, jak dzieci kontynuują tradycje. Wielu moich uczniów ma taką obsesję na punkcie kultury zachodniej, że zapomina o własnej.

– A my, proszę: dwie *gaijin* na japońskim szlaku, kontynuujące japońską tradycję.

Zatapia we mnie spojrzenie.

– Naprawdę czujesz się jak *gaijin*?

– Zgodnie z paszportem nią jestem. I tak wyglądam.

– A tutaj? – Dotyka swojej piersi.

– Właściwie wszędzie czuję się jak obca.

Stoję w drzwiach, gdy Danny robi miejsce w pokoju z ośmioma matami, który zarezerwowała w *minshuku*. Po kąpeli czuję się jak nowo narodzona.

Jedną trzecią podłogi pokrywa lawendowa mata do jogi Danny. Resztę zajmują torebki ziół i ubrania farbowane po zawiązaniu w supeł. Ułożone w stertę obok jej przewodnika książki znam z poczekalni St. Mary's: *Uzdrowianie od środka. Zmęczona i fantastyczna. Trening duszy: pokochaj swój ból*. Ostatnia jest jedną z najpopularniejszych pozycji dla pacjentów z chronicznym bólem.

Odsuwam szturchnięciem zawadzający stosik ubrań i siadam na *tatami*; w nozdrza silnie uderza wydzielany przez matę zapach ryżowej słomy.

– Jesteś chora.

Danny nie przerywa układania. Mam już powtórzyć to, co powiedziałam, kiedy odzywa się tonem tak spokojnym, jakby recytowała adres.

– Trochę szybciej się męczę. Od czasu wykrycia czerniaka raz jest lepiej, raz gorzej.

W jej ustach słowo „czerniak” brzmi nie bardziej złowroźnie od czkawki.

– Boże, Danny. Czerniak? Kiedy?

– Lata temu. – Odsuwa na bok loki, odsłaniając linię włosów wzdłuż karku i bliznę przypominającą rozgwiazdę. – Chirurg sfuszerował sprawę.

Pochylam się, by przyjrzeć się bliżej. Skóra jest ciemna i pomarszczona. Danny się wzdryga.

– Przepraszam. – Odsuwam się. – Dawno?

– Ta? W przyszłym roku będzie sześć lat. A ta... – podciąga rękaw T-shirtu, odsłaniając ładniej wyglądającą, choć dość długą bliznę – ...dziesięć lat temu. – Macha palcami. – *Lentigo maligna*.

– Brałaś chemię za pierwszym i za drugim razem?

– Za pierwszym razem dziewięć miesięcy. Potem siedem. Powiedziałam lekarzowi, że jeśli to kiedykolwiek wróci, to mówię pas. Nie będę jeszcze raz przez to przechodzić.

– I od tej pory łatwo się męczysz.

– Okazjonalne napady. Ale kiedy się starzejesz, takie rzeczy są normalne. Ty jesteś na to jeszcze o wiele za młoda.

Wygląda kwadrat fioletowego jedwabiu i odchrząkuje, ale już nic nie mówi.

– To się nie wiąże z menopauzą. Ile masz lat: pięćdziesiąt? Kiedy ostatni raz robiłaś sobie badania?

– Pięćdziesiąt pięć – mówi, niepotrzebnie podkreślając słowa. – I wiem, jak o sobie zadbać. Mam system.

Proszę, by siedziała bez ruchu, i oglądam mapę znamion i pieprzyków na jej ramionach i szyi, wypatrując nietypowości. Pod moim dotykiem Danny sztywnieje. Jestem przyzwyczajona do dotykania, poszturchiwania i obmacywania ciał, ale dla

niej jest to najwyraźniej rzadkie i intymne uczucie. Staram się to zbagatelizować.

– Codziennie oglądam dziesiątki pieprzyków. Widziałam już naprawdę wszystko – mówię. Rozluźnia ramiona, ale tylko trochę.

Większość pacjentów ma wobec chemioterapii nastawienie „nigdy więcej”. Ale przy każdej wznowie – a przy czerniaku zdarza się to dość często – wracają stoczyć kolejną walkę. Cierpienie ma swoje sposoby, by umknąć człowiekowi z pamięci.

– Wiem, co sobie myślisz. Ale nie chcę być jedną z tych osób, które chodzą na trzy wizyty lekarskie w tygodniu i krążą od gabinetu do gabinetu tylko po to, by usłyszeć, że nie ma dla nich ratunku.

Podciągam jej koszulkę i oglądam skórę na łędźwiach. Kilka przypadkowych pieprzyków, ale nic niepokojącego.

– Zawsze tak łatwo nabijałaś sobie siniaki? – pytam, przyglądając się linii jasnoniebieskich śladów na jej biodrze.

– Chyba tak. Pewnie brakuje mi cynku czy czegoś takiego.

Opuszczam jej koszulkę i pytam pogodnie:

– Więc w każdym pokoju, w którym się zatrzymujesz, organizujesz sobie dom?

– To taki drobny rytuał. Pozwala mi poczuć się u siebie.

Pociąga za sznurki jedwabnej torebki i wysypuje na szmatkę jej zawartość: kamienie, muszle i kawałek stopionego czerwonego plastiku. Przypomina to kolekcję z regału Lily. Odrobina piasku rozsypuje się na drewnie i wpada między deski. Na widok uwieczonych w szczelinach ziarenek ciarki przechodzą mi po plecach. Chcę je pozbierać i zanieść z powrotem na plażę, wnieść swój wkład w walkę z entropią. Patrzę na sufit: wygląda jak zrobiony z tektury, w jednym kącie ciemnieje plama po zalaniu.

– Skąd masz te rzeczy? – pytam.

– Och, zewsząd. Idziesz sobie drogą wybrukowaną kamieniami i nagle – hop! – coś ci się rzuca w oczy, jakby tylko czekało, aż się pojawisz. Zawsze, gdy zrobiłam coś wyjątkowego, co chciałam sobie utrwalić w pamięci, podnosiłam jakąś rzecz z ziemi. Potem mogę te przedmioty wyciągnąć i przypomnieć sobie lepsze czasy.

– Ciekawe.

W swoim głosie słyszę ton Lily, która mówi o rzeczach, że są ciekawe, tylko wtedy, gdy w sposób oczywisty nie są.

Danny bierze długi, głośny wdech. Coś furkocze jej w jednej z dziurek nosa.

– Przynieść ci chusteczki?

– Nie. Cokolwiek to było, już poleciało do środka.

Wciskam opuszkę palca w szczelinę drewnianej podłogi i wydłubuję kilka drobinek piasku. Muszę wyjść, zanim Danny weźmie następny taki wdech.

– Chyba się przewietrzę – mówię, wstając.

– Jak sobie chcesz.

Ulice są puste. Samotna latarnia rzuca na drogę cytrynowy krąg. Wokół żarówki trzepoczą ćmy. Poza kręgiem światła chodnik od kamienistego brzegu rzeki oddzielają bryły betonu. Przeskakuję przez ten prowizoryczny mur i klucząc między kolczastymi krzewami wyglądającymi jak berberys, staję na grząskim brzegu rzeki Yoshino. Nie jest to najpiękniejszy ciek wodny – w niektórych miejscach na wpół wysechł, w innych okalają go jakieś chaszczce i pstrzą śmieci. Podczas tygodniowego letniego święta *O-bon* ludzie puszczażą na wodę papierowe lampiony, by oddać cześć zmarłym. Czasem lustro wody zupełnie znika i rzeka staje się świetlistą drogą. W dolnym biegu niewykwalifikowani pracownicy opłacani przez rząd czatują przez całą noc i za pomocą długich kijów wyławiają lampiony, by nie zanieczyszczały morza.

Kiedyś zobaczyłam, jak jeden z lampionów zajął się ogniem. Papier był tak cienki, że wydawało się, jakby wszystko zniknęło w jednym rozbłysku światła. Dziadek Nao powiedział, że to zły znak, ale mnie w głębi ducha uradowała śmiałość lampionu wśród całej tej jednorodności.

Drobna fala rozbija się o brzeg, mocząc mi czubki butów. Zimna wilgoć przesącza się przez materiał. Zdejmuję buty i skarpetki i staję boso w rzece, pozwalając jej uśmierzyć ból obolałych stóp. Nad moją głową gwiazdy dziurawią nocne niebo. Księżyc jeszcze nie wzeszedł – wpatrywanie się w horyzont przypomina gapienie się na pociemniały ekran filmowy w oczekiwaniu na rozpoczęcie projekcji.

Po incydencie z gąbką i upokorzeniu Tomoyi przez pannę Danny cieszyłam się kilkoma dniami milczącej sławy – nikt nie zaoferował mi swojej przyjaźni, ale na twarzach wcześniej dla mnie zamkniętych pojawiły się porozumiewawcze uśmiešky.

Tydzień później zaczęły się zajęcia z rysunku. Tomoya zatytułował swój komiks *Przygody Thustego Kartofla* i puścił go w obieg wśród uczniów klas szóstych. Nikt nie przyszedł, żeby mi o tym powiedzieć, ale w końcu jeden z nich zbeczelniał na tyle, by zostawić mi egzemplarz na biurku.

Thusty Kartofel uczy się jeść dupą – głosił podpis. *Tym sposobem może zjeść dwa razy więcej. Gównno wychodzi mu uszami.*

W kolejnych dniach zrezygnowałam ze swoich zwykłych wypraw do sklepu ze słodyczami Ame-Ame. W domu przesiadywałam w łazience, której drzwi można było zamknąć, i rysowałam w odwecie własne rysunki: plastyczne wyobrażenia koszmarnych rzeczy, które chciałam zrobić Tomoyi Yu. Odmawiałam jedzenia kolacji i rozmowy z mamą. Bycie skarżypytą byłoby gorsze niż bycie grubą *hafu*.

Ale mama znalazła rysunki i uparła się, żeby porozmawiać z nauczycielami.

Powiedziała, że aż takie dokuczanie sobie przez uczniów nie jest w porządku. Te dzieci powinny zostać zawieszane. Słyszałam, jak kłóciła się o to z moim ojcem. Zbagatelizował sprawę. W Japonii dyscyplina nie działała w ten sposób.

Mama podjęła pochopną decyzję. Kiedy następnego dnia Hiro wyjechał do Tokio, zaciągnęła mnie do wicedyrektora, Miura-sana. Usiadłyśmy naprzeciw niego w jego gabinecie i mama swoim nieporadnym japońskim wyjaśniła, że dzieci mi dokuczają. Miura-san słuchał z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Moja twarz płonęła. Wstyd bycia ofiarą był niczym w porównaniu z tym. Mama zasługiwała na śliczną córeczkę – tańczącą z gracją drobnokościstą dziewczynkę o włosach płynących jak woda, którą wszyscy mogliby się zachwycić.

Kiedy skończyła, Miura-san spojrzął przez nią i powiedział:

– Dzieci sobie dokuczają, a my nie możemy nic z tym zrobić. To naturalne i każde dziecko musi sobie z tym radzić.

Mamie rumieńce wypłynęły na policzki. Miura-san unikał jej wzroku. Widziałam, że jej uroda budzi w nim zakłopotanie.

– To absurdatne. To nie jest zwykłe dokuczanie. Ona wraca do domu z płaczem. Rysuje obrazki pełne przemocy.

Ku memu przerażeniu wyjęła moją ostatnią pracę: rysunek eksplodującej głowy dobrze ubranego chłopca. Sporo czasu zajęło mi staranne wyrysowanie tkanki mózgowej.

Miura-san spojrzął na rysunek beznamiętnie. Powiedział, że w mieście jest szkoła międzynarodowa. Może lepiej odnajdę się tam.

– Ona się dobrze odnajduje tutaj! – krzyknęła moja mama po angielsku. Po twarzy Miura-sana przemknął strach, który szybko ustąpił irytacji.

– Zbadamy tę sprawę – powiedział, podnosząc się i patrząc na zegarek. – Na razie jestem pewien, że pani córka dołoży starań, by rozwiązać ten problem. – Skinął mamie głową. – Jak najwyraźniej zrobiła pani w swoim przypadku, pani Akitani. – Po czym zwrócił się do mnie: – Jest wiele zajęć sportowych po szkole. Może chciałabyś spróbować pograć w siatkówkę? Albo popływać... No cóż, popływać może jeszcze nie teraz. – Spojrzął wymownie na mój brzuch. – Może lepszy byłby badminton.

Później, kiedy już opadło ze mnie upokorzenie, nie mogłam odżalować, że wtedy nie przyszło mi do głowy napluć mu w twarz. Albo wydmuchać nos tak, żeby mu zasmarkać garnitur. Ale tylko stałam tam, przetrawiając jego słowa. Usłyszałam to, czego nie powiedział: To twoja wina.

Mama zerwała się z krzesła.

– Jak śmiesz udzielać jej porad zdrowotnych? Cuchniesz papierosami, ty obrzydliwy staruchu. Kiedy ostatnio sam włożyłeś buty do biegania? Albo – Boże broń! – kąpielówki?

Tym razem wytrzymał jej spojrzenie. Jego odpowiedź została udzielona po japońsku.

– Ja nie mam problemu z odnalezieniem się, pani Akitani. Moje sugestie miały pomóc Chizuru. Jak to się mówi: wskazując jednym palcem, pozostałymi czterema wskazujesz na siebie. A teraz, jeśli pani wybaczy, muszę się udać na zebranie.

Po powrocie do domu mama poszła do łóżka z bólem głowy. Zjadłam kolację sama: puszkę pasty ze słodkiej czerwonej fasoli i pudełko herbatników z mąki razowej.

Moje stopy przywykły do wody i zniknęło przynoszące ulgę uczucie chłodu. Teraz piasek i otoczaki leżące na brzegu kłują wrażliwe opuszki palców. Jest zupełnie ciemno. Czas wracać. Księżyc wybija się zza drzew upiornym czerwonym garbem. Księżyc-hurma, powiedziałby mój ojciec. Szybko dojrzewa, szybko gnije. To tylko światło zniekształcone po przejściu przez zanieczyszczoną atmosferę, powiedziałaby Sal.

Z butami w rękach wychodzę z wody i wycieram stopy o kępę zielska.

Gdzieś od strony drogi dobiegają mnie głosy. Snop światła z latarki porusza się zygzakiem i pada na mnie.

– *Konbanwa!* – woła młody mężczyzna. W jego dłoni błyska długie ostrze. Chłopak zniża głos. – To dziewczyna, sama.

Z ciemności dobiegają śmiechy; jest ich tam jeszcze co najmniej dwóch. Unoszę dłoń wnętrzem do światła: czterech nastolatków, dwóch niższych od tego, który stoi, i sarta na wpół zgniecionych puszek po piwie. Na kamieniu między nimi metalowy pojemnik z klejem albo farbą. Odurzające się miejscowe dzieciaki to jeszcze nie powód do niepokoju. Nie podoba mi się jednak ten nóż.

Chłopak, który krzyknął, robi kilka kroków w moją stronę, potyka się o krzak, ale odzyskuje równowagę. W jednym ręku trzyma scyzoryk, w drugim potężną metalową latarkę. Myślę o Tomoyi ostrzącym ołówek. „Gdybym cię dźgnął, pękłabyś?”.

– Hej, jesteś cudzoziemką? – pyta chłopak po japońsku. – Chodź, zabaw się z nami. – A potem: – Móisz po anielsku? *Sexy lady!* Eeelo, szęsto tu bywasssz? – Ma szkliste, nabiegłe krwią oczy.

Serce wali mi w piersi. Po prawej mam splecione krzaki, zbyt gęste, żeby się przez nie przedrzeć, za sobą wodę. Jeśli nie zerwę się do ucieczki, nie ma sposobu, żeby go obejść.

Muszę być głośna i pewna siebie.

– Na ulicy kręci się policja – krzyczę po japońsku z miejscowym akcentem, jaki wczoraj słyszałam u Ena. – Powinniście uważać.

Chłopak mruga i ogląda się nerwowo na ulicę. Na dźwięk moich słów jego przyjaciele rzucają się zakryć klej.

– Przecież możemy się zaprzyjaźnić – mówi, gestykulując nożem. Zaczyna się histerycznie śmiać.

Rzucam się sprintem w stronę drogi. Chłopak z latarką wpada w cierniste krzaki. Otoczaki i ostrzejsze kamienie wbijają mi się w podeszwy.

– RAAR! – ryczę na pozostałą trójkę, odsłaniając zęby i kręcąc butami za sznurówki. Przeskakuję przez murek. Trzydzieści metrów dalej, po drugiej stronie drogi, przy wejściu do zajazdu, zginam się wpół, by złapać oddech. Z plaży dobiegają wybuchy śmiechu.

– Chcemy się zaprzyjaźnić! Śliczna panienko, mówiąca po japońsku cudzoziemko! Jesteś demonem? RAAR!

Danny rozdziawia usta. Górna warga jej drży, kiedy opowiadam, co się stało. Jej przerażenie jest tak wzruszające, że zaczynam się śmiać.

– Naprawdę, to koszmarne! Może powinnam zadzwonić na policję?

– Ci chłopcy są nieszkodliwi. Myślę, że te historie o *kireru* w gazecie trochę mnie rozstroiły.

Po tym, jak zobaczyłam tamtą gazetę, policjanci są ostatnimi ludźmi, do których chciałabym zadzwonić. Siedzę drżąca w ciepłym pokoju, dopóki Danny nie zamówi nam po filiżance herbaty. Rozkoszuję się jej nadskakowaniem. Zupełnie tak, jakbym znów była jej ulubioną uczennicą.

– Ucieszysz się, jak ci powiem, że zrobiłam sobie inhalację parową i zupełnie odetkało mi nos.

– Dobrze wiedzieć – mówię, nalewając sobie herbaty.

To *hōjicha* w kolorze karmelu, która ma nas uspić. Pokój wypełnia się ostrą wonią zaparzonych liści.

Danny bierze łyk i się krzywi.

– Ostra. Ale dobra. Zapomniałyśmy pomodlić się w pierwszej świątyni o ochronę przed siedmioma nieszczęściami.

– A do jakiej kategorii nieszczęść zaliczają się wachające klej nastolatki?

– Demonów, kochanie. Demonów.

Śmiejemy się obie.

– Pamiętasz ten pasek z imieniem, który widziałyśmy wcześniej? – pytam. – Samotna *henro*... To nie może być łatwe.

Gorzka herbata zaczyna koić mi żołądek i uspokajać. W Kolorado piję kawę, głównie dlatego, że tak robią wszyscy. Może powinnam się przestawić.

– Tak, prześlijmy pozytywne myśli tej młodej kobiecie – mówi Danny. – Shinobu.

Unoszę kubek.

– Za bezpieczeństwo Shinobu i nasze własne – mówię.

– *Prajna Paramita Hrdaya* – śpiewa Danny, unosząc kubek. – Sutra Serca.

– *Jai guru deva*. The Beatles.

Danny popycha stertę książek pod ścianę. Prostuje nogi i przyciska dłonie oraz brzuch do maty. Jedną rękę wyciąga przed siebie, drugą prosto za siebie.

– Nauczysz mnie tej pozycji rozciągania?

Pokazuje mi, jak ułożyć nogę, żeby całkowicie odciążyć pasmo biodrowo-piszczelowe. Naciskam mięsień kciukiem i wydaję mimowolny jęk; mogłabym tak siedzieć całą noc.

– Uprawiasz jogę?

– Oczywiście – mówi, przyciągając głowę do kolana tak, że słowa toną w jej udzie. – Ale zmienmy temat.

– Joga jest zbyt osobista?

– Jest... No cóż, są takie rzeczy, o których chciałabym powiedzieć. I trudno wyłapać ten idealny moment, prawda? Więc po prostu trzeba przejść do rzeczy.

Natychmiast myślę o Kawano.

– Odczuwam to tak samo.

Zmieniam nogi i pogrążam się w bólu rozciągania.

– Nie byłam zadowolona, kiedy powiedziałaś, że chcesz się do mnie przyłączyć. Ale w tych świątyniach dzisiaj... zrozumiałam, że muszę pozbyć się swoich wyobrażeń o tym, jak to będzie wyglądać.

Mój mięsień czworogłowy napina się i lekko pulsuje. Oddycham przeponą, nie spuszczać wzroku z kolana. Więc to tak: nie chciała, żebym z nią szła. Przeoczyłam dawane przez nią sygnały, postanowiłam skupić się tylko na tym, co chciałam zobaczyć i usłyszeć. Postanowiłam uznać jej nieprzerwane nawijanie za próbę nawiązania porozumienia, a nie za sposób na zagłuszenie niezręcznego milczenia. Zaprosiła mnie na kolację, na której zamierzała się nie pojawić.

Spuszczam wzrok na *tatami*, przesuwam końcem paznokcia w poprzek splotu maty. Brzmi to jak rozsuwanie suwaka. I tak się właśnie czuję – rozsunięta.

Opieram głowę na łokciach, żeby widzieć Danny. Twarzą wciąż przylega do uda, nosem do rzepki.

– Dlaczego nie odwiedziłaś mnie w Kawano?

Wzdryga się.

– Siedem i pół roku. – Głupi głos załamuje mi się na słowie „roku”.

Danny milczy przez długi czas. W końcu rozluźnia się, siada i mówi:

– Próbowałam, ale mi nie pozwolili.

– Jak to?

Ucieka przede mną spojrzeniem.

– Po prostu... takie były wtedy zasady.

Kłamie. Boże. Uzmysławiam to sobie i robi mi się duszno: nie przyszła, bo nie chciała. Jestem zbyt upokorzona, by powiedzieć cokolwiek więcej. Gwałtownie powraca hańba tych spędzonych w Kawano dni. Oczywiście, że nie chciała przyjść. Kto by chciał.

– Rozumiem.

Danny uśmiecha się blado.

– To wszystko było tak dawno temu, nie sądzisz? Spójrz na nas teraz. Spójrz na siebie. – I rzeczywiście na mnie patrzy, przenika mnie spojrzeniem, w którym jest coś na kształt miłości. Miłości i smutku, jakby wpatrywała się w obraz kogoś, kogo utraciła.

To było dawno temu. Delikatnie mi o tym przypomniwała. Nie powinno mnie tak zirytować jej wcześniejsze pociąganie nosem. Jest człowiekiem dokładnie tak samo jak ja – i do tej pory radziła sobie ze wszystkim znacznie wdzięczniej ode mnie.

– Tak – mówię. – Spójrz na nas teraz.

Rankiem wstajemy ze słońcem i zjadamy w zajeździe śniadanie – rybę (z głową) i ryż. Potem ostrożnie idziemy porytą koleinami żwirową drogą, osaczone z obu stron przez pasikoniki. Łądują nam we włosach, na ramionach, na plecach. Gdzieś w pobliżu ciurka strumyczek zasilający rzekę. Owady pstrykają nam koło uszu.

Po tej niezręcznej rozmowie z Danny poprzedniego wieczoru nie jestem w nastroju do pogawędki czy robienia czegokolwiek poza marszem. Na szczęście Danny jest chyba w podobnym stanie ducha. Zanim ruszę biegiem, zostanę z nią przynajmniej jeszcze jedną noc. Chcę się upewnić, że nie dostanie zapaści na tym odludziu. Trudno się nawadniać samym uporem.

W każdej z trzech świątyń spędzamy mniej niż dziesięć minut – tylko tyle, by przejść przez rytuał wody, świeczki, dzwonka, sutry, pieczętki. Danny spieszy się, by dotrzeć do dziesiątego przystanku, Kirihata-ji, Świątyni Przeciętej Tkaniny. Jest popularna wśród kobiet, a Danny chce „nasiąknąć energią” i porozmawiać z pielgrzymującymi kobietami o tym, jak odbierają tę podróż.

– Wszystkie książki na ten temat zostały napisane przez mężczyzn – mówi, a dzwonki na kosturze podzwaniają z każdym jej krokiem. – Kobięcy punkt widzenia w ogóle nie został przedstawiony. Był taki czas, gdy świątynie na swój teren w ogóle nie wpuszczały kobiet i kropka.

Moja matka nienawidziła mizoginii, którą obserwowała w Japonii. W obecności Hiro, który tylko wzruszał ramionami, pomstowała na Miura-sana, że ten wlepił w nią gały w swoim gabinecie. Wtedy wydawało mi się, że robi z igły widły; marzyłam o tym, żeby uważano mnie za taką piękność jak moją mamę. Kiedy podrosłam, dostrzegłam siłę stereotypów, ale z innego powodu: ludzie byli nieodmiennie zaskoczeni, kiedy dowiadawali się, że zabójca Tomoyi był płci żeńskiej. Jakby dziewczyna nie mogła czuć gniewu, nie mogła być brutalna. Od dziewcząt oczekiwano, że będą różowymi kwiatuśkami *yamato nadeshiko* – zabijanie tolerowano jedynie jako aspekt natury męskiej.

Ścieżka zaczyna się stopniowo wznosić i wyprowadza nas z rzecznej równiny na bardziej suche i odsłonięte tereny. Droga prowadzi wzdłuż nasypu brązowego od wyschłych traw, które stoją nieporuszone w gorącym powietrzu. Tu i tam wśród zielska rozsiane są opakowania po batonikach i porwane plastikowe torebki. Porzuconego białego sedana z maską wygiętą pod ciężarem metalowej beczułki na sake oplata bluszcz.

Mam ochotę cisnąć kostur Danny w chwasty. Może jak się skupię, uda mi się usłyszeć w tym doprowadzającym do szału brzękaniu coś melodyjnego. Mile widziana byłaby nawet bezmyślna sieczka radia 94.9 Pulse, ulubionej stacji mojej córki. W tym momencie Lily jest już pewnie na obozie i ma własne przygody, bez

reszty zajęta nowymi przyjaciółkami i chłopakami.

Chłopcy. To się już zaczęło. W zeszłym miesiącu Lily zapytała mnie, co to jest cipa. Miesiąc wcześniej znalazłam w jej szufladzie na bieliznę karteczkę, na której napisano *I want fuck David Z.* Kiedy jej to pokazałam, spojrziała ze łzami w oczach w podłogę i powiedziała, że to była taka gra. A czy ona wie, co znaczy to słowo? „Coś paskudnego, co chłopcy robią dziewczynom?”. Byłam zbulwersowana. W tych czasach czyta się historie o dziewięciolatkach w Denver, które obciążają kolegom w szkolnej toalecie. Sal zaniepokoił się znacznie mniej.

– Pamiętaj, że taka zabawa na niby jest normalna. No i weź, czy to nie jest mega, że ona sądzi, że słowo „fuck” ma nieme „l”?

Danny wyjaśnia, że to miejsce jest nazywane Świątynią Przeciętej Tkaniny, bo to tutaj Kūkai spotkał dziewczynę, która przynosiła mu wodę i jedzenie przez siedem dni, podczas których medytował, a ona w wolnym czasie tkła piękną tkaninę. Dała mu dwie sztuki tej tkaniny, jedną na spodnie i jedną na nowe szaty. Powiedziała mu, że jest nieślubnym dzieckiem mężczyzny wypędzonego z Kioto; jej matka po jej urodzeniu uciekła na Sikoku i zostawiła ją nieopodal świątyni, by zapewnić jej opiekę. Kūkai wyrzeźbił dla niej posążek, ogolił jej głowę i wyświęcił ją na zakonnicę, po czym dziewczyna doznała natychmiastowego oświecenia.

– I dlatego to miejsce jest popularne wśród kobiet? – pytam.

– Absurd, nie sądzisz? Dziewczyna siedzi i całymi dniami szyje, na nic się nie skarży i robi to, czego facet od niej żąda!

Kiedy ścieżka staje się zbyt zarośnięta, by przedzierać się nią dalej, Danny prowadzi nas w kierunku nasypu, którym biegnie szlak wiodący w las. Oplecione winoroślą drzewa wyrastają ze zbocza tak stromego, że przypomina mur. Zapatrzwszy się na kilka sekund na ten gąszcz, Danny unosi w końcu kij i wskazuje drogę.

Ścieżka jest wąska i grząska, nie szersza niż but. Kroczymy po niej jak akrobatki, a wokół nas tętnią cykady. W górze przed nami w promieniach słońca parują liście.

– Tak będzie najwyżej przez minutę czy dwie – wykrztusza z siebie Danny między kolejnymi ciężkimi wdechami. Skupiam się na swoim ciele, nasłuchując rytmu zwiastującego wyrzut endorfin jak w odurzeniu biegiem. W Stanach nie biegam jednak z otartymi stopami i plecakiem ciągnącym mnie w tył.

– Ostatni odcinek! – sapie Danny. – Jedyne trzysta trzydzieści stopni.

Podnoszę wzrok wyżej... i jeszcze wyżej. Kamiennie schody wspinają się po ostatnim, najbardziej stromym odcinku zbocza. Wzdłuż nich leżą poprzewracane drewniane barierki.

Danny przystaje, opiera ręce na kolanach.

– Przejście szlaku pielgrzymkowego podobno przynosi zdrowie. Słyszałaś, że nazywają to Wyprawą do Szpitala Sikoku? W tej świątyni podobno zdarzają się

cudowne uzdrowienia chorób nóg i oczu.

– Dwadzieścia kilometrów dziennie nie może już bardziej pogorszyć ci zdrowia. Czy pęcherze liczą się jako choroba?

Kamienie pod stopami są okrągłe i wyglansowane; szczeliny i wybrzuszenia zostały wypolerowane stopami odwiedzających. Liczę każde uderzenie swoich gumowych podeszew o ziemię. Jakby to nie było męczące, przebywanie na łonie natury przynosi ulgę. Ocieram pot z czoła i obserwuję Danny. Ma niezłą wytrzymałość. Zatrzymuje się w połowie drogi na minutę odpoczynku, i jeszcze raz, minutę później, ale jej determinacja nie słabnie; nawet jeśli chce zawrócić, nie daje tego po sobie poznać.

O wizycie mojej mamy u wicedyrektora Miury wiedzieli już wszyscy, zanim jeszcze dobiegły końca piątkowe zajęcia, chociaż mama pojawiła się w ciągu dnia, w trakcie lekcji. Dzieci szeptały, że próbowała uwieść Miura-sana, by zapewnić mi ochronę, ale on ją odrzucił. Kobiety *gaijin* brzydko pachną.

W poniedziałek przecierpiałam zajęcia w klasie z Tomoyą. Przez weekend jego sztyletujące spojrzenie się wyostrzyło. Bił od niego jakiś świeży blask okrucieństwa. Kiedy Sumamori-sensei zawołał mnie po imieniu od swojego biurka, Tomoya pisnął:

– *Hai! Minikui desu!* – Tak! Jestem brzydka!

Krew nabiegła mi do twarzy, wbiłam wzrok w blat swojej ławki, na którym jacyś uczniowie przede mną wyryli „Fuck you! Akari jest sexy. Junko + Taro”. Nauczyciel zignorował Tomoyę i powtórzył moje imię; otworzyłam usta, by odpowiedzieć, ale nie zdołałam wydobyć z nich niczego ponad szept. Sumamori-sensei nie dosłyszał. Zawołał mnie, tym razem ze złością, i zanim zorientowałam się, co się dzieje, cały ten gniew kipiący w czarnym organie wezbrał mi w gardle aż do strun głosowych i wrzasnęłam:

– Jestem TUTAJ!

Klasa zachichotała, Sumamori wyglądał na zirytowanego, a Tomoya uśmiechnęła się pogardliwie. Kiedy zabrzmiał dzwonek, nie próbowałam go ubiec. Wyszłam tak, jak zdążyłam się już nauczyć: ze spuszczoną głową, skulonymi ramionami, oczami utkwionymi w podłódze.

Ruszył za mną.

– Chcesz, żebym ściągnął spodnie? Pokażę ci go. – Szturchnął mnie palcem w plecy i wbił go w cienką wełnę. – Wiem, że chcesz zobaczyć. Wiem, że jesteś brudna.

Zwolnił, kiedy wyszliśmy z za rogu. W drzwiach do swojej klasy stała panna Danny; Tomoya był już wtedy po drugiej stronie korytarza, jakby nic się nie wydarzyło. Kiedy zbliżyłam się do nauczycielki, czarny organ się skurczył. Odwróciła się do mnie z uśmiechem, a ja z wdzięcznością do niej podeszłam.

Ale panna Danny patrzyła gdzieś za mną, na Ikemi Takarę, dziewczynkę

z warkoczykami, która śpiewała hymn szkoły na porannym apelu.

– Świetna robota, Ikemi – powiedziała Danny, promieniejąc.

Nie spuszczałam wzroku z jej twarzy, a moje serce z każdym krokiem coraz mocniej pulsowało bólem i zaczynałam już panikować – ona przecież musi mnie widzieć, musi! – kiedy wreszcie spuściła na mnie oczy.

– Schowaj koszulę w spódnice, Chizuru.

Otępiała, wsunęłam brzegi koszuli za pasek i poszłam dalej. Panna Danny zwykle witała mnie delikatnym poklepaniem po plecach albo pochwałą. Nigdy nie czepiała się mundurka. Zapinana na guziki bluza z marynarskim kołnierzem występowała tylko w dwóch rozmiarach i nie była na tyle długa, żeby trzymać się za pasek mojej zrobionej na specjalne zamówienie spódnicy w dużym rozmiarze. Wiedziała o tym. Czułam, jak na czarnym organie pojawiają się słabe punkty, jak na balonie cieniejącym wskutek zbyt silnego napompowania. Te miejsca lśniły na czerwono. Wędrowałam korytarzami z ręką na piersi.

Chłód panny Danny utrzymywał się również podczas zajęć. Żadnych skierowanych do mnie powiedzonek ani żarcików, żadnych uśmiechów. Gorączkowo wertowałam wspomnienia z poprzedniego tygodnia i nie przypominałam sobie nic – jakichś niedotrzymanych obietnic, jakiejś wpadki, nic niezwykłego – przez co mogłabym stracić jej przychylną. Uniosłam rękę, zgłaszając się do tablicy. Zignorowała mnie. Pod koniec lekcji zagięła klasę odmianą czasownika „nurkować”, a kiedy moja ręka wystrzeliła do góry, powiedziała zmęczonym tonem:

– Chizuru, wychowałam się, mówiąc po angielsku, więc nie byłoby sprawiedliwie z mojej strony zawsze ciebie wybierać do odpowiedzi. Poza tym nikt nie lubi takiego popisywania się.

Kilkoro dzieci zachichotało. Próbowałam się uśmiechnąć, ale odkryłam, że nie jestem w stanie kontrolować mięśni twarzy. Zakołysałam się na krześle.

Musiała usłyszeć o wizycie mojej mamy. To o to chodziło? Czy bycie kojarzonym ze mną przynosiło wstyd? A może przestałam być użyteczna jako pomocnik językowy? Jej japoński był coraz lepszy i nie potrzebowała już tłumacza; w rozmowie z uczniami posługiwała się japońskim, żeby móc go ćwiczyć. Byłam podpórką, gdy przyzwyczajała się do Japonii i szkoły podstawowej Motomachi.

Miesiąc później mama nie żyła. Pierwszego dnia po moim powrocie do szkoły panna Danny poprosiła mnie do swojej klasy, zamknęła drzwi i przytuliła mnie. Trzymała mnie w objęciach bardzo długo, nie odzywając się słowem. Chciałam do końca świata przyciskać głowę do jej brzucha. Słyszałam uderzenia jej serca i szum krwi, coś jej poburkiwało w kiszki. A potem zadzwonił dzwonek i puściła mnie, prosząc, bym wytarła tablicę. Weszły inne dzieci, by zamieść podłogę i zetrzeć biurka. Nigdy więcej mnie nie dotknęła ani nie wspomniała o śmierci mojej mamy.

Plecy Danny kołyszą się, kiedy z impetem pokonuje ostatnich kilka stopni. Powinnam przestać wracać myślami do tamtych dni. Wspomnienia czynią jej zdecydowaną sylwetkę złowrobną, nadają jej miłym słowom drugie dno. Celem tej pielgrzymki jest obecność w terażniejszości. A jednak im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że w liście muszą być linijki, których nie przetłumaczyła mi do końca – albo nie przetłumaczyła ich wcale. Coś przede mną ukrywa. Myślałam o tym wielokrotnie. Na pewno streściła tylko część, musi być coś więcej.

Na szczycie schodów siedzi chłopak. Głowę ukrył w spalonych słońcem ramionach, spod zielonych bojówek do kolan wystają masywne łydki.

– Po tej wspinaczce ja też mam ochotę się rozplakać – mówię, lecz wtedy zauważam energiczne przytupywanie jego trampek na kamieniu i kabelek od słuchawek wijący się po rękawie farbowanej koszulki.

Zerka na nas z dołu. Puciołowatą twarz też sobie spalił: czerwony nos mu się łuszczy. Pierś pokrywa wizerunek twarzy Johna Lennona i napis: YOU MAY SAY I'M A DREAMER BUT I'M NOT THE ONLY ONE.

– Proszę mi wybaczyć – mówi po angielsku, szarpnąwszy kabelek słuchawek. Głos ma wysoki, matowy i zdecydowany. – Tak się cieszę, widząc was na pielgrzymim szlaku. – Pyta, skąd jesteśmy, patrząc z nadzieją na Danny, której odpowiedź wyraźnie go rozczarowuje. – A pani? – pyta po japońsku i urywa, przyjrząwszy się uważnie mojej twarzy.

– Jestem Amerykanką – odpowiadam po angielsku. – Ale wychowałam się w Japonii.

– To bardzo super! Czy mogę mówić do pani po angielsku?

– Już mówisz.

Wybuch śmiechem.

– Och! No tak! Chciałem zapytać, czy mogę mówić dalej.

– Oczywiście.

– Twój angielski jest całkiem dobry – odzywa się Danny.

– Naprawdę tak pani sądzi? Superrr!

– Brzmisz jak reklama płatków śniadaniowych – zauważam.

– Frosted Flakes? – pyta. – Uwielbiam je. Oglądałam tę reklamę online.

Dobrze się pośmiać.

– Musisz się bardzo pilnie uczyć angielskiego – żartuję.

– Od małego, tak. To konieczne dla moich marzeń.

Zanim zdążę zapytać, co to za marzenia, z bocznej uliczki wytacza się z rykiem autobus, płosząc stadko gołębi.

Chłopak pochmurnieje. Cofa się o krok, potem jeszcze jeden.

– Następna grupa oszustów.

Biegnie w stronę drzew za chramem.

Autobus otwiera drzwi i w ciągu kilku sekund na terenie świątyni roi się od *henro* w pełnym rynsztunku. Większość z nich to ludzie starsi, w wieku emerytalnym. Wiele kobiet trzyma parasolki. Pobrzękują dzwonki u kosturów. Sprawnie jak mrówki, pielgrzymi ustawiają się w rzędzie do misy z wodą, a stamtąd każdy odwiedza *hondo*, modli się, klaszcze w dłonie, robi kilka zdjęć i pomyka z powrotem do autobusu. Mam ochotę wrzasnąć: „Ominęliście wspinaczkę po schodach!”. Mężczyźni podczas wykonywania uświęconych czynności ćmią papierosy. Ktoś wspomina o tajfunie. Danny podchodzi do drobnej pani z siwymi włosami, która cofa się troszeczkę przy każdym wypowiedzianym przez Danny zdaniu. W końcu skłania się i pospiesznie odchodzi. Danny rozmawia przez chwilę z dwiema innymi kobietami.

Tak szybko, jak się pojawili, pakują się do swojego autobusu i znikają. Smuzka dymu unosi się z leżącego obok przystanku niedopałka.

Zza świątyni wyłania się ze zboląłą miną nasz znajomy. Podchodzi do nas przy misie. Falująca grzywka, napuszona od wilgoci, opada mu na jedną stronę.

– Zachowują się, jakby podjeżdżali po jedzenie do okienka dla kierowców – mówi z goryczą, wyciągając płaski telefon wielkości dłoni, niewiele grubszy od karty do gry. – Nienawidzę tego.

– Zabawne, prawda? – odpowiada Danny. – Emeryci, a w takim pośpiechu. Ta ostatnia kobieta powiedziała, że przyłączyła się do wycieczki, bo jej mąż nie chciał jechać sam. Inna modli się za wnuki. Ale ta pierwsza pani była interesująca. Powiedziała, że w życiu zajmowała się wyłącznie wychowywaniem dzieci i prowadzeniem domu. Przed śmiercią chce zrobić coś niezwykłego.

– Czy to telefon? – pytam.

Chłopak ściska urządzenie dwoma palcami i unosi je do nieba. Krople potu występują mu na czoło.

– Ciągłe szuka i gubi. Ten telefon jest taki jak ja. – Wrzuca go z powrotem do jednej z wielu kieszeni swoich spodni. – Nie taka jest natura drogi – ciągnie. – To my jesteśmy prawdziwymi pielgrzymami. Pieszko, jak wędrujący robotnicy. Jak Kerouac. Zna pani Kerouaca? *W drodze?*

– Nie czytałam, ale...

– Nie czytała pani? Boże!

– Trochę to faktycznie oszukiwanie – wtrąca Danny. – Ale chyba mieli dobre chęci. A jeśli jesteś zbyt chory albo stary, żeby iść, to jakie masz wyjście?

Chłopak wyciąga z innej kieszeni książkę w miękkiej okładce z pozaginanymi rogami i otwiera ją w środku. Strony są kolażem jaskrawych barw: żółci, pomarańcza, różu, zieleni – więcej zdań jest zaznaczonych niż niezaznaczonych.

Porusza wargami, przesuwając dwoma palcami pod linijką tekstu. Ma grubą żalobę za kanciastymi paznokciami, a skórki wokół nich różowe i poszarpane.

– Kerouac jest mądry. Widzicie, wszyscy chcą być szaleńcami. – Wskazuje miejsce na stronie. – Ale jak przychodzi co do czego, nikt nie chce być szalony.

Danny pierwsza podchodzi do zbiornika z wodą, zdejmuje metalowy kubek z haczyka i zanurza go w misie wykutej w kamieniu. Z konstrukcji dachu zwisają jak nietoperze trzy białe szmatki.

– Idziesz z powodu tej książki? – pytam.

Chłopak poważnieje.

– Jestem wędrującym uczniem. Zawaliłem pięć razy egzamin prawniczy. Więc teraz jestem jak samuraj: wędruję i szukam.

– Samuraj Jacka Kerouaca?

– Tak, coś w tym stylu.

Danny podaje mu kubek z długą rączką, a on przekazuje go mnie.

– Damy pierwsze.

Krucha rączka z bambusa jest z jednej strony rozszczepiona. Zanurzam cienki kubek w misie, wylewam chłodną wodę na swoją lewą dłoń, potem na prawą.

– Japoński egzamin prawniczy! – wykrzykuje Danny. – To jeden z najtrudniejszych egzaminów na świecie.

Chłopak zdmuchuje z nosa kosmyk włosów.

– To prawda. Nikt nie zdaje za pierwszym podejściem. Średnio za czwartym. Mój ojciec jest rekordzistą, *ex aequo*. Zdał za drugim podejściem. A niektórzy nigdy nie zdają... Poświęcają dziesięć lat na studiowanie. A potem? Kończą trzydzieści lat i nie mają zawodu. Ani żony.

– Ale spróbujesz jeszcze raz? – Wręczam mu kubek.

Nie odpowiada, dopóki nie umyje obu rąk, nie otrząśnie ich i nie wypluje wody na ziemię.

– Ostatnio zaszły zmiany. W Japonii jest teraz nowy test i stary test. Stary test jest znacznie trudniejszy, ale każdy może spróbować. Żeby zdać nowy, znacznie łatwiejszy test, musimy najpierw przez trzy lata chodzić do szkoły dla prawników! To jest kant, w którym chodzi o to, żeby w Japonii było więcej prawników i żeby uniwersytety dostały pieniądze. Myślę, że jeśli nie potrafię zdać starego egzaminu jak mój ojciec, to nie zasługuję na bycie prawnikiem.

– Kiedy jest ten test? – pytam.

– Pierwszą część zdałem w maju, wiele złożonych pytań dotyczących naszych sześciu kodeksów. Więc za osiem dni od teraz będę zdawać ostatnią część: esej i rozmowę. – Wyciera usta w rękaw. – To będzie moja ostatnia próba. Dlatego tak tu chodzę. Nie zacząłem w Ryozen-ji, pierwszej świątyni, jak wy. Zacząłem w pobliżu domu mojej babci w prefekturze Kōchi. To świątynia bardzo dobra dla akademików. No więc spotkałem wielu pielgrzymów. Każdy z nich ma inną historię. Jeden mężczyzna powiedział mi, że umarła mu żona, więc on chce chodzić

tak długo, dopóki sam nie umrze. Inny pierwszy raz zrobił to na rowerze. Przyjaciele powiedzieli mu, że to za łatwe, więc się wściekł i zrobił to jeszcze raz, pieszo. Uzależnił się od zbierania świątynnych... *go shuin?*

– Pieczętek – podpowiada Danny.

– Uzależnił się od zbierania pieczętek, więc zrobił całe koło jedenaście razy!

– Uzależnienie od pielgrzymowania? – Śmieję się.

– To duży problem. Podczas pielgrzymki życie jest proste. Musisz jeść, iść, spać, modlić się i to wszystko. W normalnym życiu tak nie jest. Niektórzy się uzależniają, tak samo jak ci, którzy uciekają w automaty do pachinko.

– Co się stanie, jeśli nie zdasz tego egzaminu? – pytam.

– Jest druga możliwość. Złożyłem obietnicę kobiecie z Ameryki. Pannie Lindzie. – Uśmiecha się, kiedy imię opuszcza jego wargi. – Jak mój angielski się poprawi, to znajdę tam pracę. W Stanach Zjednoczonych jest niebezpiecznie – mówi, zerkając na mnie ponuro – ale wszystko mi jedno. To centrum świata.

– A gdzie mieszka ta kobieta? – pytam.

– Bedford w stanie Ohio.

Wyobrażam sobie wysadzone drzewami przedmieścia, Costco, coś tak fajowego jak skatepark. W planach Tuscan Terrace.

– Niedaleko jest Cleveland. Tam się mieści Rock and Roll Hall of Fame. Członkostwo kosztuje tylko pięćdziesiąt dolarów rocznie. Jest tam problem z amerykańską przestępczością, ale moja dziewczyna mówi, żebym się nie przejmował.

– No wiesz, Japonia nie jest taka znów bezpieczna – mówię i relacjonuję mu wieczór wachaczy kleju.

– Nie powinna pani chodzić sama wieczorami. Nawet w Japonii, to dla kobiety nie jest bezpieczne.

Pyta, czy Danny i ja poznałyśmy się na szlaku.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale Danny i ja znamy się od 1988 roku. Była moją nauczycielką.

– Niesamowite! Czasem widuję moich nauczycieli ze szkoły, jak robią zakupy albo spacerują, ale jestem nieśmiały i nigdy się nie witam.

Pyta, czemu wyjechałam z Japonii i dlaczego wróciłam – po to, żeby pójść na pielgrzymkę? Na pierwsze pytanie odpowiadam standardowym „Wyjechałam do Stanów na studia”, ale nie przywykłam do odpowiadania na drugie.

– Zmarł mój ojciec.

Chłopak zwiesza głowę.

– Przykro mi.

– Nie mieliśmy bliskiej relacji. Był skomplikowany.

– Rozumiem. Mój ojciec...

Danny przerywa.

– Skomplikowany? Przy tym człowieku tokijskie metro wydaje się proste. Muzycy, właściwie wszyscy artyści, właśnie tacy są, nie sądzisz?

– Muzyk? – pyta chłopak. – W zespole?

– Właściwie w orkiestrze. – Już widzę, co się szykuje. – Był muzykiem klasycznym.

– Skrzypkiem – dodaje Danny. – Jednym z najlepszych.

Po twarzy chłopaka przemyka zrozumienie.

– Pani ojcem nie był Hiro Akitani, ten słynny muzyk? Czytałem ostatnio o jego śmierci.

– Moja znajoma za dużo mówi.

Czarny organ szepcze: „Danny rości sobie prawo do czegoś, co jest twoje”.

Chłopak gwałtownie wciąga powietrze.

– Tyle razy widziałem film dokumentalny o nim! Był chorowitym dzieckiem, które zostało wielkim muzykiem i występowało na światowych scenach. Bardzo inspirujący! – Nuci kawałek Paganiniego, który biegnie w tle napisów początkowych filmu.

– Nie mów mi, że ciągle to pokazują w telewizji.

– Moja matka ma to u siebie. Jest bardzo dumna z Hiro Akitaniego, bo on też mieszkał w Tokushimie. Pani się tam urodziła?

– Urodziłam się w Tokio, ale wychowałam w Tokushimie.

– Ach, ale dlaczego ktoś chciałby się tam przenieść? Tokushima to takie... wiejskie miejsce.

– Mojej matce się tam podobało. Plaża, ciepłej, bardziej odprężeni ludzie. Mówiła, że tam jest bardziej „japońsko”. – Upewniam się, czy on na pewno nadaża za moją angielszczyzną.

Kiwa głową, w skupieniu spuściwszy oczy. Jest starszy, niż mi się wcześniej wydawało; może mieć jakieś dwadzieścia kilka lat.

– Mój ojciec miał mieszkanie w Tokio i spędzał w nim dużo czasu, gdy nie był akurat za granicą, więc nie wiem, czy miało to dla niego jakieś znaczenie, gdzie się wychowywałam. Lubił mieć swoją przystań na Sikoku. Ludzie tam nie robili wokół niego wielkiego halo.

– Tak. Ludzie z Tokushimy właśnie tacy są. Szanują ciężką pracę, numer jeden. Wizerunek nie jest taki ważny.

Danny poprawia sobie plecak.

– Powinnyśmy ruszać.

– Czy mogę się do was przyłączyć w drodze do następnej świątyni?

– Jasne – mówię. – Przyłącz się do nas, na jak długo chcesz. Poćwicz angielski.

Danny posyła mi spojrzenie, które musi oznaczać: „Żarty sobie robisz?”.

– Poważnie? – pyta chłopak, zerkając na Danny, zorientowawszy się już, że

z nas dwóch to ona jest pierwsza do psucia innym zabawy.

– No cóż...

– W każdej chwili mogę sobie pójść. Możecie – szuka odpowiedniego zwrotu – wykopać mnie, kiedy chcecie. I mogę nieść rzeczy. Absolutnie mogę się wam przydać!

Myślę o liście ojca.

– Byłoby zabawnie – mówię.

– Albo wy możecie pójść we dwoje, a ja pójdę sama przodem – wtrąca

Danny.

Chłopak sprawia wrażenie zdumionego.

– Ale pani jest za stara.

Śmiejąc się, mówię:

– Ale tak na poważnie, Danny, kiedy ja już sobie pójdę, dobrze by było, żebyś miała kogoś przy sobie.

– Nie rozumiem tego wszechświata – mówi Danny.

– To znaczy „tak” – wyjaśniam chłopakowi.

Przyciska rękę do piersi, otaczając palcami słowo DREAMER.

– Pani jest taka fajna. – Obmacuje kilka kieszeni swoich spodni, zanim znajdzie tę, w której trzyma wizytówki. – Mam na imię Shinobu – mówi, wręczając karteczkę Danny.

– To ty jesteś Shinobu? – Danny porywa mu ją z ręki.

– Widziałyśmy twoje imię kilka świątyn wcześniej – wyjaśniam. –

Sądziłyśmy...

– Wiem, to koszarne – mówi on udręczonym tonem. – Myślałyście, że jestem dziewczyną.

– Ja noszę męskie imię – mówi Danny. – I myślę, że imię Shinobu jest całkiem ładne.

– Mówcie mi Shin. – Spluwa na ziemię. – Przepraszam.

– Może Shinny? – pytam.

Prycha i kręci głową. Lubię się z nim droczyć. Tak dobrze to przyjmuje, jakby próbował opanować poczucie humoru tak samo jak język.

Danny nie sprawia wrażenia ani szczególnie zadowolonej, ani niezadowolonej. Wygląda, jakby myślała o czymś innym. Odwraca się od nas, wyciąga z kieszeni zieloną butelkę i łyka pastylkę.

– A potem było ich troje – mówi.

Zanim ruszymy głębiej w góry, musimy dokupić jedzenia i napojów. Droga ze świątyni jedenastej do dwunastej znana jest jako „zguba pielgrzyma” – różnica wysokości wynosi osiemset metrów. Danny jest podniecona.

– Teraz zaczyna się prawdziwe cierpienie.

– Pewna jesteś, że zdążymy tam dotrzeć? – pytam. – To trzynaście kilometrów pod górę, a już minęła pora lunchu.

– Dotrzemy tam. Shinobu da radę, prawda?

Chłopak przytakuje dzielnie. Ale kiedy Danny się odwraca, krzywi się i kpiarsko jej salutuje.

Woli mnie – chyba dlatego, że jestem z Ameryki, ale też dlatego, że Danny jest taka obcesowa: nawet jej szept ma siłę krzyku, do tego podczas rozmowy staje zbyt blisko. Nie zapamiętałam jej takiej. Zastanawiam się, czy nabrała tego nawyku, czy po prostu nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi. Przy ostatniej świątyni patrzyłam, jak Shinobu cofnął się od niej o krok, gdy mówiła; kilka sekund później Danny zrobiła krok w przód, i tak to szło, aż chłopak wpadł na drzewo.

Shinobu jest zabawny – czasem zachowuje się jak mędrzec, a czasem jakby się urodził wczoraj. Dotrzymał słowa, biorąc na własne barki wiele rzeczy Danny, a teraz uprzejmie pyta o nasze życie i moją rodzinę – szczególną przyjemność sprawiają mu historie o Lily – i wypowiada się pozytywnie prawie na każdy temat. Jest, hm... serdeczny. Zawsze ma w uchu jedną słuchawkę, w której popiskuje muzyka, a druga dynda sobie, nieużywana. W świątyni po Kirihata-ji Danny szepcze:

– Czy nikt go nie nauczył dobrych manier? Równie dobrze mógłby wsadzić w uszy obie: przynajmniej wiedziałabym, kiedy nas słucha.

Gdy go pytam, czemu słucha muzyki tylko jednym uchem, patrzy na mnie zdumiony i odpowiada:

– To oczywiste: nie chciałbym się nie zorientować, że coś do mnie mówicie! To byłoby bardzo niegrzeczne.

Wspinamy się powoli. Chociaż nachylenie nie jest duże, droga wiję się wśród drzew serpentynami. Wilgoć aż zatyka. Pod lewą rzepeką czuję tępy ból. Przedzieram się na wprost przez krzaki, ścinając drogę między zakrętami. Danny i Shinobu posłusznie idą ścieżką. Shinobu! Zostaw ją i chodź ze mną. Mam dla ciebie coś do przeczytania.

– Droga poprowadzona jest w ten sposób, żeby skłonić człowieka do namysłu nad życiem – mówi Shinobu, kiedy mnie doganiają. – W życiu musimy robić długie objazdy, które wydają się niepotrzebne...

Nad naszymi głowami śpiewa ptak. Shinobu nadstawia ucha i zastyga.

– Posłuchajcie! To *uguisu*. Ten ptak jest dobrze znany – mówi, nie spuszczać wzroku z koron drzew. – Wspominają o nim wielcy poeci.

– Gdzie? – Podążam za jego spojrzeniem.

– Nie zobaczysz *uguisu*. Jest mały i skryty, ma niepozorną barwę. Ale jaki głośny! Więc lepiej słuchać jego pięknej piosenki. – Ściąga wargi. – HUUU-hu-ke-kio!

– To wierzbownik japoński – mówi Danny.

– Znasz *uguisu*?

– Sam powiedziałeś, że są powszechnie znane. Wspomina się o nich w haiku i uznaje za oznakę wiosny, prawda?

– Tak. Ale uczyliśmy się tego w szkole podstawowej.

– Nie pamiętam, że bym się tego uczyła – mówię.

– Dlaczego Japończycy są tak zdumieni, kiedy cudzoziemiec zdradza choćby najmniejszą znajomość ich kultury? – pyta Danny. – Mieszkam tu od dwudziestu lat i nadal jestem oklaskiwana, gdy używam pałeczek.

– U cudzoziemców rozwinęły się odmienne mózgi. Nie potrafią pojąć tak subtelných idei – dodaję. – Tak jakby Japończycy mieli dłuższe kiszki, bo jedzą więcej warzyw.

– To... nie! To znaczy... – jąka się Shinobu, pociągając się za ucho. – To nie ma nic wspólnego z inteligencją. Widzicie, dla Japończyka takie fakty są... naturalne. Jestem zaskakujący waszą opinią, że takie szczegóły naszej kultury jak *uguisu* są interesujące. – Zwraca się do mnie: – Masz rację co do kiszek. Wszyscy o tym wiedzą.

Zakręt drogi odsłania widok na pogórze i lustro wody w oddali. Shinobu i Danny spierają się o to, czy cudzoziemcy naprawdę potrafią przyswoić sobie kulturę japońską. Podążam wzrokiem na południe. Ocean Spokojny jest błękitną nieskalaną taflą.

Wkrótce do naszych uszu dobiega warkot samochodów jadących szosą wzdłuż wybrzeża; hałas jest przenikliwy i nie na miejscu. Kiedy zbliżamy się do drogi i zyskujemy szerszy widok na ocean, Shinobu coś pokazuje. Surferzy w czarnych mokrych piankach podskakują na małych falach, które pociągają ich nie w stronę brzegu, lecz równoległe do niego. Wygląda to niesamowicie.

– Musi się zbliżyć potężny sztorm – mówi Shinobu.

Ma rację. Przyływ nadchodzi pod kątem.

– Ale jest jeszcze daleko – mówi Danny. – I ci surferzy o tym wiedzą. Nie wypłynęliby, gdyby to było zbyt ryzykowne.

Znajdujemy sklepik spożywczy, rodzinny biznes na parterze dwupiętrowego budynku mieszkalnego. Pod brudną markizą w paski wystawiono długą chłodziarkę ze świeżymi rybami, a obok nich i ich nieruchomych oczu – lizaki truskawkowe. Nikogo tu nie ma. Danny woła „Halo?” i nad nami rozlegają się

kroki.

– Już idę! – krzyczy kobieta przez strop.

Sklepik zastawiony jest od podłogi do sufitu regałami, skrzynkami i kartonami. Żeby precyzyjnie się alejką do lady, Danny musi obrócić się bokiem. Trzeba tu sprawdzić szereg istotnych rzeczy: jakoś paczkowanych posiłków i kulek ryżowych, marki napojów energetycznych, mieszankę na szlak i czy prowadzi się tu sprzedaż alkoholu i papierosów.

Shinobu zostaje ze mną przed sklepem. Podłącza telefon do gniazdka zasilającego chłodziarkę. Nie ośmielam się wyjąć listu. Danny raz za razem odwraca się w naszą stronę.

Shinobu stuka w nagłówek gazety.

– Uwielbiam baseball, ale moja drużyna jest najgorsza w Japonii. Ham Fighters.

– Ham Fighters? Urodziłeś się w Tokio, prawda? Powinieneś być fanem Gigantów.

– Giganci zawsze wygrywają. A kibiców mają do bani. Nie obchodzi ich drużyna, tylko zwycięstwo.

– Fani na pogodę – mówię.

– Pagodę?

Wyjaśniam mu znaczenie tego określenia.

– Właśnie! – Wyciąga telefon, notuje sobie to określenie dla pamięci i pokazuje mi: FARE WHETHER FANS. Wyjmuję mu aparat z ręki i poprawiam pisownię, dziwiąc się, o ile lepszy jest jego telefon od iPhone'a, który zostawiłam w domu.

– Ale – mówi chłopak, wskazując na ostatnią stronę gazety – my, to znaczy konkretnie my, nie mamy dobrej pogody.

U wybrzeży Sikoku utworzył się potężny tajfun. Jego prognozowany przebieg tworzy rożek, w którego centrum znajduje się Shishikui – dokładnie tu, gdzie w tym momencie stoimy. Deszcz spodziewany jest już jutro. En miał rację.

– Ale mamy dopiero czerwiec – zdumiewam się.

– Z każdym rokiem tajfuny pojawiają się wcześniej. Taka jest niewygodna prawda.

Mój śmiech zdaje się wyzwalać jego śmiech – czuje ulgę, że udał mu się dowcip. Danny zerka na nas z głębi sklepu, gdzie spiera się z ubraną w cyklamienowy dres kobietą w średnim wieku.

Podjeżdża długi zielony autobus szkolny i pogrąża nas oboje w cieniu. Z pojazdu bije zatykające gorąco. Kierowca zostawia go na luzie i truchcikiem wbiega do środka, wołając o paczkę mentolowych.

W na wpół otwartych oknach autobusu, kilkadziesiąt centymetrów nad naszymi głowami, tłoczą się dziecięce twarze. Z przyzwyczajenia odwracam

wzrok, jakby te dzieci mogły wejrzeć w głąb czasu i zobaczyć niepopularną dziewczynkę, którą kiedyś byłam. Jedno z nich krzyczy: „Skąd jesteś?“, na co drugie odpowiada: „Ona cię nie rozumie, głąbie”.

Pamiętam szkolny autobus mojej podstawówki: fajne dzieciaki siedzące z tyłu, gdzie najbardziej trzęsło, okna przyszczypujące palce i nigdy nieotwierające się wystarczająco szeroko, śliskie siedzenia ze skaju i niepokój towarzyszący próbom znalezienia kogoś, z kim można byłoby usiąść. „Siadajcie parami! Po dwoje na siedzeniu” – krzyczał nauczyciel, kiedy wsiadaliśmy. Ze mną nikt nie chciał siedzieć. Zajmowałam za dużo miejsca.

Danny wychodzi ze sklepu, pisząc coś na marginesie swojego przewodnika.

– Popatrz na ruch wody, o tam – mówię.

Obok nas przechodzi kierowca autobusu, dwoma palcami pocierając nos. Wygląda, jakby tego autobusu nie prowadził, a ciągnął. Zerka na nas i po chwili wahania odzywa się niechętnie:

– Macie gdzie się zatrzymać podczas burzy?

– Jesteśmy w drodze do Shōsan-ji – mówi Shinobu.

– Pieszko? Niemożliwe. Ten szlak jest obłąkańczo stromy i zanim dotrzecie do połowy, będzie ciemno. – Klaszcze w ręce, w jego głosie słychać władczość. – Wsiadajcie do środka. Zabiorę was. *Osettai*.

Na twarzy Danny wyraźnie odmalowuje się walka. Co jest gorsze: odrzucić *osettai* czy oszukać, korzystając z podwózki podczas najtrudniejszej części wędrówki?

I wtedy sobie przypominam: „Siadajcie parami. Po dwoje na siedzeniu”.

– Kūkai ci wybaczy – szepczę i popycham ją w kierunku autobusu.

Gdy wchodzimy do środka, dzieci milkną.

Szybko zajmuję siedzenie z przodu i pociągam Shinobu na miejsce obok. Grupa dziewczynek z tyłu woła do Danny: „Hulo! Dobrze dziękuję”. – Eksplozja piskliwego śmiechu, a potem: „To jest długopis. Tamto to nie jest długopis. Tamto to jest zegar. Czy lubisz długopis?”.

Wyjmuję list mojego ojca.

– Chyba odgadłem twój sekret.

– Słucham?

– Przypomniałem sobie tę historię. O córce Hiro Akitaniego... Ale ona nie miała na imię Rio. Nazywała się Chizuru.

Wstrzymuję oddech, po czym zmuszam się, by powiedzieć:

– Co? O czym ty mówisz?

Nie potrafię odgadnąć, co on może sobie myśleć. Nie wydaje się zdenerwowany, ale nie mogę ryzykować, że go rozgniewam. Może odmówić przetłumaczenia listu.

Na jego wargi wypełza uśmiech albo grymas – nie sposób odgadnąć.

– Ty naprawdę nią jesteś. Pierwszą *kireru*.

W co on pogrywa? Czy mogę się włączyć w tę grę? Powoli kiwam głową.

– To było dawno temu. – Próbuję zażartować: – Boisz się?

– Nie. Jestem zaszczycony. Stąpnęłaś sprawiedliwie. Zabicie tego chłopca było słuszne. Dla bardzo wielu osób... – oddycha szybko, twarz ma czerwoną – ...jesteś bohaterką. – Pisze coś na swoim telefonie i wyciąga go w moją stronę. – Widzisz? Twój fanklub.

Trzymam w dłoni mały rozgrzany telefon. Twarz dwunastolatki. Moje szkolne zdjęcie, którego nie widziałam od wieków. Zrobiono je na miesiąc przed tym, zanim porwałam z biurka Danny nożyk do otwierania listów. Ostatnie moje zdjęcie „sprzed”. Musieli je zamieścić w kronice szkoły – zapewne niedopatrznie. Nigdy nie dostałam swojego egzemplarza. Ciekawe, czy zamieścili też w niej zdjęcie Tomoyi i co – jeśli w ogóle cokolwiek – o nim napisali. Czy zabiłam go przed terminem oddania kroniki do składu?

Po drugiej stronie przejścia siedzi samotnie dziewczynka młodsza od pozostałych i ciągnie za sznurówki swoich rozwiązanych butów. Przygryza dolną wargę i ostrożnie krzyżuje dwie pętelki; specjalnie dla Lily ochrzciliśmy je mianem króliczych uszu. Ale gdy pociąga, sznurówki opadają niezawiązane.

Kiedy nas dostrzega, z jej twarzy znika wyraz frustracji. Wpatruje się w nas przez moment, po czym podkula nogę w bucie pod siebie i odwraca się do okna. Potem powoli obraca głowę do przodu i obserwuje nas kątem oka.

– *Nan sai?* – Shinobu wychyla się i pyta ją o wiek.

Dziewczynka unosi dłonie przed twarzą, palec wskazujący prawej dłoni przyciska do rozpostartej lewej. Sześć. Paluszki ma upierścienione plastikową biżuterią.

– Sześć? Myślałem, że dwadzieścia pięć! – mówi Shinobu.

Dziewczynka zaciska wargi, powstrzymując uśmiech.

– Jak to znalazłeś? – szepczę.

Posługując się i znakami japońskimi, i alfabetem łacińskim, wyszukiwałam moje stare imię mnóstwo razy, ale nigdy nie natrafiłam na tę stronę.

– To serwis społecznościowy, tylko dla członków. Jak Facebook.

Przewijam stronę, mijając ogłoszenia dmuchanych lał i specyfików na trądzik. Jest! Twarz Tomoyi, jego idealnie proste zęby i ostry podbródek. Nie widziałam jej od dwudziestu lat. Nie wygląda już tak groźnie. Zwykła chłopięca buzia.

Zdjęcie oznaczone jest cyfrowym „X”, na twarz Tomoyi nałożono czaszkę i skrzyżowane piszczele. Niżej na stronie znajduje się tablica z postami. Jeden z nich, od Ayumi, jest po angielsku: ODDAJEMY CI CZEŚĆ, CHIZURU! Klikam na ikonkę różowego jednorożca obok jej imienia i szybko przeglądam jej profil. Lokalizacja: Gunma-ken. Wiek: 12.

Lily skończy dwanaście lat w przyszłym miesiącu. Czy ma dostęp do tego rodzaju stron? Próbuję sobie wyobrazić matkę Ayumi. Pracuje? Jest zameżna? Prawdopodobnie nie ma pojęcia, przez co przechodzi jej córka. Czy ja sama zorientowałabym się, że Lily dokuczają w szkole? Albo że ona komuś dokucza?

– Dasz mi zobaczyć, co z tym butem? – pyta Shinobu dziewczynkę po drugiej stronie przejścia.

Mała zerka na mnie, po czym patrzy znów na Shinobu. Wystawia nogę.

– Zaraz tu wylądaje motylek – mówi Shinobu, robiąc pętelkę, którą macha.

– Wiem, jak wygląda motylek – mówi dziewczynka podejrzliwie.

– Oczywiście, że wiesz! Ale czy słyszałaś kiedyś o zawziętym jastrzębiu, który chce go pożreć? – Robi drugą pętelkę i atakuje nią pierwszą. – „Raaw! Wyglądasz smakowicie!”, mówi jastrząb. Ale motylek jest sprytny. Chowa się za jastrzębia, o tak, i prześlizguje się pod nim... – Shinobu przekłada drugą pętelkę za pierwszą, potem pod nią i mocno zaciąga kokardkę. – Bum! Został uwięziony. Ale wiesz co? Odbyli wspólnie podróże do wielu interesujących miejsc i ostatecznie zostali najlepszymi przyjaciółmi.

Dziewczynka obserwuje go w napięciu, po czym pociąga za sznurówkę i rozwiązuje kokardkę.

– Motylek jest sprytny... – mruczy do siebie, manewrując pętelkami.

Kiedy pod jej palcami powstaje zgrabna kokardka, podnosi wzrok i uśmiecha się ze zdumieniem. Odwraca się i przyciska twarz do szyby.

– Dzieci i staruszkowie mnie uwielbiają.

– To chore – szepczę, nie wypuszczając telefonu z ręki.

– Niektórzy dziennikarze mówią, że to złe, ale ja się z nimi nie zgadzam.

Przeciwstawiłaś się. Przeciwstawiłaś się Mężczyźnie.

– Nie mów tak. Zrobiłabym wszystko, żeby cofnąć czas.

– Po *kireru* uciekłaś z Japonii do Ameryki. Rozumiem. Właściwie to nawet zabawne. Bo bez *kireru* nie ma Ameryki. A wtedy nie masz męża i nie masz córki.

Każdego dnia przypominam sobie, że efektem tej tragedii były – pośrednio – dwie najlepsze rzeczy w moim życiu. Ale to nie oznacza, że bym jej nie cofnęła, gdybym tylko mogła. Dobrego życia przeżywanego z tajemnicą nie dawało się porównać z dobrym życiem przeżywanym bez niej. Ale ja nie miałam – nie mam – takiego luksusu.

– Twój mąż musi być dobrym człowiekiem – mówi Shinobu. – Musi dobrze rozumieć ludzi.

– On nie wie.

Shinobu rozdziawia usta.

– On nie zna... Chizuru?

– Nie.

– Jestem szokujący! Jak...

Wyjmuję z torby list od ojca.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówię, rozkładając go. – Czy możesz mi to przeczytać? To ważne.

Po jego twarzy rozplywa się zachwyty.

– Jesteś niepisana!

– Niepiśmienna. Zbyt wiele lat spędzonych w Stanach.

– Mogę ci pomóc. Od kogo dostałaś to?

– Od ojca.

– Boże! Pismo Hiro Akitaniego. Skarb!

– Óóó...

Shinobu się opanowuje.

– To chyba dla ciebie ważne.

– Proszę... Niech to zostanie między nami. – Kiwam głową w stronę końca autobusu.

Shinobu wskazuje na mnie palcem.

– Ach, *yappari*, wiedziałem. Co to za sprawa (dobrze używam tego potocznego określenia?) z tobą i Danny-san?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Jest napięcie. – Wyjmuję mi list z palców. – A teraz to.

Autobus podskakuje na wybojach i oboje łapiemy się siedzenia przed nami.

– Nie widziałyśmy się od dwudziestu lat. Przyzwyczajenie się do siebie wymaga czasu.

Shinobu ściąga brwi i mówi cicho:

– To jakaś felerna bura.

Wybuch śmiechem i dziewczynka po drugiej stronie przejścia piszczy, a potem zakrywa usta i też się śmieje. Autobus sapie, wspinając się wąską drogą tak stromą, że aż się odchylamy do tyłu na siedzeniach. To jak jazda kolejką górską, gdy równocześnie truchlejesz i marzysz o tym, żeby znaleźć się na szczycie wzniesienia. Kierowca miał rację – nie było szans, żebyśmy dotarli tam przed zmrokiem.

Shinobu z łatwością czyta po japońsku; znika niezgrabność jego angielskiej mowy.

Do mojej córki: Tysiąc żurawi, to właśnie sobie wyobrażałem, kiedy się urodziłaś. Piękna, miałaś w sobie tyle światów. Danny mówi mi, że teraz nosisz imię Rio. Dlaczego? Chyba jest raczej brzydkie?

Po Twoim wyjeździe miałem dwa udary. Nie mogę już występować, ale nie przeszkadza mi to, jeśli możesz w to uwierzyć. Wkrótce dostanę trzeciego, ostatniego udaru, po którym umrę.

Wysyła Ci to mój prawnik, bo nie chcę, żeby Danny dowiedziała się o smyczku. Powiedziałem jej, że przekazałem go na cele charytatywne, więc zachowaj to dla siebie. Kiedyś uwielbiałaś go czyścić. Czasem brudziłem go celowo. Może spodoba się Twojej córce. Nauczyłaś ją robić motyle z papieru?

Zamykam oczy. Czuję się tak, jakby ojciec siedział obok mnie. Shinobu ma nawet nieco podobny do niego głos.

Zakładam, że Danny zadzwoniła i o wszystkim Ci opowiedziała. Proszę, bądź dla niej miła. Skąd mogłem wiedzieć, że nigdy się nie otrząśnie z tego drobnego, niezapadającego w pamięć romansu? Ludzkie emocje i związki są zagadką. Była mi pomocą – przynajmniej tyle.

W internecie widziałem zdjęcia Twojej córki, Lily, występującej na scenie w Kolorado. Ma po mnie talent i charyzmę. Wyglądała na szczęśliwą – musiała to odziedziczyć po Tobie.

Powiadają, że człowiek uświadamia sobie swoją starość, gdy zaczyna różnych rzeczy żałować – a więc chyba się postarzałem. Szczerze mówiąc, aż do tej chwili nie miałem ochoty się z Tobą kontaktować. Nigdy nie miałem być ojcem rodziny. To żadne usprawiedliwienie, ale chciałem to powiedzieć mimo wszystko. Powinienem był umrzeć jako dziecko, lecz byłem na to zbyt uparty.

Nie zostawiam Ci żadnych pieniędzy. Nie sądzę, by w czymkolwiek pomagały, więc przekazuję wszystko, co mi zostało, na pomoc ofiarom tsunami. Biedni frajerzy! Do zobaczenia w przyszłym życiu. Bo przecież musi jakieś być, nie sądzisz? Hiro

Obicie siedzenia przed nami jest rozdarte. Gapię się na to rozdarcie, gdy podskakując raz za razem, pniemy się do góry. Shinobu coś mówi, ale nie potrafię się skupić na jego słowach. Poklepuje mnie po ramieniu.

– Danny i twój ojciec... – mówi, a w jego głosie słychać nabożną cześć. – Nie wiedziałaś.

– Nie wiedziałam. – Grzęznę, tonę w tych wszystkich rzeczach, o których nie wiedziałam.

Autobus zatrzymuje się raptownie. Kierowca gwizdże.

– Usługa od drzwi do drzwi. No i jak, niezłe *osettai*? Nie krępujcie się wziąć kilkorga tych małych robali ze sobą. Ha, ha!

Danny szybko przechodzi naprzód, wykrzykując słowa pożegnania do swoich nowych znajomych siedzących w tyle autobusu. Wsuwam list do kieszeni spodni. Kiedy mnie mija, mimowolnie się odchylam.

Dziewczynka z drugiej strony przejścia wyciąga do Shinobu kawałek fioletowego plastiku. Pierścionek. Shinobu wysuwa w jej stronę mały palec, a ona zakłada na niego pierścionek, prawie do końca, i wskazuje na mnie. Shinobu przekazuje mi pierścionek, a ja go zakładam. Patrzę, jak późnopołudniowe światło rozszczepia się w nim i rzuca zajączki na mój nadgarstek. Shinobu pociąga mnie za ramię. Wstaję, by zmierzyć się z Danny.

Ostatnią rzeczą, która zdarzyła się przed moim *kireru*, przed tym, zanim wyprowadzono mnie ze szkoły z krwią na mundurku, były pinezki. Pinezki były kroplą, która przelała czarę.

Wydarzyło się to podczas lekcji angielskiego. Wypadłam z łask panny Danny i Tomoya o tym wiedział. Uściskała mnie tamten jeden jedyny raz, na osobności, i natychmiast zaczęła się do mnie odnosić z wcześniejszym chłodem. Kiedy szłam na swoje miejsce, któryś ze zwykle milczących chłopców zadał mi pytanie o pracę domową, więc siadając, zamiast patrzeć w dół, spojrzałam na niego.

Ból był ostry jak użądlenia pszczoł – tak ostry, że zaparło mi dech. Uniosłam pupę z krzesła, żeby nacisk zelżał, a w oczach stanęły mi łzy. Ktoś za mną wybuchł śmiechem. Wstałam mechanicznie. Wyjść. Wyjść. Wyjść.

Panna Danny, pisząca właśnie coś na tablicy, odwróciła się. Przyjrzała się mojej twarzy, po czym dostrzegła tył spódnicy, którego wciąż jeszcze trzymały się pinezki. Jedna spadła na ziemię. Ciągłe słyszę jej brzęk na kafelkach.

Zdołałam powstrzymać łzy, zanim wyszłam na korytarz. Usłyszałam, jak panna Danny mówi:

– Dziewczynki, pójďte jej pomóc.

W łazience uniosłam spódnicę i odciągnęłam seledynowe majtki upstrzone plamkami krwi. Spojrzałam w lustro: pinezki na krześle ułożono w kształcie uśmiechniętej buzi; wciśnięte w mój tyłek wyrysowały gniewny grymas. Poczulałam mdłości, zakaszlałam i splunęłam do zlewu. Chciałam, żeby do sali wpłynęła moja mama. Chciałam, żeby panna Danny krzyknęła. Chciałam zrobić krzywdę Tomoyi.

Do łazienki weszły Mimi i Ikemi, śpiewaczka lizuska. Ikemi wyciągnęła z podajnika papierowy ręcznik i wręczyła mi go, a po chwili zastanowienia zmoczyła go pod kranem. Druga dziewczyna stanęła za nią, gapiąc się na moje zakrwawione majtki i stosik pinezek na metalowej półeczce nad zlewem.

– Dlaczego oni to zrobili? – zapytałam. – Dlaczego oni to zrobili?

– Chłopaki to palanty. Prawda, Mimi?

Mimi skinęła głową, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Wygląda, jakbyś miała okres – powiedziała Ikemi i zachichotała.

Rzeczywiście, kilka miesięcy temu dostałam pierwszej miesiączki. „Tak samo wcześniej jak ja”, powiedziała moja mama. Przez parę dni byłam dumna jak paw i posunęłam się nawet do tego, by „przypadkiem” upuścić podpaskę na podłogę, ale kiedy się zorientowałam, że żadna z dziewczynek z klasy jeszcze nie miesiączkuje, stało się to kolejnym wstydliwym skutkiem ubocznym bycia *hafu*. Komentarz Ikemi jeszcze bardziej mnie upokorzył. Powiedziałam jej, że nic mi nie jest i że może wrócić do klasy.

– Jesteś pewna?

Miałam dość tego wyrazu troski na jej twarzy.

– Po prostu zostaw mnie samą!

Ostatnie słowo wykrzyczałam, a kiedy na jej idealnej twarzy odmalował się przestrah, poczułam się odrobinę lepiej.

– Chodźmy – powiedziała.

Mimi wyszła za nią z łazienki, lecz zanim pchnęła drzwi na korytarz, ostatni raz się na mnie obejrzała.

Zaczekałam do dzwonka, walcząc z łzami, by sprawić wrażenie silnej na osobie, która by weszła jako następna. Ale panna Danny nie przyszła.

Shōsan-ji znajduje się na szczycie góry eksplodującej roślinnością. Roztacza się stąd widok na niższe szczyty spowite przypominającą gręplowane włókna bawełny mgłą. Nad nami górują cedry. Rozumiem, czemu Danny niechętnie skorzystała z uprzejmości kierowcy autobusu: to piękno jest zbyt rozkoszne, by cieszyć się nim niezasażenie. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak oszałamiający musi być ten pejzaż po sześciu godzinach wspinaczki.

Śledzę gesty i mimikę Danny, próbując sobie to wszystko poukładać. Dlaczego smyczek wysłano mi w takiej tajemnicy? Danny zdenerwowała się, przeczytawszy o tym w liście; myślała, że Hiro go spalił.

Upstrzony hiacyntami wodnymi staw otacza łukiem, niby połowiczna fosa, jedną z cynobrowych ścian świątyni; nad brzegiem kwitną fioletowiebieskie hortensje. Z frontowych schodów świątyni zeskakuje wiewiórka, przystaje, by się nam przyjrzeć, i czmycha pod krzak. Gdyby nie złowróźnie nadciągające chmury, moglibyśmy być w świecie anime. Przecież muszą tu gdzieś być wielkookie kurzyki – ulubiony temat rysunków Lily po pierwszym obejrzeniu filmu *Mój sąsiad Totoro*.

Danny nie wie, że się jej przyglądam. Opowiada nam o osławionym kapłanie rezydującym w Shōsan-ji, a ja tymczasem poddaję powtórnej ocenie wszystko, co wydawało mi się, że wiem. Czy to możliwe, że przez cały ten czas nie związała się z nikim z powodu uczucia do Hiro? Czy jeden „niezapadający w pamięć romans” wystarczył, by uszkodzić ją na całe życie? Z nim – być może. Jego obecność robiła z ludźmi różne rzeczy.

Kapłan, jak mówi nam Danny, znany jest z tego, że budzi swoich gości łaskotkami, opala się nago w ogrodzie i hojnie podlewa swoje chrapliwe przyśpiewki święconą sake. Sam wykopał ten staw i wpuścił do niego osiemdziesiąt osiem najtłustszych karpí koi, które przez wiele tygodni wnosił na górę w plastikowych workach. Medytuje, kręcąc hula-hoop.

Hula-hoop kręciła jedna z przyjaciółek ze zmyślnego dzieciństwa, o których opowiadałam Salowi. Nazwałam ją Inez. Była pół-Brazylijką, dzieckiem właścicieli restauracji *teppanyaki*, gdzie na specjalnej podgrzewanej płycie mogłeś

sobie zgrillować czarno nakrapianą fasolę. Inez potrafiła jednocześnie tańczyć i kręcić kołem. Często robiła to na dachu swojego domu, a wokół sterczeli wszyscy chłopcy z sąsiedztwa, żeby popatrzeć. Ta historia jest tak stara, że nie pamiętam już, kiedy opowiedziałam ją po raz pierwszy. Tyle razy ją powtarzałam, tyle razy wyobrażałam sobie Inez z jej ciemną skórą i bursztynowymi oczami, że cała ta opowieść do pewnego stopnia zatraciła dla mnie znamiona fałszu.

No i mamy kapłana – drobny mężczyzna w żółtych szatach stoi na prawo od świątyni i patrzy na okap dachu.

Na nasz widok wyrzuca ręce do góry.

– A to co? Przecież była informacja dla pielgrzymów, żeby albo się cofnęli i zostali w Tokushimie, albo ruszyli do Kamiyamy, gdzie zbudowano schronisko.

– Ach jej! Nam nikt nic nie powiedział – mówi Danny. Zręcznie kłamie.

Kapłan składa nam ukłon – nie tyle z szacunkiem, ile z rezygnacją. Głowę ma ogoloną w tradycyjny sposób, ale włosy zaczęły odrastać i skóra wydaje się brudna.

– A zatem, niefortunnie dla nas wszystkich, musicie zostać tutaj. Burza będzie się wzmacniać; ostatniej nocy wiatr znad oceanu przybrał na sile. Och, to przecież absurd! Ludzie, czy wy nie macie komórek?! No cóż. W moim pokoju są tylko trzy maty, a poza tym jest zbyt mały, by zmieściła się w nim więcej niż jedna osoba. Ale – tu wzdycha dramatycznie – jest kurnik.

– W porządku. O ile nie przecieka – mówię.

– Czy naprawdę – głos Danny przybiera piskliwy ton – są w nim kury?

– Jedna kura. Jest stworzeniem świętym, więc kurnik został zbudowany solidnie. Postawiłem go własnoręcznie zeszłego lata.

– Czy ta kura porusza się swobodnie? – pyta Danny.

– Zwykle tak. Ale na czas burzy schowałem ją do klatki. Sprawiacie wrażenie zmartwionych... Jakie to urocze. – Zerka na dach. – A jeśli chodzi o zakwaterowanie... Będzie się wam nudziło. Pożyczyłbym wam mój zestaw do karaoke, ale muszę oszczędzać baterie do latarki. A poza tym tu jest bardzo skromnie, tylko jeden pokój.

– Zaprzyjżnię się z tą świętą kurą – mówi Shinobu. – Może to poprawi moje wyniki egzaminów.

Kurnik okazuje się sześcianem z blachy falistej przylepionym do tylnej ściany świątyni. W środku pachnie słomą, którą zarzucona jest betonowa podłoga. Kapłan zostawia nas i wraca minutę później, pchając przed sobą taczkę, na której piętrzą się koce, dwa materace do spania, lampa elektryczna i jednoosobowy futon. Pomagamy mu ją rozładować. Lampa roztacza wokół czyste, złociste światło, i to jaśniejsze, niż można by się spodziewać – spokojnie wystarczy do czytania.

– Młody człowieku, czy zechciałbyś pomóc mi przenieść do środka kilka worków kompostu? Nie mogę dopuścić, żeby odpłynęły.

– Oczywiście, proszę pana.

Shinobu wychodzi z kapłanem, który macha Danny i mnie.

– Powodzenia, o świeżo poznani i nadworni wariaci.

Zamyka za sobą drzwi.

Danny gapi się w głąb kurnika, gdzie w wielkiej drucianej klatce gdacze w podnieceniu kura, i krzyżuje ręce na piersi.

– To będzie koszmarna noc.

Ma rację. Ale nie z powodów, o których myśli.

Na blaszanym dachu odzywa się pierwsze „ping”, a potem kolejne, jakby ktoś rzucał kamieniami. Danny zaczyna mówić, ale jej głos tonie w łoskocie tysięcy ciężkich kropel w tym samym momencie uderzających w dach. Jesteśmy wewnątrz bębna. Uchylam lekko drzwi. Krzewy i niewielkie drzewka gną się pod naporem ulewy. Na trawie podskakuje grad. Mały staw burzy się i pieni.

– Kierowca miał rację! – przekrzykuje deszcz.

Danny wygląda żałośnie, gdy stawia swój plecak w pobliżu drzwi, możliwie daleko od kury.

Opieram swoje rzeczy o ścianę po przeciwnej stronie. Rozkładamy na słomie ręczniki i koce. Danny zaczyna z namaszczeniem wyklądać swój arsenał książek, torebek i kamieni. Żałosna jest jej obsesja na punkcie tych rzeczy. To pewnie pamiątki po nim. Czuję w sobie siłę. Sądziła, że zdoła zachować to przede mną w tajemnicy? Pomyliła się. I to bardzo.

Czarny organ odczepił się od serca i rozpycha to tu, to tam, kopiąc inne narządy. Aż trudno oddychać. Wyciągam list od ojca i jednym strzepnięciem dłoni rozkładam go tak, żeby Danny widziała pismo.

Kura krąży po swojej klatce. Wydaje cichy skrzek, na którego dźwięk Danny podskakuje. Sekundę później dostrzega list w mojej dłoni i siada, przyciskając koc do piersi, jakby ją to mogło ochronić.

– „Zakładam, że Danny o wszystkim ci opowiedziała. Proszę, bądź dla niej miła”. Opowiedziałaś mi? Opowiedziałaś mi o wszystkim?

– Pojawiłaś się, oczekując odpowiedzi. Jakby jedna krótka wizyta mogła wszystko załatwić.

– Miałaś z nim romans.

Wypuszcza koc z ręki.

– Czy naprawdę właśnie tego chcesz się dowiedzieć? Czegóż, co zdarzyło się wieki temu?

Uzmysławiam sobie, dlaczego mi nie powiedziała.

– Boże. A więc to się stało, gdy byłam twoją uczennicą, prawda? Tuż przed...

– Och, na miłość boską. A jak sądzisz, jak się poznaliśmy?

Mam wrażenie, jakbym znów usiadła na pinezkach. Czuję je na całym ciele

– tysiące przesywających ukłuć.

– I od tej pory miałaś obsesję na jego punkcie. Zwracał na ciebie uwagę przez... miesiąc? Dwa?

– Ludzie nieustannie nawiązują romanse. Nie my to wymyśliliśmy.

– Byłam dzieckiem, które przechodziło koszmarny okres. A ty nagle zaczęłaś traktować mnie tak, jakbym nie istniała.

– Przestałam cię faworyzować.

– Przestałaś mnie chronić.

– Byłam nauczycielką! Wykonywałam swoją pracę, która nie obejmowała matkowania ci. Gdyby widziano w tobie moją pupilkę, to tylko pogorszyłoby twoją sytuację.

– Jakim cudem mogłaby stać się jeszcze gorsza? Skoro wiemy, co się wydarzyło?

– Nikt nie mógł przewidzieć, co się wydarzy. Sądziłam, że postępuję słusznie.

– Ignorując mnie.

– Dystansując się od ciebie. Byłam młoda, chowana pod kloszem. Powinnam być mądrzejsza i postąpić rozważniej, ale w młodości wszyscy popełniamy błędy. To był dla mnie trudny czas. – Przekręca bransoletki i wzdycha. – Jeden trudny okres po drugim.

Jej uzalanie się nad sobą sprawia, że mam ochotę wrzasnąć.

– Wiadomość z ostatniej chwili: życie jest trudne! Wiesz, co robi większość z nas? Idzie dalej. Naprawdę żal mi ciebie. Bo ty tego nigdy nie zrobiłaś. – Wskazuję na jej krąg rupieci. – I ten śmietnik. Pamiątki twojego małego zauroczenia? – Moja dłoń zmiata kamyki i muszle, które z impetem uderzają w blaszaną ścianę.

Danny wygląda na wystraszoną. Dobrze. Słusznie się mnie boi. Serce wali mi jak młotem, a czarny organ razem z nim. Kimże ona jest, by rościć sobie prawo do cierpienia? Do przeżywania trudności?

– Moja mama właśnie umarła, a ty natychmiast wpasowałaś się w jej miejsce.

– Nie – mówi Danny, kuląc się w swoim kącie. – Kiedy się poznaliśmy, jeszcze żyła. To nie było tak. – Obraz zamazuje mi się przed oczami i to, co Danny mówi później, wydaje się dobiegać z oddali. – Przykro mi, że straciłaś matkę, ale nie, to nie może być moja wina. Takiego... takiego dokonała wyboru. Nikt jej do tego nie zmuszał.

Rzucam się naprzód i policzkuję ją. Nasada mojej dłoni uderza ją w szczękę i Danny z łupnięciem, które mnie satysfakcjonuje, wali głową o ścianę. Chcę ją uciszyć, wybić jej z gardła ten słodki akcencik. Krzyczy i chwyta się za żuchwę, osłaniając twarz drugim ramieniem. Zza zgiętego łokcia szepcze:

– Boże.

Jej wstrząs przynosi czarnemu organowi zadowolenie. Jestem rozgrzana, naelektryzowana. Odwracam się i widzę stojącego w drzwiach Shinobu. Na jego twarzy maluje się mieszanina szoku, przerażenia i odrazy. W jego oczach widzę, co zrobiłam.

Wydaje się, jakby milczenie trwało bardzo długo. Wpatrują się we mnie oboje: Shinobu i Danny.

– A zatem do tego doszło – mamrocze Danny, wciąż trzymając się za żuchwę.

Czuję się tak, jakbym miała w gardle pełno kleju. Próbuję przełknąć, ale nie mogę.

– Jest coś jeszcze, o czym powinnaś wiedzieć – mówi Danny. Siada potulnie. – Hiro zostawił klucz. Miałam ci go dać. Jest w moim plecaku. – Patrzy na mnie, prosząc o pozwolenie, by się poruszyć. Kiwam głową. Rozsuwa wewnętrzną kieszeń plecaka i wyjmuje przywiązany do zielonej wstążki klucz. – To klucz do domu. Domu, w którym się wychowałam.

Miedziany klucz jest wielki, stary i pokryty patyną. Jego ciężar i wielkość wydają się moim palcom znajome. Ale przecież Hiro sprzedał ten stary dom, czyż nie? Po śmierci mamy i zamknięciu mnie w ośrodku jakie mógłby mieć dla niego zastosowanie? Kupił ten dom tylko ze względu na moją matkę.

– Dlaczego to ty go masz?

– Nie chciał wysłać go pocztą. Poprosił mnie, żeby ci go dać, ale tylko o ile wrócisz do Japonii.

Danny wstaje i dotyka potylicy, jakby sprawdzając, czy nie ma tam krwi albo guza. Przecież nie uderzyłam jej tak mocno. A może jednak?

– Danny, nie wiem, co się stało. Normalnie tak się nie zachowuję.

Robię krok w jej stronę, ale powstrzymuje mnie gestem.

– Trzymaj się ode mnie z daleka. Nie dotykaj mnie. – Zgarnia swój futon i poduszkę.

– Dokąd idziesz? – pyta Shinobu.

– Do świątyni. Prześpię się w *hondo*.

– Pozwól, że ja pójdę – mówię, gdy Danny przechodzi obok mnie. – Zmokniesz.

Próbuje trzasnąć drzwiami, ale skobel się obrócił, więc odskakują. Sztywnym krokiem zanurza się w ciemność za stawem. Shinobu zwiija swój materac.

– Ja też pójdę. Ty tu dziś zostań na noc. – Oczy utkwił w ziemi. Jego twarz jest murem rozczarowania.

Po jego wyjściu przyciągam kolana do piersi. Smużki błota spływają z goleni i skapują z podbicia stóp jak ciężkie czarne łzy. Próbuję sobie wyobrazić Danny

z moim ojcem. To niemożliwe. Wyobrażam ją sobie w szkole, kołyszącą się w jednym z jej pastelowych kostiumów, wymawiającą *rye-yu* zamiast *ryu* i chrzęszczące „r” w słowach, które słyszała milion razy, w rodzaju *arigatō*. Trudno uwierzyć, by jakikolwiek meloman miał takie drewniane ucho, a jeszcze trudniej pomyśleć, że mój ojciec mógł to tolerować.

Dziwna, obca myśl, którą powtarza mój mózg, jest prawdą: „Uderzyłam ją”. Co jest ze mną nie tak? Jestem pielęgniarką. Racjonalną dorosłą osobą. Uderzyłam pięćdziesięcioletnią kobietę po terapii nowotworowej, kobietę, która boi się kury i która nawet mi nie groziła. Czy takim właśnie jestem człowiekiem?

Kura zachowuje się dziwnie cicho, jakby deszcz utulił ją do snu. A może po prostu nie chce się odzywać.

Po przebudzeniu czuję się tak, jakbym miała obrzmiały język i głowę wypchaną kamieniami. Kładę na języku dwa ibuprofeny i po chwili je od niego odklejam. Nie mam śliny, żeby je przełknąć. Bukłak na wodę jest pusty.

Drobiazgi Danny wciąż leżą rozrzucone pod ścianą. Zbieram je na kupkę. Kura stoi w klatce na baczność, nieruchoma, jeśli nie liczyć niespokojnych obsydianowych oczu. Światło rysuje kształt drzwi. Chwytam bukłak, wsuwam buty i nie wiążąc sznurówek, odsuwam skobel.

Stopy grzęzną mi w błocie ze słyszalnym młaśnięciem. Poszarpane chmury przesuwiają się szybko jak żołnierze ruszający do bitwy. Na moich oczach jedna z nich rozdziera się, odsłaniając drobny splachetek olśniewającego błękitu. Już po burzy. Idę do *hondo*. Nie widzę Danny, ale Shinobu śpi pod dzwonem. Z kącika jego ust sączy się strużka śliny. Szepczę coś do niego, ale on ani drgnie. Szturcham go w bok i w końcu otwiera oczy.

– Wstawaj, zanim cię kapłan zobaczy – mówię. – Gdzie jest Danny?

– Tam – odpowiada, nie podnosząc głowy. Wskazuje na przestrzeń w głębi *hondo* pomiędzy posążkiem Buddy a pokrytą laką figurką demona.

Widzę tylko złożony futon z poduszką na wierzchu.

– Nie, nie ma jej tam.

Shinobu siada.

– Wyszła?

Podnoszę materac Danny, a Shinobu pakuje swój. Okrążamy chram, wypatrując jej śladów, lecz bezskutecznie. Ze ściany budynku wystaje kranik. Odkładam futon i podstawiam usta pod strumień – łykam głośno słodką, zimną wodę, pozwalając, by opryskała mi twarz.

– Jak sobie radzisz, ty i twoja, ekhm... rodzina?

Chwilę zajmuje mi rozpoznanie kapłana w osobniku ubranym w żółty sztormiak, gumowane spodnie do kompletu i kalosze w moro. Ocieram twarz rękawem i próbuję stworzyć wrażenie, jakby dwoje z nas wcale nie spało w świątyni wśród jej kruchych artefaktów.

– Było nam ciepło i sucho, bardzo dziękujemy. Za chwilę ruszymy dalej.

Kapłan śmieje się tak rozgłośnie i szczerze, że zaczynam się martwić. W końcu wykrztusza:

– Będziecie potrzebowali tych materacy na jeszcze jedną noc. To tylko chwilowa przerwa w nawałnicy.

– Naprawdę?

– Tak. Do Dainichi-ji, następnej świątyni, jest pięć i dwie dziesiąte kilometra. Wybierać się tam teraz byłoby głupotą.

Ile czasu zajmie Danny przejście pięciu kilometrów? Nie wiem, jak dawno

ruszyła. Tkwiąca we mnie Chizuru chce o niej zapomnieć, ale pielęgniarka i matka nie potrafi nie rozmyślać nad tym, co się z nią stało.

– Czy po drodze jest jakiekolwiek miejsce, w którym można się zatrzymać?

– Nabieram przekonania, że jesteście umyślowo upośledzeni. Właściwie dochodzę do tego wniosku w przypadku wielu cudzoziemców. No więc... jak by to ująć? Zostajecie. Tu. Dziś. Cieszcie się towarzystwem pocziwej kury.

Shinobu i ja składamy ukłon.

– Zrobimy tak, jak sugerujesz.

W kurniku włączam komórkę. Może Danny zostawiła wiadomość? Jednak animowany gremlin na ekranie marszczy czoło i kręci głową, złe wieści przekazując na sposób japoński – uroczo.

Shinobu narzuca na siebie cienką plastikową pelerynę i naciąga kaptur.

– Powiniennem nie spuszczać jej z oka i pójść za nią. Szlak od tego miejsca jest niebezpieczny.

– Nie możesz wyruszyć teraz. Za chwilę znowu rozpęta się burza.

– Ona może być ranna. – Kładzie dłoń na klamce i odwraca wzrok. – A ja nie wiem, czy powiniennem z tobą zostać.

– Przykro mi z powodu wczorajszego wieczoru. Pewnie sądzisz, że ja się zawsze tak zachowuję, a to nieprawda. Nie jestem brutalna.

Chłopak, który wczoraj okrzyknął mnie bohaterką, teraz patrzy na mnie z politowaniem. Wstyd okrywa mnie jak woal.

– Zostań, proszę. Znajdziemy Danny, jak tylko burza przejdzie – przyrzekam. Kura gdcze, jakby się ze mną zgadzała, raz za razem unosząc i opuszczając łepkę. – Jeśli teraz wyjdiesz, sam możesz wpakować się w kłopoty. A wtedy nie pomożesz ani mnie, ani Danny.

Shinobu niechętnie przenosi wzrok z kury na mnie. Ta decyzja jest dla niego wyraźnie bolesna.

– Może to znak – mówi niepewnie. – Powiniennem się więcej pouczyć. Poza tym i tak za cztery dni muszę wracać do Tokushimy na egzamin.

Nawałnica szaleje przez cały ranek i popołudnie. Dwukrotnie o blaszane ściany kurnika walą jakieś ciężkie przedmioty – gałęzie drzew? – ale w środku jesteśmy susi i bezpieczni. Bezpieczni nie tylko od żywiołów, ale i od życia: w tej komórce nic nas do niczego nie zobowiązuje. Lampka na baterie przez cały dzień świeci ciepłą, łagodną poświatą. Shinobu pożycza mi *W drodze*, którą czytam, kiedy on się uczy. Powtarza sobie materiał pod nosem, czasem tłumaczy pytanie ze zbioru testów przygotowawczych, każe mi je powtórzyć, a potem próbuje na nie odpowiedzieć po angielsku. Wsuwa teorię, że uczenie się w dwóch językach „kompleksowo zaktywizuje” mózg, co pozwoli mu więcej zapamiętać.

– W jaki sposób przedsiębiorstwo może przeprowadzić odwracalne potrójne połączenie, aby przekazać licencje i pozwolenia przedsiębiorstwa docelowego

kontynuującej działalność spółce córce bez naruszania ustawy o przedsiębiorczości?

Shinobu bez zająknięcia recytuje odpowiedź.

– Zaliczone – mówię.

Kartkuje odpowiedzi, kręcąc głową.

– Zawsze zapominam o klauzuli wyjątkowej dotyczącej wniosków o ochronę patentową złożonych przez oddziały zagraniczne.

Mdłe światło wyprawia cuda z moim poczuciem czasu. O jedenastej gotowa byłabym przysiąc, że już jest wieczór, o zachodzie słońca oceniam, że jest wczesne popołudnie. Shinobu prosi mnie, żebym przeczytała na głos fragment *W drodze* – ten rozdział, w którym towarzystwo jedzie do Meksyku. Odurzają się tak, że nie mogą mówić, imprezują z nastoletnimi prostytutkami, a potem idą spać w dżungli tak głębokiej, że następnego ranka budzą się pokryci własną krwią wysączoną przez komary, uchachani jak dzieci.

W końcu zapada prawdziwa noc. Burza cichnie. Wychodzę na zewnątrz i siusiam w krzakach. Wśród gałęzi nad moją głową pobłyskuje rożek księżycy. Jakaś żaba kumka na próbę i w jednej chwili z ciemności odpowiada jej rechot tysiąca kamratów, budząc noc do życia.

Drzemię, podczas gdy Shinobu otwiera i zamyka swój podręcznik z testami. Przez jedną słuchawkę słucha muzyki z telefonu.

– Czego słuchasz?

– Teraz Boba Dylana. Jestem też fanem Michaela Jacksona, a jego piosenki bardzo zachęciły mnie do tego, by zacząć doskonalić angielski. Uwielbiam także Dragon Ash, Red Hot Chili Peppers... Ostatnio mam zajawkę na Sloth Love Chunks. Chcesz posłuchać?

Wkładam sobie słuchawki do uszu i prawie natychmiast je wyciągam.

– Brzmi tak, jakby ktoś wywalał śmieci do kontenera.

– Jesteś jak moja matka – kwituje.

Dzwoni jego telefon i Shinobu chwytą go pospiesznie, żeby sprawdzić kto to.

– Przez chwilę miałem zasięg, ale już zniknął. – Marszczy brwi, coś odczytując. Mina mu rzednie, ramiona opadają.

– Co jest?

Wygląda tak, jakby wypowiedzenie tych słów wymagało od niego nadludzkiego wysiłku.

– Dostałem e-mail od Lindy.

W jego głosie nie ma energii. Serce ściska mi współczucie. Wiem, co usłyszę.

– Napisała mi, że „idzie naprzód”. Wiem, co to znaczy. To koniec.

Zamierza się, jakby chciał cisnąć aparatem o ścianę, lecz w ostatniej chwili

rezygnuje. Przysiada i po japońsku liczy do dziesięciu, raz za razem.

Ból jego serca jest tak czysty, tak nieskrywany, że ja też go czuję.

– Przykro mi. Związki na odległość są trudne, ale to, co zrobiła, nie było w porządku. Powinna do ciebie przynajmniej zadzwonić.

Shinobu odkłada telefon. Ogarnia go upiorny spokój.

– Nie będę mówił o niej źle. Na takie sprawy nic nie można poradzić – mówi mechanicznie, po czym kładzie się na swoim pośłaniu.

– Nie wolałbyś przebrać się do spania?

Przez chwilę czuję się tak, jakbym mówiła do Lily.

– *Hottoite kudasai* – szepcze, po czym, przypominając sobie coś, dodaje po angielsku: – Daj mi spokój, proszę.

Wyruszamy o brzasku. Kapłan jeszcze nie wstał, więc zostawiamy mu wiadomość i niewielką ofiarę pieniężną, po czym składamy pośłania i zamiatamy kurnik. Gdy jesteśmy gotowi do wyjścia, Shinobu patrzy w niebo nad świątynią.

– Jakie dziwne robi dziś wrażenie. Jakby chciało kichnąć, a nie mogło.

Ma rację. Powietrze stoi nieruchomo i nawet ptaki zamilkły. Tu nie ma *uguisu*. Ten brak ruchu stwarza złudzenie, jakbyśmy nie znajdowali się pod gołym niebem – las przypomina muzeum, w którym każda kropla wilgoci została precyzyjnie umieszczona, a wszystkie warstwy mchu fachowo nałożone. Shinobu nie wspomina o zeszłej nocy ani o liście Lindy. Jego *tatema* jest na miejscu – czuję, że dławi *hon*ne nawet w sobie. Jego determinacja jest godna podziwu. Budzi we mnie opiekuńczość.

Wracamy tą samą drogą, którą przyszliśmy. Szlak przeobraził się w błotną breję przetykaną niewidocznymi korzeniami, ale ścieżki wiodące przez góry będą gorsze – tak twierdzi Shinobu – kompletnie rozmyte i najpewniej w ogóle nie do przejścia. W tym rejonie czyhają realne zagrożenia: strome nadrzeczne urwiska, bezlitośnie ostre skały, zwierzęta. Idziemy wąską żwirową drogą z powrotem do szosy, gdzie złapiemy okazję do następnej świątyni i zobaczymy, czy uda nam się znaleźć Danny albo kogoś, kto ją widział.

Gdy docieramy do szosy, nogi mam obryzgane błotem i ociekam wodą – po burzy wilgoć jeszcze bardziej daje się we znaki. Na górnej wardze czuję smak potu.

Wygląda na to, że mieszkańcy pochowali się wraz z ptakami. Idziemy środkiem drogi. Powierzchnia morza jest gładka, a ledwie dostrzegalne fale przesuwają się po niej bezgłośnie. Mówienie wydaje się niestosowne, jakby słowa mogły czymś zachwiać. Na dźwięk telefonu podrywam się jak rażona prądem. Miejscowy numer.

– Dzwonię ze szpitala Nakatani w Kamiyamie – mówi melodyjny głos po drugiej stronie. – Przyjęliśmy na oddział De-ni-tau-nu-sen – każdą sylabę wymawia oddzielnie.

– Szpitala? – powtarzam tępo.

– De-ni-tau-nu-sen tutaj jest, a do pani należy ostatni numer, na jaki dzwoniła ze swojej komórki – mówi kobieta. – Czy jest pani członkiem rodziny?

– Przyjaciółką. W jakim ona jest stanie? Halo?

Odsuwam telefon od siebie – ekran pokazuje zrozpaczonego gremlina.

– Danny jest w szpitalu? Powinienem być za nią pójsć! Znajdę to miejsce i pojedziemy. Gdzie jest taksówka? Wypatruj samochodu, proszę. – Shinobu skacze wzrokiem po ekranie swojej komórki.

Szpital? Co, do diabła, jej się stało? Wyobrażam sobie makabryczne sceny: skomplikowane złamanie kości piszczelowej wskutek upadku, atak dzika, obrażenia zadane przez nastolatków, którzy nawąchali się kleju. Pika mój telefon: dwa esemesy od Sala. Słyszał o tajfunie, czy wszystko u mnie w porządku? Chcę go uspokoić, ale tracę zasięg.

Krępe palce Shinobu stukają gorączkowo w plastikowy ekranik. Nie wiem, z jakiej sieci korzysta, ale jego operator jest najwyraźniej lepszy od mojego.

– Za parkiem trzeba skręcić w prawo. To jakiś kilometr stąd. Jak nie będzie żadnego samochodu, możemy pójsć piechotą.

Nad naszymi głowami krzyczy ptak – pierwszy, jakiego zobaczyliśmy od rana. Jest duży – może to sęp wyglądający posiłku w nadbrzeżnym śmietniku? Pewnie widzi stamtąd wszystko aż do samego miasta. Czy nas dostrzeża?

Shinobu wlepia oczy w ekran i mimowolnie porusza szczęką.

– Nie czytaj tego po raz kolejny – mówię mu. – Sam się zadręczasz.

Podnosi wzrok, czy mu się szklą.

– Nic na to nie poradzę. To było moje marzenie.

– Wciąż możesz przyjechać do Stanów. Skup się na tym.

– Nie rozumiesz. Jeśli pojedę, każdego mężczyznę, którego zobaczę... Każdego będę nienawdził. Spojrzę mu w twarz, a jeśli się uśmiechnie, pomyślę: ty skurwysynu, ty dupku. Bo wiem, że to będzie jeden z nich. Bo nie przyjechałem na czas. – Podnosi wzrok na ptaka. – Ten ptak ma szczęście. Jest wolny. Cała jego robota to upolować coś i zjeść. Chcę być takim jastrzębiem. Założyłbym słuchawki i poleciał, gdzie chcę.

Idziemy dalej, przyspieszając kroku. Plecak podskakuje mi na ramionach, a jego zawartość pobrzękuje, gdy mijamy szare plamy betonu umacniające zbocza. Zsuwam plecak z ramienia i przyciskam go do piersi.

Nie wiem, co powiedzieć Shinobu. Jego gniew mnie zaskakuje. Gdyby to była Lily ze złamanym sercem, mogłabym to z nią przegadać, ale Shinobu jest młodym człowiekiem. Czy tak to będzie wyglądało, kiedy Lily stanie się nastolatką? Na podbiciu prawej stopy robi mi się nowy pęcherz – może dlatego, że odciążam paluch udręczony poprzednim? Oszczędzając jeden rejon, wywieramy nacisk na drugi i tak dalej, więc możemy mieć tylko nadzieję, że kiedy wrócimy do miejsca pierwotnego bólu, dojdziemy do siebie na tyle, by móc znieść więcej.

Pod okapem osłaniającym wejście do szpitala Nakatani unosi się pusta torebka po chipsach o smaku kalmarów, podtrzymywana strumieniem powietrza z niewidocznego wentylatora. Szklane drzwi rozsuwają się, kiedy do nich podchodzimy. Uderza nas suche powietrze pachnące jak St. Mary's, jak każdy szpital na świecie: chlor, nowy plastik, a pod tym, niemożliwy do zamaskowania, odór choroby.

Podłogę w poczekalni pokrywa sfatygowana wykładzina w kolorze wyschniętej limonki. Przed zamontowanym wysoko w rogu telewizorem stoją trzy rzędy tapicerowanych krzeseł. Trwa mecz Marinersów. Pod telewizorem stoi automat, w którym można kupić bukiety róż i słoneczników, a obok dwa fotele masujące, działające na bilon.

Miałam dziesięć lat, gdy ostatni raz przebywałam w japońskim szpitalu podobnym do tego. Mama pomagała wtedy w warsztacie stolarskim, który specjalizował się w przesuwanych ekranach *shōji*. Coś się stało – coś się obsunęło albo była nieuważna, nigdy się tak naprawdę nie dowiedzieliśmy – i koniec końców wylądowała w szpitalu z kilkunastocentymetrowym rozcięciem na przedramieniu. Została na noc, a mnie pozwolono spać w jej pokoju na futonie, który jedna z pielęgniarek rozłożyła na podłodze. Chociaż bywałam już w szpitalach, nigdy wcześniej nie zostawałam na noc. Kiedy światła pogasły, miejsce to przeobraziło się z gwarnej kliniki w tajemniczą kryjówkę wypełnioną dziwnymi sprzętami. Byłam wystraszona i zafascynowana.

Razem z Shinobu podchodzimy do odgrodzonego szkłem kontuaru, za którym przekłada papiery pielęgniarka w białym czepku. Mówi, nie podnosząc wzroku, a jej oficjalna japońszczyzna wydobywająca się z zamocowanego w szybie głośniczka brzmi jak nagranie.

– Proszę wypełnić te formularze w trzech egzemplarzach, podając charakter państwa choroby. – Przepycha przez szparę pod szybą plik kartek.

– Przyszliśmy odwiedzić pacjentkę.

Podnosi wzrok, dostrzega nasze *hakui*, a kiedy to do niej dociera, aż dostaje czkawki.

– Wiem, z kim chcecie się zobaczyć.

Naciska guzik i mówi coś do interkomu.

Tuż obok automatu z kwiatami otwierają się wahadłowe drzwi.

– Tędy, proszę – woła stojąca w nich pielęgniarka.

Jest dobre kilka centymetrów wyższa od Shinobu. Na plakietce obok imienia – KANAKO – ma naklejkę z żabką.

Choć w izbie przyjęć nie widać żadnych nagłych przypadków, Kanako i inne pielęgniarki, wszystkie młode, z trudem łapią oddech, a na policzki wystąpiły im

rumieńce. Zerkam do wnętrza mijanych sal. Nikt nie sprawia wrażenia szczególnie chorego. Japonia różni się od Stanów Zjednoczonych tym, że wszyscy korzystają tu z państwowego ubezpieczenia zdrowotnego i zupełnie normalne jest odwiedzanie miejscowego *byouin* z każdą sprawą, od zwykłego przeziębienia po poważną operację, czy choćby po to, by wypróbować jedno z nowych urządzeń. Japońskie szpitale, tak ostatnio czytałam, wykonują najwięcej rezonansów magnetycznych na świecie. „Obywateli Japonii – napisano – ogromnie cieszy możliwość przebadania ich przez maszynę”.

Korytarz się poszerza i przesycający powietrze zapach staje się lżejszy, przywołując skojarzenia z talkiem. Znam tę obiecującą woń.

– Co się stało? – pyta Shinobu. – Czy to coś poważnego?

Mijamy długie okna pozwalające zajrzeć do pokoju pielęgniarek. Kanako nie odpowiada na to pytanie bezpośrednio, zasłaniając się żartem.

– Jest na oddziale położniczym, ale proszę się nie obawiać: nie jest w ciąży. Po prostu mamy tu lekkie przepełnienie.

W jej wymowie słychać uroczy miejscowy, nosowy akcent.

Po drugiej stronie szyby leżą cztery różowe, pogrążone we śnie noworodki. Jedno z dzieci budzi się z drgnięciem, rozrzuca rączki i nóżki, łątka czarnych włosków przyłgnęła mu do skóry głowy jak listek do pomidora. Lily urodziła się łysa jak kolano i taka pozostała, dopóki nie nauczyła się pełzać – po czym jej włosy zaczęły niepoohamowanie rosnać. Ruch aktywizował jej cebulki włosowe, które zdawały się mówić: „Skoro jesteśmy w drodze, powinniśmy wyglądać dobrze”. Zanim skończyła dwa lata, włosy sięgały jej już do pasa. Rzadko pozwalała mi ich dotknąć, a obcinanie w ogóle nie wchodziło w grę. Zobaczywszy kiedyś, jak skaleczyłam się przy usuwaniu skórek, zaczęła unikać wszelkich nożyczek, więc któregoś dnia specjalnie obciąłam sobie nimi pasmo włosów, żeby jej pokazać, że to nie boli. Płakała przez dwadzieścia minut. Uciekłam się do przycinania jej włosów we śnie, za każdym razem tylko odrobinę, by nie dostrzegła, że cokolwiek się zmieniło. „To jak gotowanie homara żywcem – powiedział Sal – tyle że nie aż tak okrutne”.

Wchodzimy za Kanako do pierwszego pokoju za noworodkami.

– To było jedyne wolne łóżko – mówi. – Krąży tu wirus grypy. Zdarza się po tajfunach.

W pokoju ledwie się mieści pojedyncze łóżko i metalowy stolik, na którym leży stosik czystych złożonych ściereczek. Promienie słońca wpadają przez narożne okno i odbijają się od wyłożonej terakotą podłogi. Mrużę oczy, by wyraźniej zobaczyć Danny.

Nogę obandażowaną w kostce ma uniesioną, twarz bladą, włosy odgarnięte do tyłu i przypięte fioletowymi i żółtymi spinkami. Rozpoznaję ten blask w oczach – musi dostawać jakiś rodzaj opiatów. Jej wzrok pada na nas i Danny mówi:

– A więc postanowili się pojawić! Może zatrzymali się po drodze przy gorących źródłach, zjedli gorącą kolację...

Kanako kładzie dłoń na czole Danny.

– Leki – szepcze. – Rozwiązują im język.

– To nie leki – mówię.

Kanako uśmiecha się szeroko, odsłaniając duże, wystające zęby.

– Co się stało? – pyta Shinobu.

Kanako patrzy na Danny i widać przez moment, że się waha.

– Dość paskudnie skręciła sobie nogę. Do tego stan zapalny. Nie potrafimy zbić jej gorączki.

– Lamblioza – mówi Danny po angielsku. – Zapalenie okrężnicy. Błoto było po kolana. Natychmiast wciągnęło mi but. A potem zahaczyłam palcem o korzeń i musiałam się czołgać do drogi. Jakaś przemiła para zabrała mnie i przywiozła tutaj. Od stóp do głów w błocie! Zniszczyłam im tapicerkę. – A po japońsku dodaje: – Gnojki, powiedzieli, że wyglądałam jak demon.

Kanako poprawia poduszkę wokół bladej twarzy Danny.

– No cóż, za to dziś wyglądasz naprawdę ładnie.

– A wiecie, co znaleźli, kiedy zdjęli ze mnie ubrania, po całym tym tarzaniu się w błocie? Pijawki. Wszędzie pijawki! – Danny unosi kciuk i palec wskazujący, by zobrazować ich wielkość. – Żarłoki.

Nawet jeśli Kanako nie rozumie angielskiego, widzi, o czym Danny mówi.

– Bardzo dzielna *henro* – mówi do niej po japońsku, po czym zwraca się do mnie i do Shinobu: – Ma zapalenie płuc. Jest pod czujną obserwacją.

Shinobu gwałtownie chwyta powietrze.

– To coś rzeczywiście poważnego.

Po twarzy Kanako widzę, że jest coś jeszcze. Coś gorszego. Pokój wydaje się nagle upiornie mały, jakby w ścianach były ręce, które mogą się wyciągnąć i mnie zadusić. Od samego przebywania w pobliżu Danny sztywnieją mi ramiona i kark.

Na szczęście Kanako przerywa tę niezręczną ciszę.

– Widzę, że wy również jesteście pielgrzymami. Zawsze chciałam sama przejść tę trasę. Ale ciągle pracuję.

– Nauczanie ma przynajmniej tę jedną zaletę – mówi Danny. – Dzięki niebiosom za letnie wakacje.

– Nauczyciele zasługują na czas wolny – mówi Kanako. – A czym państwo się zajmujecie? – pyta, patrząc uprzejmie na mnie i na Shinobu, choć jej spojrzenie zatrzymuje się dłużej na nim.

– On będzie wkrótce prawnikiem.

– Prawnikiem!

– Nie, nie, nie zdałem egzaminu. – Shinobu unosi ręce, jakby chciał powstrzymać jej entuzjazm. – Jeszcze.

Kanako składa dłonie jak do modlitwy i kieruje palce w jego stronę.

– Zdasz. Wiem to, patrząc na ciebie.

– *Hara no mushi?* – pytam, unosząc brwi na Shinobu.

Kanako klepie się po brzuchu i kiwa głową.

– Właśnie.

Shinobu jest zażenowany – i mile połączony. Dziękuje jej wylewnie, a ja mimowolnie słyszę w głowie dosłowne tłumaczenie jego słów: „Twoje glisty darzą mnie niezasłużonym szacunkiem”.

Kanako zerka na Danny.

– Czy mogę porozmawiać z wami obojgiem? – zwraca się do nas.

Wychodzimy na korytarz i moje ramiona się rozluźniają.

– Letnie wakacje, letnia miłośność, le-le-letni czas! – wyśpiewuje Danny po angielsku w pustym pokoju za nami.

– Wasza przyjaciółka... Cóż, szczęście, że doszła do siebie, zanim się pojawiliście. Od wczoraj była nieprzytomna. Daliśmy jej morfinę pół godziny temu, kiedy po przebudzeniu skarżyła się na ból, więc jeszcze przez godzinę będzie w stanie manii.

– Nieprzytomna? Z gorączki? – pyta Shinobu.

– Gorączka to tylko objaw. Są guzy. Głównym winowajcą jest ten otaczający jelito cienkie. Ale jest ich kilka: w wątrobie i innych narządach jamy brzusznej.

– Ona o tym wie? – pytamy jednocześnie.

– Myślałam, że wy mi powiecie. Doktor Yamaga nie podzielił się swoimi odkryciami z Danią. Prawdopodobnie miewała bóle, ale jeśli nie zrobiła prześwietlenia, mogła nie rozumieć, co jest ich powodem.

Ona wie. Oczywiście, że wie. Nawet to powiedziała: prędeż umrę, niż przejdę kolejną chemię. Po to jej te tabletki. Powinnam była się zorientować, co się dzieje.

Zamykam oczy.

– Jestem pielęgniarką. Jak mogłam się nie domyślić?

Shinobu kategorię macha rękami, jakby wymazywał moje słowa.

– *Shō ga nai, shō ga nai* – mówi. Najbardziej japońskie ze wszystkich powiedzonek. Oznacza: „Nic się nie da na to poradzić”. – Nie patrz na to w ten sposób – ciągnie po japońsku. – Nie przyjechałaś tu służbowo. Byłaś skupiona na sprawach osobistych. Nic nie mogłaś poradzić. A poza tym Danny życzyła sobie przeżyć te dni właśnie w ten sposób. Powinniśmy czuć się zaszczytzeni, że zdecydowała się dzielić z nami doświadczenie tej pielgrzymki.

Jestem wzruszona tymi słowami i zaskoczona elokwencją i elegancją jego mowy. Jego miejscowy akcent jest ledwie zauważalny. Shinobu mówi jak prezydent telewizyjny z Tokio. Poza czasem, jaki zajęło mu przeczytanie listu od mojego ojca, znałam go tylko po angielsku. Ale po japońsku jest, cóż... biegły.

– Ile jej zostało? – pytam Kanako.

– Możemy ją wysłać gdzieś na leczenie, ale... – Jej głos staje się cichszy. – Zapalenie płuc to utrudnia. A lekarz mówi, że to kwestia miesięcy, zanim guzy kompletnie ją unieruchomią. W takim przypadku pozostaje nam tylko terapia bólu.

Shinobu mówi, że idzie na spacer. Ton jego głosu sugeruje, że zdenerwowały go wieści o Danny i musi je przetrwać, ale widzę, że zanim skręci za róg korytarza, wyciąga telefon. Wracam do pokoju Danny, nerwowa i zawstydzona. W Japonii ciągle zapominam o tym, kim jestem. Jakbym była rozdarta między dwoma światami – jakby zamazywały się granice. Wpuściłam do środka swoje stare ja, mroczne ja napędzane czarnym organem. Wpuściłam do środka Chizuru, a ona przeobraziła mnie w Rio Silvestri: pielęgniarkę, która spoliczkowała kobietę umierającą na raka.

– Ładna dziewczyna. Energiczna – mówi Danny, gdy wchodzę. – A te zęby: urocze. Och, uchyl trochę okno, dobrze? Trzymają człowieka w zamknięciu jak kalekę. Duszę się tu.

Zasuwki okna są gorące. Przesuwam szybę w prowadnicach. Kiedy to robię, odpadają z niej białe drobinki – sól z powietrza napływającego z morza.

– Powinnaś była mi powiedzieć.

– Nie zrozumiałabyś. On i ja...

– Nie o moim ojcu. Ty umierasz.

– Och. O tym. – Patrzy na mnie z uporem.

– Jeśli nie chciałaś brać chemii, w porządku. Ale po co zmuszać się do tej pielgrzymki? Po co brać ze sobą Shinobu i mnie?

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale słabo wychodzi mi odmawianie. Umieranie też. Nie ma, do cholery, żadnych pięciu etapów, kiedy to ty się stąd zabierasz. Jestem na etapie pierdolę-to-wszystko, i to się nie zmieni. Nie chciałam się z tobą widzieć. Nie chciałam wracać myślami do tamtych dni. Ale proszę: przyjechałaś. Pomogłam ci ze względu na Hiro. Bo na koniec poprosił mnie, żebym się upewniła, czy wszystko u ciebie w porządku. Obiecałam. To było ostatnie, co do mnie powiedział. Nie „dziękuję” ani nawet „zależało mi na tobie, odrobinę, kiedyś”. – Uderza ręką w łóżko. – Boże jedyny, jesteś do niego taka podobna.

Przesuwam dwoma palcami po wargach. Był taki czas, kiedy te słowa – że jestem podobna do ojca – wprawiłyby mnie w ekstazę. Jako dziecko często słyszałam, jak bardzo przypominam matkę. Dla mnie oznaczało to tyle, że wyglądam jak ktoś, kto nie pasuje. Ale mam ciemne włosy, jak tata, zauważałam. No i mama ma niebieskie oczy, a moje są brązowe. I wcale nie mam takiej różowej skóry. Strasznie się złościłam. Jakby mówiąc, że nie jestem podobna do ojca, twierdzili, że nie zasługuję na uwagę, którą go obdarzano. Nie odziedziczyłam wystarczająco wielu cech jego wyglądu – identyczne mieliśmy tylko usta o wąskich wargach i błonkę łączącą pierwszy i drugi palec na obu stopach – a już

na pewno nie odziedziczyłam jego geniuszu. Nauczyłam się, że jeśli idzie o rodzinne podobieństwo, pewne cechy liczą się bardziej niż inne.

Ale to nie miało znaczenia. Danny widziała go we mnie, bo za nim tęskniła. Wolałabym, żeby nie tęskniła. Wolałabym, żeby zachowywała się jak dorosła i trzymała z dala od mojego ojca.

Zmuszam się, by powiedzieć:

– Przykro mi z powodu tego, co zrobiłam w kurniku.

– Co zrobiłaś? ^[P]_[SEP]– Ja... – Trudno to wymówić. – Uderzyłam cię – szepczę.

– I bolało. Czy tego właśnie chciałaś? Sprawić mi ból?

Myślę o mamie w jej szpitalnym łóżku, o ramieniu zabandażowanym od nadgarstka po łokieć i o tym, jak z kryjówki w szafie obserwowałam opatrującego ranę lekarza. Cięcie było długie i głębokie. Dawało się dostrzec śliski biały tłuszcz pod skórą. Chciałam do niej podejść, dotknąć, objąć. Ale pojawił się też inny pomysł, który daremnie próbowałam od siebie odsunąć: mogłabym ją rozedrzeć. Mogłabym poczekać, aż zaśnie, zdjęć opatrunek i rozciągnąć ciało na jej ramieniu jak wypatroszoną rybę, kawałek tłustego *toro*. W wyobraźni ujmowałam w palce skórę po obu stronach rany i pociągałam, jakbym nizała na dłoniach *ayatori*: figury ze sznurka. Wewnątrz mojej matki nie byłoby krwi ani trzewi. Wewnątrz mojej matki, o czym świat mógłby się przekonać na własne oczy, nie byłoby zupełnie nic.

– Może. Tak. To było trudne, dowiedzieć się prawdy tak za jednym zamachem. Być w ten sposób okłamywanym, przez tak długi czas. Byłaś gotowa zabrać to ze sobą do grobu.

Danny unosi dłonie. Uwielbia nimi gestykulować podczas mówienia, ale jej kroplówce to nie służy. Poprawiam ją mechanicznie, kiedy zaczyna mówić.

– To dobrze, że się dowiedziałaś – zaczyna, a ja przyciągam stojak bliżej jej brzucha. – Bo mnie już to wszystko nie obchodzi. Wiesz, czego teraz chcę? Teraz chcę już tylko tego, żeby nie umrzeć w szpitalu. Chcę być pod gołym niebem. Tak to sobie wyobraziłam i tak to się odbędzie. – Wymownie podnosi wzrok na kroplówkę. – Jeśli przy życiu trzyma mnie tylko igła wbita w żyłę, to czas się elegancko stąd zabrać.

– Żałuję, że pokazałam Shinobu ten list.

Ciągnie dalej, jakbym się nie odezwała.

– Mam wystarczająco dużo tabletek. Zabierz mnie w jakieś ładne miejsce. Jak już będzie po wszystkim, zadzwoń do mojego szefa na uczelni, nazywa się Nakagawa. Ma adres e-mailowy do mojego brata. Skremuj mnie, a prochy rozrzuć tutaj, na wyspie, na której się urodził. Przy Kirihata-ji. Jestem dziewczyną, która służyła. Która z własnej woli oddała swoją tkaninę.

Mówi absolutnie poważnie. Znam ten wyraz twarzy.

– Nie przemycę cię stąd na zewnątrz – odpowiadam.

Mama nienawidziła czasu, który musiała spędzić w szpitalu. Nie podobało

jej się, że zmusili ją do tego, by została na drugi dzień. „Przecież nie wyrwę sobie celowo tych szwów” – biadoliła. Narzekała na jedzenie, na nieczułe pielęgniarki, na panujące w pokojach zimno. Tego ranka, kiedy jej powiedzieli, że muszą ją zatrzymać na obserwację, zaczęła krzyczeć. Cały ten incydent zakończył się rozbryzganiem na ścianie seledynowej galaretki o smaku melonowym. Usiadłam na krześle obok jej łóżka, zastanawiając się, kiedy dostanę swoją mamę z powrotem. Na tym szpitalnym łóżku wyglądała i zachowywała się jak dziecko.

– Wypiszę się sama – ciągnie Danny. – Nie mogą mnie tu trzymać. Pozostało mi tylko powiedzieć ci to, co muszę ci powiedzieć. Potem będę gotowa.

Czuję się tak, jakby krew zakrzepła mi w żyłach.

– Co mi musisz powiedzieć?

– A potem pomożesz mi to zrobić. Dopilnujesz, żeby zadziało. Mam jedną szansę. Jak ją spalę, to jakaś usługna dusza w rodzaju Kanako zamknie mnie tu na dobre.

– Co musisz mi powiedzieć? – powtarzam.

– Całą historię. Nie chcesz poznać całej historii?

Moja krew znów zaczyna płynąć – niepewnie, z trudem. Chce wiedzieć.

– Dobrze – mówi Danny. – Zawrzemy układ. Ty dostaniesz swoje zamknięcie, ja dostanę swoje. Dosłownie. Ha.

Nienawidzę tego słowa: „zamknięcie”. Jakby nasze problemy były woreczkami zaopatrzonymi w sznurki, które możemy zaciągnąć i zapomnieć. Widziałam rodziny będące świadkami długiego, powolnego odchodzenia bliskich. Kiedy śmierć w końcu przybywa, rzadko towarzyszy jej uczucie satysfakcji. Ulga, może. Ale zamknięcie sugeruje zerojedynekowość: jeśli coś nie jest zamknięte, jest otwarte. Nasze uczucia tak nie działają.

– Zamknięcie to kit.

– Ale zastanów się nad tym. Kto wie, może po wszystkim, co się wydarzyło między nami, sprawi ci to przyjemność. – Danny uśmiecha się z trudem.

Powszechnie wiadomo, że w naszym szpitalu lekarze pomagają pacjentom proszącym o „łagodne wyjście”. Byłam tego świadkiem, ale nigdy w tym nie uczestniczyłam. Jeśli to zrobię, to co ze mnie za pielęgniarka? Co ze mnie za człowiek? A jeśli tego nie zrobię?

A jeśli tego *chcę*?

Powietrze jest nieruchome. Poniżej, na parkingu, silnik jakiegoś samochodu terkocze i gaśnie, znów terkocze i znów gaśnie. Pomiędzy tymi dźwiękami do moich uszu dobiega szum fal, choć nie mogę stąd dostrzec wody.

Znajduję Shinobu siedzącego na ocienionej ławce przed szpitalem. Poci się. Wyluzowana postawa, rozmiar, niedopasowana koszulka – wszystko w nim wydaje się zupełnie nie na miejscu. Bardzo chcę, żeby był szczęśliwy.

Mówię mu, o co poprosiła mnie Danny.

– To jest złe – odpowiada natychmiast.

– Jest?

Krzywi się.

– Według prawa to jest złe.

– A co ty o tym sądzisz?

Wychyla się do przodu i przeczesuje dłońmi nastroszone włosy.

– Nie wiem. Na jej miejscu być może pomyślałbym o tym samym. To trudne.

Siedzimy w milczeniu. Podjeżdża karetka na zgaszonych światłach. Z przodu wysiadają dwaj umundurowani mężczyźni i mały beżowy pies. Mężczyźni się śmieją. Pies obiega ich dookoła, a ogon wibruje mu radosną energią.

– Zrobię to – mówię.

Pies podbiega do Shinobu i liże mu rękę. Chłopak wzdryga się okropnie i mocno zaciska powieki.

– Nie lubię psów – mówi cicho.

Odganiem stworzenie.

– Co o tym myślisz? O tym, żebym to zrobiła?

– Czy ona ma jakąś rodzinę? Przyjaciół?

– Tylko brata, z którym nie utrzymuje kontaktów, w Nowej Zelandii. Nie wspominała o nikim innym. Może swojego szefa? Zielarza? Mojego nieżyjącego ojca.

– Ja już nie wiem, co jest słuszne. Mam ochotę się poddać.

– Słuchaj. To się często zdarza...

Shinobu wsuwa podręcznik pod ramię.

– *Sono koto o kikitakunai* – mówi. „Nie chcę słuchać takich rzeczy”. Władczy ton jego głosu budzi lęk. Shinobu chłodno przechodzi z powrotem na angielski. – Mój pociąg odjeżdża za godzinę. Kiedy stąd wyjedziesz, musisz przyjechać do mojego rodzinnego domu w Tokushimie. Z powodu święta *O-bon* nie znajdziesz miejsca w żadnym hotelu.

Przeciąga dłońmi po twarzy, a potem zapisuje na kartce swój numer, nazwę stacji kolejowej i adres. Chcę go przekonać, przeciągnąć na swoją stronę, zdobyć jego aprobatę, ale rozumiem, że ta rozmowa jest skończona.

Idziemy do pokoju Danny. Shinobu kładzie obie dłonie na jej policzkach, nachyla się i całuje ją w czoło.

– Dzięki tobie moje życie stało się lepsze – mówi. Kiedy się odsuwa, ma wilgotne oczy. – Zdaję egzamin we wtorek po południu. Potem *O-bon*. Ta uroczystość będzie moim świętem albo śmiercią. – Łapie się na słowie „śmierć”, urywa, po czym ciągnie: – Jeśli tym razem zawalę, nie podejmę kolejnej próby. Skończę w zakonie. – Przy słowie „zakon” wysuwa brodę do przodu.

W drzwiach kłania się tak nisko, że plecak zsuwa mu się na kark, utrudniając

wyprostowanie się.

– Do widzenia, Danny-san.

Po czym znika. Skrzywienie jego butów po podłodze jest coraz bardziej odległe, aż w końcu całkiem cichnie.

Przez długi czas jedynym dźwiękiem w tym rozgrzanym, nieruchomym powietrzu jest oddech Danny – szybkie wdechy, po których następują długie wydechy, jakby ktoś na zmianę przeżywał wstrząs i ulgę. Płacze. Albo próbuje. Nie ma łez, bo morfina wysusza usta, oczy i całą resztę. Na stoliku stoją krople. Wpuszczam jej do oczu roztwór soli fizjologicznej, a ona mruga, roniąc sztuczne łzy.

– Nie chciałam się w nim zakochać – szepcze. – Nie szukałam przygód. A już z pewnością nie byłam typem „tej drugiej”. Miałam dwadzieścia sześć lat i chciałam być nauczycielką w szkole podstawowej. Wszyscy mi mówili, że powinnam pojeździć po świecie, zanim gdzieś osiadę. O Japonii nie wiedziałam nic, ale znajoma zarobiła tam wystarczająco dużo, żeby spłacić kredyt studencki, więc się zdecydowałam.

Siadam na plastikowym krześle obok jej łóżka. Krzesło nierówno przechyla się do przodu.

– Przyszedł, żeby porozmawiać o twoich problemach w szkole. Była już twoja mama, ale spotkanie nie wypadło dobrze. Był wściekły i pełen życia. Zupełnie dziki. Nigdy nie spotkałam nikogo podobnego. Obiecałam, że się tobą zaopiekuję, i zrobiłam to. Zaprosił mnie na drinka. Powiedział, że podoba mu się mój akcent.

Pierwszy raz słyszę, żeby kiedykolwiek pojawił się w szkole z mojego powodu. Musiał to zataić przed mamą i przede mną.

– Pochlebiało mi to. Pomyślałam: czemu nie? To może być najbardziej ekscytująca rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przydarzy. A potem... to było jak zderzenie z ciężarówką. W całym swoim życiu miałam przed nim tylko jednego chłopaka. Byłam praktycznie dziewicą. To było... to był dosłownie raj... przez trzy tygodnie. Dwadzieścia dni. Ale zmęczył się mną. Nie byłam wyjątkowa. Byłam jedną z niekończącej się serii. Pstryczek został wyłączony i nie było sposobu, by włączyć go z powrotem. A jednak potrafiłam myśleć tylko o nim. Jakby ktoś zanurzył mnie w rozgrzanym wosku i całą mnie nim opieczętował; wyschłam, i koniec. Może z biegiem lat zdołałabym się z tym jakoś pogodzić, gdybym odmówiła dalszych spotkań z nim po tej pierwszej nocy. Ale skąd mogłam wiedzieć? Dyrektor szkoły (jak on się nazywał, ten facet z zabawnymi oczami?) dowiedział się o wszystkim. Nigdy nie powiedział tego wprost, ale zdawałam sobie sprawę, że wie. Wezwał mnie do siebie i oznajmił, że to ważne, żebym jako nauczycielka obcego pochodzenia była dla uczniów wzorem dojrzałego zachowania. I że powinnam się pilnować, by nie faworyzować niektórych uczniów.

Zakołysałam się na krześle.

– Mnie.

– Więc się wycofałam. Nie chciałam zniszczyć tego, co dostawałam od Hiro. Byłam bezsilna, opętana. Brzmi to romantycznie i tak to właśnie odczuwałam, ale z perspektywy czasu widzę, że to był bardzo mroczny związek. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu cierpiałam, ale ten jeden procent wszystko mi wynagradzał. Kiedy ugodziłaś Tomoyę Yu, on się zmienił. Pojechał do Europy i nawet mi nie powiedział, że wyjeżdża. Trzymał się z dala przez wiele miesięcy. Czułam się tak, jakby moje serce pękło niczym jajko i wysliznęło się z mojej piersi. Poleciałam z powrotem do Auckland i próbowałam zacząć od nowa, ale wszystko na nic. Wpadłam w depresję. Zgłosiłam się na ochotnika, żeby uczyć w Ghanie, chciałam tam jakoś oczyścić umysł, ale nie potrafiłam. Pisałam list za listem i któregoś dnia dostałam odpowiedź. Miał udar i na jakiś czas przestał występować. Potrzebował pomocy i poprosił o nią właśnie mnie. Przyleciałam do Japonii i zaczęłam mu pomagać, robić zakupy, sprzątać – grałam rolę żony. Wmawiałam sobie, że moja wiara się opłaciła, że zawsze wiedziałam, że znów go zobaczę. Powtarzałam sobie, by niczego nie oczekiwać, że miłość nie jest samolubna, ale... on już nie był zainteresowany mną jako kobietą. Byłam zdruzgotana.

– A kim się wtedy interesował?

– Nie wiem, czy po tym udarze był ktoś szczególny. Chodził na rozmaite przyjęcia... jakieś imprezy z modelkami, orgie, nie wiem... z których wracał, pachnąc dziesięcioma różnymi osobami. W jakimś tabloidzie pojawiła się informacja, że gustuje w mężczyznach. Ja mam teorię, że gustował we wszystkich – i w nikim. Seks i przywiązanie nie odgrywały dla niego takiej roli, jaką odgrywają dla innych.

A więc to właśnie się działo, kiedy ja przebywałam w Kawano, dorastając bez rodziny? To jest przyczyna całej tej rozpaczki i gubienia się w domysłach?

– Dlatego nigdy mnie nie odwiedziłaś.

– Kiedy wróciłam, było jasne, że nie należy o tobie wspominać. Jakby wymazał z pamięci ciebie i twoją mamę, i oczekiwał ode mnie, że zrobię to samo. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak zgorzkniał po tym pierwszym udarze. Nawet po powrocie do zdrowia narzekał, że wszystko odczuwa inaczej. Zabijało go to, że już nie jest najlepszy. Nadal koncertował w najświetniejszych miejscach, ale powiedział, że to tylko kwestia czasu, by komuś młodszemu zaproponowano tę czy inną partię solową, występy w Wiedniu czy Nowym Jorku. Powiedziałam mu, że i tak do tego dojdzie, każdy się starzeje, ale wiesz, jaki był. Poszukałam cię online na CU-Boulder, wiedział z sądu, że tam pojechałaś, i znalazłam w gazecie zdjęcie twojej uczelnianej grupy biegaczy i kilka osiągniętych czasów. W tamtym rejonie niewiele osób nosi nazwisko Akitani.

Wstaję i podchodzę do okna. Grupka trzech pielęgniarek w niebieskich jak

niezapominajki uniformach wsiada do starego hatchbacka. Wszystkie się uśmiechają.

– Na całym kampusie była tylko jeszcze jedna osoba z Japonii.

– Uzmysłowiłam sobie, że zmieniłaś imię. Było też ogłoszenie o twoim ślubie. Silvestri. Łatwo cię było znaleźć. Jakaś strona internetowa sprzedała mi twój adres za kilka dolarów. Oczywiście nie ośmieliłam się mu o tym powiedzieć. Kusiło mnie, żeby się z tobą skontaktować. Sprawdziłam nawet ceny biletów do Kolorado w biurze podróży, ale za każdym razem oblatywał mnie strach i mówiłam sobie, że to jednak głupi pomysł. Po drugim udarze, poważniejszym, Hiro złagodniał. Trzymał mnie za rękę, przed czym zawsze się wzbraniał. Poprosił mnie, żebym cię odszukała, a ja pokazałam mu, co znalazłam na twój temat w sieci. Nigdy słowem tego nie skomentował, tylko patrzył i patrzył. Oglądał te zdjęcia codziennie, kiedy wychodziłam po zakupy. Sprawdzałam jego historię wyszukiwania.

Czuję otępienie. Wszystko, co mówi Danny, ma na jakimś poziomie sens, ale nie potrafię tego połączyć z tym, co uważałam za historię swojego życia.

– Warto było?

– Nie. Powinam była odejść. Mogłam mieć życie.

– To mój trzeci tydzień – mówi Kanako. – Jeśli nie liczyć kilku nagłych przypadków, ona będzie moją pierwszą pacjentką, która... odejdzie.

Kanako ma tak szczerą twarz, że mam wrażenie, iż potrafiłaby wszystko zrozumieć. Jest w niej czułość, ale pod spodem kryje się twardość. Wyjawiam jej życzenie Danny i Kanako rozdziawia usta.

– Nigdy nie zrobiłabyś czegoś takiego. To nieetyczne.

– Niektórzy uważają, że nieetyczne jest zmuszanie człowieka do życia.

Przyciska do piersi wykres temperatury pacjenta.

– Nie taka jest nasza rola. Jesteśmy pielęgniarkami.

Zostawiam ją i wychodzę na zewnątrz. Idę przez parking na plażę, gdzie drobne fale rozplývają się wśród betonowych bloków umacniających linię brzegową. Jestem rozczarowana Kanako. Jeszcze nie rozumie, jak skomplikowany jest jej zawód. Przed blokami rozciąga się plaża odsłaniana podczas odpływu. Zeskakuję na piasek i mijam mewę leżącą na podściółce ze szmaragdowych wodorostów. Jedno otwarte oko świdruje mnie pomarańczową tęczęwką.

Piasek jest mokry, ale i tak siadam. Zimna wilgoć przesiąka przez spodenki, co wydaje się słuszne: moje życie jest niewygodne i nieprzyjemne.

Sięgam po telefon dokładnie w chwili, w której zaczyna dzwonić. Sal.

– Tęsknię za tobą. Od wieków nie miałam tu zasięgu.

– Hej. Tajfun narobił takich szkód? Na kanale pogodowym mówili, że zelżał jeszcze przed uderzeniem w ląd.

To miała być burza w łagodnej postaci?

– Utknęliśmy na dwa dni w jakimś kurniku. – Odsuwam od siebie myśl o tym, co się w nim wydarzyło, i opowiadam mu o Danny. – Ma nowotwór czwartego stopnia, a ja nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Przypuszczam, że miałaś głowę zajęętą innymi rzeczami. – Jego głos brzmi dziwnie. Emocjonalnie.

– Ona nie ma żadnych opcji. Zamierzała odbyć tę pielgrzymkę samotnie, jadąc na środkach przeciwbólowych, żeby w ogóle dać radę, a kiedy nie będzie już mogła iść dalej, przedawkować. Teraz, kiedy ugrzęzła w szpitalu, chce, żebym jej pomogła.

– I zamierzasz?

– Inaczej czekają ją miesiące cierpienia.

Sal przez chwilę nic nie mówi.

– Taka była Nonna Emilia. Jesteśmy prawie pewni, że w tę śpiączkę na końcu zapadła siłą woli.

Co za ulga, słyszeć w jego głosie współczucie, a nie osąd.

– Jestem taka zmęczona. Chcę być już z wami. Chcę oglądać powtórki *The Office*, robić popcorn na kuchence, puszczać z Lily latawce na Frenchman's Hill i spać w prawdziwym łóżku. – A ponieważ tak bardzo pragnę jego ciepła, dodaję: – I popracować nad zrobieniem Silvestriego numer cztery.

Zbywa mnie śmiechem.

– Hej, może to nie najlepszy moment, żeby o to pytać, ale... Zaciekawiał mnie twój tata, więc go wygooglowałem. – Głos ma opanowany, cichy, zbyt równy, jak lekarz przekazujący złą wiadomość. – Nie powiedziałaś mi, że był sławny. No wiesz, naprawdę sławny.

Gapię się na martwego ptaka. Nie potrafię odwrócić od niego wzroku.

– Jak był młodszy, był... dobrze znany. Miał państwowy pogrzeb. – Słyszę stukanie klawiszy; siedzi przy komputerze. – Był japońskim Skarbem Narodowym?

Skrzydła mewy są białe, śliskie niczym skrzydła gołębia. Skąd się tu wzięła? Jak długo leciała, zanim opadła z sił?

– I jest coś jeszcze. – Jego milczenie jest dołem bez dna. Spadam i spadam, czekając na to, co nadejdzie. – Miałaś siostrę? Kogoś o imieniu... Chizuru?

Krażę między oknem a drzwiami: cztery kroki w tę, cztery kroki z powrotem.

– Przeczytał online jakieś artykuły o moim ojcu. Nie to żeby trudno je było znaleźć. Shinobu zrobił właściwie to samo. Wiedziałaś, że mam fanklub? Nienawidzę internetu. Kiedy zapytał o Chizuru, spanikowałam. Rozłączyłam się i wyłączyłam telefon. Boję się go z powrotem włączyć.

Danny mówi wolno:

– Dlaczego mu po prostu nie powiesz?

Tęsknię za Lily. Za naszym domem. Za suchym powietrzem. Chcę wszystko cofnąć, przewinąć taśmę do dnia, w którym przyszła paczka, i cisnąć ją bez otwierania na dno kontenera na śmieci razem z moimi pigułkami.

– Mogę coś wymyślić. Mogę mu powiedzieć, że miałam siostrę, ale byłam zbyt zażenowana, by o niej wspominać.

– Wszechświat podsuwa ci sposobność powiedzenia prawdy.

Nogi się pode mną uginają, ale nie chcę usiąść.

– A jeśli on nie potrafi jej przyjąć? Kto chciałby morderczynię za żonę?

– Byłaś dzieckiem.

– A jeśli odejdzie? Zabierze Lily?

– Scenariusz pesymistyczny.

– Ona jest moją córką. – Oczami duszy widzę Sala przed komputerem, czytającego przy biurku zasłanym stertami makiet puzzli albo wyliczeniami naszego tegorocznego zużycia paliwa relacje online z tego, co podobno zrobiła Chizuru. – Nigdy się z tym nie pogodzi.

– Takie rzeczy powoli człowieka zżerają. Wiesz, że tak jest – szepcze Danny. – Dlatego tu przyjechałaś.

Jej kości policzkowe uwypukliły się niczym pączkujące skrzydełka. Siadam na skraju jej łóżka i płaczę. Moje życie się rozpada. To niesprawiedliwe, przecież tyle pracy włożyłam w to, żeby je stworzyć.

Danny odkasłuje płytko dwa razy i krzywi się.

– Jestem gotowa.

– Co?

– Przebaczyłaś mi?

Kolejne gówniane słowo. Dlaczego ludzie mają taką obsesję na punkcie przebaczenia? Zamknięcie i przebaczenie, przebaczenie i zamknięcie. Może to właściwe dla Zachodu? Od przyjazdu do Stanów słyszałam te słowa w gabinetach terapeutów, w telewizji i w piosenkach. Jeśli cię skrzywdzono, a nie przebaczyłeś, szkodzisz sam sobie. Mądrość głosi, że przebaczenie jest wyborem. Nie jest łatwe, wymaga pracy, a ten kraj wierzy w ciężką pracę. Nieprzebaczenie oznacza zatem,

że jesteś leniwy.

Jestem fanką nieprzebaczenia. Dla części z nas decyzja o tym, by nie przebaczać, jest znakomitym wyjściem. Nieprzebaczenie jest samo w sobie siłą. Stawiać opór tym, którzy zmuszają nas do przebaczenia – oto co znaczy być silnym.

– Mówisz mi, że miałaś romans z moim ojcem, spędziłaś życie trawiona obsesją na jego punkcie, opuściłaś mnie dla niego. Chciałaś zachować to na zawsze w tajemnicy. Moja mama wciąż mogłaby tutaj być...

Zastanawiam się, jak mogłoby wyglądać moje obecne życie, gdyby mama była w nim obecna. Miałyby sześćdziesiąt pięć lat. Może mieszkałaby gdzieś w pobliżu; mogę ją sobie wyobrazić w Boulder albo Fort Collins, albo nawet w artystowskiej dzielnicy Colorado Springs. Na pewno zachowałaby długie włosy, które spływałyby jej po plecach jak wspaniałe płaszczy – białe i opalizujące. Zachęcałaby Lily do podważania autorytetu – zwłaszcza rodziców – co budziłoby zachwyty mojej córki i moją frustrację. Choć przecież wiem, tak teoretycznie, że śmierć mamy doprowadziła mnie do Sala, a tym samym do Lily, na chwilę dopuszczam do siebie złudzenie, że mogłabym mieć wszystko. Zatrzymać swoją rodzinę i usunąć z pola widzenia Danny. Danny zdrajczynię, która patrzy na mnie zmęczonymi oczami. Oczami, które wyglądają na zbyt zmęczone, by dłużej utrzymać smutek.

Jestem hipokrytką. Całe moje życie opiera się na tym, że mi przebaczone i dano drugą szansę.

Na początku naszego małżeństwa zrobiłam skok w bok. Przelotny romans, dwa popołudnia na tylnym siedzeniu i absurdalnie drogi lankijski lunch. Wszystko wydarzyło się niedługo po urodzeniu Lily. Wróciłam do pracy z macierzyńskiego i czułam się tak, jakby przywiązano mnie do rakiety – bez możliwości uwolnienia się. On był lekarzem na stażu, właściwie jeszcze szczawiem; lekko skośne zielone oczy i baczki. Nawet nie poszliśmy do łóżka. Przez tydzień było uroczo – coś nawet bardziej nierealnego niż macierzyństwo – a kiedy właściwie straciłam już zainteresowanie, Sal znalazł z mojej torebki liścik: **TĘSKNIĘ ZA TWOIMI ŻELKOWYMI USTAMI.**

Kiedy mu wszystko wyznałam, powiedział:

– Nawet nie prawdziwy lekarz?

– To ma być jakiś żart?

Popatrzył na mnie tylko, jakbym była kimś obcym.

– Wszystko mi się pomieszało – powiedziałam mu, karmiąc Lily. – Chciałam być niedorzeczna. Bycie matką jest niedorzeczne.

Przez dwa miesiące chodziliśmy na terapię małżeńską. Dobrze sobie na niej radziłam – mówiłam właściwe rzeczy. Na powrót zaangażowałam się w związek z Salem, na co on mi pozwolił. Pojawił się termin „depresja poporodowa”;

szczegółowo omówiono kwestię hormonów oraz fakt, że nie mogłam biegać jak zwykle, a przecież to właśnie bieganie sprawiało, że czułam się sobą. Cała ta sprawa była tak do mnie niepodobna – sama to przyznawałam – że Sal, skonsternowany, dał spokój. Nie rozmawialiśmy o tym latami, a kiedy okazjonalnie przypominano mi tamten incydent, czułam się tak, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu. Teraz jednak zastanawiam się, czy Sal wybaczył mi zawiedzione zaufanie równie łatwo i równie chętnie, jak sama to zrobiłam. Co pomyślałby o pigułkach ukrytych w pudełku tamponów? Po trzewiach rozplywa mi się chłodny żal.

– Kiedy martwa pani prosi o wybaczenie, powinnaś się na nie zdobyć. Tego wymaga uprzejmość. Gdybym mogła, zmieniłabym to, co się stało. Już jest za późno, lecz mój żal powinien mieć jakieś znaczenie.

– Ma – mówię. I naprawdę w to wierzę.

Kanako puka i wchodzi do pokoju.

– Jak się pani miewa?

– Zdecydowanie lepiej – odpowiada Danny z szelmowskim uśmiechem. – Jestem gotowa się wypisać.

Kanako zaczyna protestować, lecz Danny jej przerywa.

– Nie możesz mnie zatrzymać. Jestem gotowa odejść. – Patrzy na mnie. – Możemy?

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – mówi Kanako już po tym, jak się wypisałyśmy.

Danny wciąż jeszcze siedzi na szpitalnym wózku inwalidzkim.

– Czy możemy pożyczyć wózek? – pytam.

Kanako patrzy na mnie, a potem na Danny.

– Może to nie jest zawód dla mnie.

Całuje Danny w policzek i skłania się przede mną, po czym pospiesznie wchodzi z powrotem do środka przez wahadłowe drzwi.

Popycham wózek Danny, objeżdżając budynek od tyłu i kierując się na ścieżkę wiodącą na niewielkie wzgórze obsadzone młodymi drzewkami. Na polance stoi stół piknikowy. Jedna z pielęgniarek powiedziała nam, że lubi tu czasem zjeść lunch pod gołym niebem i że drzewa posadzono ku czci pacjentów, którzy odeszli.

Światło jest ciepłe. Oświeśla wszystko słodko i rozkosznie, jakby emitowane przez jakieś słońce, które nigdy nie pozwoliłoby sobie na to, by cię spalić. Światło jak miód. I widać ocean. Woda jaśnieje – tak turkusowa, że zdaje się podświetlona od dołu.

Podczas swojej wycieczki do Kalifornii Lily po raz pierwszy w życiu zobaczy ocean. Zastanawiam się, co teraz robi. Co pomyślałaby o tym, co ja robię? Nie jest już dzieckiem bezwarunkowo akceptującym wszystkie poczynania swojej

mamy. W zeszłym miesiącu zapytała mnie, dlaczego zamiast biegać, nie uprawiam jakiegoś „prawdziwego sportu”. Jedyłą osobą, która potrafi mnie pocieszyć, jest Sal. Nie do wiary, że jestem tu i robię to, zamiast być z nim w domu – zamiast wytłumaczyć mu siebie, wytłumaczyć Chizuru. Nie potrafię znieść tego, że nie wiem, co sobie myśli.

– Kto ustanowił regułę, że umierać należy z godnością? – pyta Danny. – To najmniej godna rzecz, jaką człowiek może zrobić. – Wyciąga rękę. W dłoni ma strzykawkę i trzy fiolki. Morfina. – Najpierw tabletki. Potem zastrzyki.

Jak podjąć decyzję, co jest dobre, a co złe, skoro jest tyle stanów pośrednich? Obowiązek niczego tu nie rozstrzyga – obowiązek ciągnie w obie strony. Nie przemawia do mnie żaden bóg. Jedyne, czym dysponuję, podobnie jak wszyscy pozostali, to moja własna moralność – unikalna i niedoskonała. Otwieram fiolkę.

Danny jest słaba i trudno jej połknąć tabletki. Muszę pomasować jej szyję, żeby przełknęła kilka ostatnich. Daję jej popić wody przez słomkę i w naczynie na ramieniu wkłuwam pierwszą igłę.

Pulsują cykady. Nawołuje jakiś ptak, odpowiada mu drugi. Danny zamyka oczy.

– Przygotowałam sobie jakieś cudowne ostatnie słowa, ale uciekły mi z pamięci. No cóż – wzdycha głęboko. – Czy kiedykolwiek opowiadał ci o wrózkach tańczących na jego piersi?

– Opowiadał.

Wkłuwam w drugie ramię zawartość drugiej fiolki. Tabletki potrzebują kilku minut, by dostać się do krwiobiegu, a kiedy to zrobią, morfina już tam będzie czekała. Danny mamrocze szereg niezrozumiałych słów po angielsku i po japońsku. Odczuwam dla niej i dla naszej wspólnej historii współczucie, które po chwili mija. Danny ma tłuste włosy. Przyglądanie się jej przypomina patrzenie na zsypane do urny prochy mojej mamy. Poza nami już coś działa, zajmując przestrzeń między przeżyciem a wspomnieniem.

Wiatr skwierczy w koronach drzew.

– Danny? – pytam. Dwie mogą wystarczyć. Gdybym podała za dużo, mogłaby dostać ataku.

Obserwuję ją przez... minuty? godziny? Cera jej poszarzała, pod zamkniętymi powiekami zawisły ciemne półksiężycy. Ujmuję jej dłoń – opuszki palców są chłodne. Krótkie kwadratowe paznokcie wyrastają z niebieskawych obłączków. Patrzę i czekam. Słońce jest już na tyle nisko, że skrywa nas cień. Cykady przerywają brzęczenie. Przyciskam dwa palce do jej nadgarstka. Odeszła.

W St. Mary's ludzie umierają codziennie. Umierają wszędzie. Nigdy nie budziło to mojego niepokoju. Gdy ktoś umiera w szpitalu, zawsze pojawia się ktoś inny, żywy, kto wymaga pomocy. Życie wlewa się i wypełnia lukę. Tutaj nie ma nic. Tylko drzewa będące drzewami, ptaki fruujące to tu, to tam, rosnące bujnie

rośliny. Kwiaty podskakujące na wietrze na cienkich łądyżkach, nieprzejmujące się naszą obecnością.

Pcham wózek z ciałem Danny z powrotem w stronę szpitala. Ciężar martwego człowieka różni się od ciężaru człowieka żywego. Ciało nie jest lżejsze ani cięższe, ale jakby mniej gęste.

– Zapadła w sen, kiedy wyszliśmy na spacer – mówię pielęgniarce w recepcji. – To było łagodne odejście.

Znajduję Kanako w dyżurce pielęgniarek z kilkoma innymi kobietami. Wyczytuje z mojej twarzy prawdę.

– Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłaś, Kanako – mówię. – Za wszystko, czego nie musiałaś... pranie Danny, prezenty. Przyjaźń.

– *Osettai*. – Odwraca się i zaczyna zastawiać wózek tacami z jedzeniem. Płacze.

– Tak było najlepiej – mówię.

Przeprasza pozostałe pielęgniarki.

– Moja matka nie żyje – mówi cichym głosem. – To się stało osiem miesięcy temu, rak jajnika. Daniela była do niej bardzo podobna. Przebojowa. W domu jestem sama z ojcem. Najbliżsi przyjaciele przenieśli się do Osaki albo Tokio. Moi pacjenci nie mogą być dla mnie obcy. Muszę się o nich troszczyć. Nie szkodzi, że przez to moja praca staje się trudniejsza.

Zgadza się zabrać prochy Danny do Świątyni Przeciętej Tkaniny. W pokoju Danny przetrząsam torbę z jej rzeczami. W jedwabnym woreczku z kamieniami i muszelkami znajduję pognieciony banknot o nominale dziesięciu tysięcy jenów. Zostawiam go w jej torbie.

– Daniela spała z tym woreczkiem pod poduszką – mówi Kanako. – Może mieć go ze sobą podczas kremacji. W zeszłym tygodniu jakiś dziadek zabrał na drugą stronę Drogi Mlecznej całą kolekcję komiksów.

Sekundę zajmuje mi połączenie tego japońskiego wyrażenia – dosłownie „niebiańskiej rzeki” – z białym pasem gwiazd widocznym podczas bezchmurnych nocy.

– Nie pamiętam. Czy Droga Mleczna jest rzeką w mitach związanych ze świętem *O-bon*?

Kanako kręci głową.

– To Sanzu, Rzeka Trzech Przepaw. Ale dokonałaś interesującego spostrzeżenia. My, Japończycy, mamy na naszym niebie dużo wody, prawda?

Kiedy odwiedzałyśmy Ojīsana w prefekturze Ehime, moja matka uwielbiała przy okazji robić wycieczki nad Shimantogawę, jedyną nieuregulowaną rzekę Japonii. Mówiła, że jest żywa i gwałtowna. Nawet przerzucone przez nią mosty zaprojektowano z uwzględnieniem zatapiania: nie miały balustrad, żeby nie zmyła ich wzbierająca woda. Rzekę Shimanto otaczały wąwozy i były takie odcinki, gdzie

na drugi brzeg dawało się przejść tylko po starych mostach z pnączy. Nocą ciemność była tak absolutna, że na powierzchni rzeki można było dostrzec odbicie Drogi Mlecznej. Gwiazdy rozbłyskiwały na wodzie jasno jak latarnie.

Następnego dnia o siódmej dwadzieścia pięć rano staje przede mną z sapnięciem pociąg składający się z jednego wagonu. W chwili, w której koła zaczynają rytmicznie stukać po torach, zajmuję zielone tapicerowane siedzenie i opuszczam podtrzymywane zapadkami okno. Szachownica poletek ryżowych ciągnie się aż po horyzont; w oddali mającą drewniane budynki, za nimi – góry. Tutaj nic nie dzieje się szybko i zapewne od stu lat wszystko wygląda tak samo: ryż rośnie i każdego roku o tej samej porze przybywają żaby, by napęlić wilgotne powietrze poranną piosenką, wzbierającą i gasnącą jak symfonia.

Nie znalazłam w sobie odwagi, żeby włączyć telefon. Jeśli to zrobię, będę mogła zadzwonić do linii lotniczych i zarezerwować bilet powrotny, ale Sal na pewno nagrał wiadomość, zdumiony, że rozłączyłam się w tak ważnym momencie. A może gorzej? Może już poskładał wszystkie elementy układanki? Puzzle prawdziwego życia. Może już rzucił się do działania – jak wtedy, gdy przepalała się żarówka, a on pojawiał się z nową, zanim tamta zdążyła na dobre ostygnąć.

A jeśli przeniósł się razem z Lily do Tuscan Terrace, a ja po powrocie do domu zastanę obcego człowieka w swoich drzwiach wejściowych, salon zastawiony cudzymi meblami, cementową płytę zamiast ogrodu? Uwielbiam nasz dom: odporną cegłę, sosnową balustradę wyrzeźbioną przez Sala, dziwaczne drzewko brzoskwini, które nie powinno było przeżyć tych wszystkich zim, a jednak każdego lata daje masę owoców.

Pociąg turkoce naprzód ku światłom Tokushimy. Słońce wisi nisko nad górami, oświetlając pomarańczowym blaskiem poletkę ryżu. Przesuwam palcem po zawieszanej na szyi wstążce. Klucz od Hiro ciężko opiera się na moim mostku. Pójdę do domu Shinobu, skorzystam z jego komputera i zarezerwuję sobie lot powrotny. W drodze na lotnisko zatrzymam się przy starym domu. Po powrocie do Boulder naprawdę wyrzucę pigułki. Po powrocie wszystko już będzie dobrze. Wiem, że będzie. Musi.

Automatycznie odwracam się do swojej towarzyszki po słowa pociechy, jakiś żart, cokolwiek. Chwilę trwa, zanim dotrze do mnie nieobecność Danny. Moje serce otacza chłodna pustka. Nie mogę prosić jej o radę. Nie mogę zadzwonić ani wysłać e-maila. Śmierć Danny jest wydarzeniem realnym i trwałym. Zostawiła we mnie mroczną jaskinię. Była łącznikiem ze starym życiem. Piastowała fragment pamięci. Teraz, gdy jej nie ma, muszę wszystko trzymać sama.

Na stacji wita mnie Shinobu. W miejskim stroju jest innym człowiekiem: zamiast wolnego ducha w T-shircie stoi przede mną elegancki młody mężczyzna w spodniach khaki i o rozmiar za dużej czarnej koszulce polo. Ma nową fryzurę, którą chwalebę.

– Za krótko – mówi, przesuwając palcem po czubku głowy. – Jak obleję, ogolę się na zero.

– Twój egzamin! Jak ci poszło?

Skręcamy w boczną ulicę.

– Tak jak poprzednio. Niedługo się okaże. Do starego egzaminu podchodziło w tym roku o wiele mniej osób, więc szybko podadzą wyniki. Ci, którzy nie zdadzą, zdążą się jeszcze zapisać na Wydział Prawa.

– Twoi rodzice muszą się okropnie stresować.

– Matka odkurza od rana do wieczora. Ojciec patrzy na mnie wilkiem, jak tylko trochę się odprężę. Skoro on jest spięty, to ja też muszę.

Jest ciemno, ale i tak się pocę. W mieście upał odczuwa się inaczej niż na wsi: wieczorem mury oddają ciepło. Ulice tego miasta wydają mi się jednocześnie znajome i obce. Są tu wszystkie składowe moich lat dziecińczych, ale inaczej poukładane – nie potrafię dokładnie opisać tej zmiany, coś jakby znajomy stracił parę kilo na wadze. Okolica wydaje się lżejsza.

Na balustradach rozłożono zwisające jak języki futony. Między drewnianymi domkami wyrastają betonowe bloki mieszkalne; czasami wygląda to tak, jakby nowy budynek był jedyną rzeczą, która podtrzymuje w pionie stary. Co za różnorodność drzwi! Wycięte w drewnie drzwiczki, z których wygodnie korzystać mogą tylko dzieci i garbaci, drzwi rozsuwane, metalowe drzwi, które na zmianę trzaskają i otwierają się na oścież, a co jakiś czas panelowe drzwi prosto z Bedford w stanie Ohio – jak te, przed którymi właśnie stajemy. Dom Shinobu jest piętrowy jak domy na Zachodzie, a kwadratowy trawniczek przed wejściem chroni ogrodzenie z kutego żelaza. Shinobu popycha furtkę i mówi:

– Kochanie, wróciłem.

Drzwi pomalowane są na czerwono – „mama tak je pomalowała, na szczęście” – a Shinobu, zamiast je popchnąć lub otworzyć kluczem, naciska dzwonek. Zza drzwi dobiega znajoma melodia: *Lot trzmiela* Rimskiego-Korsakowa. Hiro grał to, chodząc boso po domu w sobotnie poranki, w tym rzadko pojawiającym się w tygodniu okienku, kiedy akurat nie musiał być nigdzie indziej. Mama skarżyła się, że boli ją od tego głowa. „Cały ten ruch – mówiła. – Wolę, kiedy nuty się tak nie spieszą”. A ja uwielbiałam ten utwór. Skakałam jak zwariowana instruktorka aerobiku, z ulgą tańcząc przed ojcem tak, jak robiłam to wtedy, gdy swoje płyty puszczała mama. Siedemdziesiąt cztery

sekundy. Siedemdziesiąt dwie. Światowy rekord wynosił sześćdziesiąt siedem. Kiedyś udało mu się zmieścić w sześćdziesięciu sześciu. Potem już nigdy tego nie zagrał, choć wielokrotnie go prosiłam.

– To na pokaz – mówi Shinobu, wskazując złotą kołatkę w kształcie lwa.

Pod moją prawą stopą coś chrzęści: na stopniu rozrzucono garść różowych fasolek.

Drzwi otwierają się i staje w nich majestatyczna kobieta z purpurową szminką na ustach. Pani Oeda jest o połowę mniejsza od swojego syna, ale ma identyczne rysy twarzy. Na widok znajomego sterczącego kosmyka włosów nad czołem wybucham głośnym śmiechem.

– Witajcie! – wykrzykuje i wprowadza nas do chłodnego, pogrążonego w półmroku holu. Choć nie widać żadnych kwiatów, w domu unosi się zapach lilii. Spojrzenie pani Oedy pada na mój brudny plecak. – Momencik, pozwól, że znajdę miejsce na twój... bagaż. – Szurając kapturami, znika za rogiem, skąd wyłania się sekundę później z puchatym ręcznikiem.

Stawiam na nim plecak, uważając, by nawet paskiem nie dotknął lśniącej drewnianej podłogi.

– Pan Oeda wyszedł pograć w golfa – mówi pani Oeda i koniuszkiem palca odsuwa mój plecak od ciemnoczerwonej tapetowanej ściany. Konfidencjonalnym tonem wyznaje: – To zawsze ogromna przyjemność, mieć dom i gości tylko dla siebie.

Shinobu mówi po angielsku:

– Odkąd ojciec przeszedł na emeryturę, matka dostaje szału.

Pani Oeda prosi, żeby powtórzył to, co powiedział. Bezgłośnie powtarza za nim słowa – odkąd mój... matka dostaje szału – i kręci głową.

– Uczę się... angielskiego – mówi do mnie. – Ale... jestem kiepska. – Przechodzi z powrotem na swój elegancki japoński. – Mój pierworodny odmawia ćwiczenia ze mną.

Tłumaczę, co powiedział Shinobu, lekceważąc jego złowrogie spojrzenie.

– To prawda – mówi pani Oeda, prowadząc mnie przez jadalnię, której cały środek zajmuje wielki mahoniowy stół. – Przywykłam do przebywania cały dzień w domu. Potrafię się czymś zająć. A on potrzebuje jakiegoś hobby. Niestety, jest bardzo marnym golfistą.

Pani Oeda rozsuwa drzwi i wchodzimy do następnego pokoju. Drewniana podłoga ustępuje gładkim splotom *tatami*. Pokój jest typowy, niewielki i skromny, niewiele więcej niż pojemnik na ludzi. Żarówka nad głową rzuca słabe żółte światło. Na samym środku małego kwadratowego stolika umieszczono ozdobny różowy wazon z bukietem mniszków lekarskich.

Wciągam w nozdrza woń pachnącego słomą *tatami* i rozglądam się za komputerem.

– Uwielbiam ten zapach domu.

– Przepraszam za to, że ten pokój jest taki prosty – mówi pani Oeda. – Proszę, rozgość się w nim na tak długo, jak zechcesz. – Przesuwa wazon o kilka centymetrów i prostuje plecy. – Wychodzę na rynek. Czy jadasz wieprzowinę? Krewetki?

– Proszę, nie ma potrzeby nic gotować. Mogę po prostu zgarnąć jakieś *onigiri* ze sklepu.

– Ależ nonsense. Jesteś pielgrzymem i zaopiekowałaś się na szlaku Shin-kun. Upichcę coś prostego. Synu, zatroszcz się o swojego gościa.

Po jej wyjściu Shinobu mówi:

– W przeszłości zawsze podążała za moim ojcem. To jej obowiązek. Ale ostatnio wiele się zmieniło. Chce więcej wolności. Jestem jej synem i zawsze mi powtarzała: „Pracuj ciężko, abys mógł zostać znakomitym prawnikiem”. Myślę, że teraz nie obchodzi jej już, co robię.

– A to niedobrze? Powiedziałaś, że chyba i tak nie chcesz już być prawnikiem.

– Już mnie nie zagrzewa do walki. Wie, że wyniki mojego testu mogą nadejść w każdej chwili, a jednak nic nie mówi.

– A jak dostaniesz tę informację?

– Wyniki przychodzą poleconym.

Shinobu otwiera szufladę i wyjmuje z niej teczkę. W środku jest pięć identycznych listów z rządowymi pieczęciami. Różnią się jedynie datą przystemplowaną w lewym górnym rogu. Pierwsza i druga wyglądają tak, jakby często brano je do ręki: papier jest pognieciony, a rogi wytarte. Trzy na samej górze są sztywne i szeleszczące, jakby przełożono je do teczki bezpośrednio z koperty, w której przyszły.

– W tym roku zapomniała nawet rzucić fasolek – mówi Shinobu. – Rzucił je mój ojciec.

– Mówisz o tych fasolkach przed wejściem?

– Tak, na szczęście. Ale ojciec nie ma o niczym pojęcia, więc rzucił fasolki niewłaściwego gatunku i w niewłaściwym miesiącu. Szczęście przynoszą ziarna soi.

Chociaż święto *Setsubun* oznaczane jest w kalendarzu, to nie tyle święto, ile przesąd. Ma coś wspólnego ze zmianą pór roku. W założeniu chodzi o to, by odpędzić nieszczęście, rzucając z werandy ziarna soi i krzyząc: „Precz demony, szczęście, przybywaj!”. Moi rodzice nigdy go nie obchodzili, ale w szkole udawałam, że na śniadanie jadłam, jak wszyscy, prażone ziarna soi. Któregoś roku zajrzałam przed lekcjami do sklepu i kupiłam całą torbę, żeby móc je zjeść na oczach kolegów z klasy.

– Czy jest tu jakiś komputer, z którego mogłabym skorzystać? Muszę

zarezerwować lot.

Shinobu wygląda na zaniepokojonego.

– Dlaczego?

– Wczoraj Sal zapytał mnie o Chizuru. Wie.

– Boże!

– Nie wszystko. W każdym razie nie sądzę. Muszę wrócić do domu i mu to odpowiednio wyjaśnić. To nie jest coś, co mogłabym zrobić przez telefon.

Shinobu zastanawia się nad tym, co powiedziałam. Wychodzi z pokoju i wraca z laptopem.

– Znalezienie miejsca w samolocie podczas tygodnia *O-bon* może być dość trudne.

Oczywiście japońskie „dość trudne” należy odczytać jako „praktycznie niemożliwe”. Ceny biletów lotniczych okazują się absurdalne. Tydzień *O-bon* wyznacza szczyt ruchu turystycznego i miejsc w samolotach do Osaki i z Osaki jest bardzo mało. Jeden z najtańszych lotów do Kolorado, jaki mi wyskakuje, trwa ponad siedemdziesiąt godzin i wymaga pięciu przesiadek: Osaka – Tokio – Szanghaj – Paryż – Nowy Jork – Denver. I będzie mnie to kosztowało... trzy tysiące osiemset czterdzieści dolarów. Plus sto pięćdziesiąt dolarów za zmianę rezerwacji.

Zaczynam się śmiać, choć nie ma w tym nic śmiesznego. Śmieję się, bo potrzebuję fizycznej ulgi, a płacz nie wchodzi w grę. Jeśli zacznę płakać, będzie po wszystkim. Rozlecę się.

Muszę wrócić do domu. Jeśli Sal ma się o wszystkim dowiedzieć, będzie lepiej, jeśli sama mu powiem. Ale... może się nie dowie. Wciąż się śmieję. Może za dużo o tym myślę. Nie, to niemożliwe, bo ja nie myślę. W ogóle nie myślę. Zanim zadzwonię do Sala, zanim zrobię cokolwiek – *muszę* pobiegać.

Próbuję się skupić na ruchu. Świat zamyka się tak, jak zwykł to robić – w jednej chwili cały. Pęcherze na stopach krzyczą, lecz ból jest niczym w porównaniu z tym, co dzieje się w mojej głowie. Licz kroki. Tysiąc pięćset trzydzieści trzy. 1-5-3-3. Jeszcze raz obiegam kwartał ulic, zmuszając się, by liczyć dalej. Tysiąc czterysta siedemdziesiąt jeden. 1-4-7-1. Bawię się liczbami: piętnaście, trzydzieści trzy, czternaście, siedemdziesiąt jeden. Sal znalazł Chizuru. Jeden plus pięć plus trzy plus trzy. Dwanaście. Jest dwunasty sierpnia. Biegnij. Biegnij. Biegnij.

Wspomnienie morderstwa powróciło do mnie w pełni jakieś osiem miesięcy po przyjeździe do Kawano. Zajrzałam do schowka, żeby wyjąć z niego środki czystości, kiedy otoczył mnie znajomy zapach. Kleen. Brutalny odór imitujący zapach kwiatów zapierał dech w piersiach. Coś znajomego zawirowało mi w brzuchu. „Ciało pamięta – powtarzał doktor K. – Twój umysł zamknie drzwi do wspomnienia i zastawi je wszechświatem, ale ciało pamięta. Dopóki nie

odciągniesz tej zapory i nie otworzysz drzwi, czegoś będzie ci brakowało”.

Zawsze czegoś mi brakowało, tak mu wtedy odpowiedziałam. Bez znaczenia, co zrobię – zawsze będę *hafu*.

Ścisnęło mnie w gardle. Wstrząsnęły mną mdłości i padłam na kolana. Targana spazmami, gwałtownie łapiąc oddech, poczułam, jakbym coś z siebie strząsała. Każdy skurcz męczył i przynosił ulgę, to był jakiś pierwotny instynkt, jakbym płynęła ku powierzchni podczas burzy z piorunami – to, co powyżej, mogło mnie zabić, ale zostając niżej, nie miałam szansy przeżyć.

Pinezki na moim krześle – to się zdarzyło rano, na przerwie przed lunchem. Kiedy zadzwonił dzwonek, wciąż jeszcze byłam w łazience. Nie mogłam usiąść bez płaczu. I nie chodziło tylko o te małe nakłucia na mojej skórze – one się zagoją. Lecz za każdym razem, gdy myślałam o tej chwili, powracał z całą mocą palący wstyd. „Dlaczego to zrobiłeś?”, zapytałam na głos. Słowa uderzyły w betonową ścianę i umarły, a ja powtarzałam je tak długo, aż usłyszałam ich echo, aż dźwięk zapętlił się i wydawało się, że to nie ja mówię – to ściany mnie pytają.

Siedem pinezek przebiło wełnianą spódniczkę i podziurawiło skórę. Kropki na zielonych majtkach przybrały kolor brązowy jak piegi na moim nosie. Spojrzałam na swoją twarz w lustrze i wyciągnęłam szyję, żeby dojrzeć ohydne, przypominające ciastko *mochi* pośladki. Nigdy nie czułam się tak upokorzona.

Ale nie pokazałam tego po sobie. Nie mogłam. Wezmę kanapkę ze swojej ławki w klasie panny Danny i będę trzymać głowę wysoko – tak jak poleciła mi matka. „Nigdy nie pokazuj im swoich łez – powtarzała. – Nigdy nie dawaj im satysfakcji”.

Zadzwonił dzwonek. Wygładziłam spódniczkę, której tkanina była tak ścisła, że nie było widać dziurek po pinezkach. Uśmiechnęłam się szeroko do swojego odbicia. Nic nie mogłam poradzić na plotki o dowcipie Tomoyi, które rozeszły się już po szkole, ale mogłam zapanować nad tym, co widzieli patrzący na mnie ludzie. Uniósłszy podbródek, podeszłam energicznie do drzwi łazienki i pchnęłam je na oścież.

W trakcie przerwy na sprzątanie panna Danny patrolowała łazienki na pierwszym piętrze, więc wiedziałam, że mogę ćwiczyć pewność siebie w zaciszu jej pustej sali. Weszłam do środka, czując wzbierającą we mnie moc. Ale sala nie była pusta.

Obok mojej ławki na przedzie sali stał z mopem w ręku Tomoya i dłuwał w nosie. Wszędzie czuć było silny zapach środka Kleen. Oczy Tomoyi rozjarzyły się niczym oczy myśliwego, który właśnie zobaczył wkraczającego na polankę dwunastaka.

– Doczłapałaś się akurat w porę, żeby zmyć podłogę. To i tak twoja wina, że muszę to robić. – Splunął mi na ławkę i wyciągnął mop w moją stronę.

Wyrwana z zamyślenia, nie potrafiłam wykrztusić słowa. Szłam dalej,

a instynktowna chęć ucieczki walczyła z planem zabrania swojego lunchu.

Wskazał na mnie mopem.

– Żaden tłuszcz z ciebie nie wyciekł po tym, jak usiadłaś na tych pinezkach? Myśleliśmy, że dupa ci pęknie jak balon!

Doszłam do swojej ławki stojącej naprzeciw biurka panny Danny. Tomoya oparł się o blat tak, że nie mogłam go otworzyć, i popchnął mop w moją stronę. Kij uderzył mnie w ramię i huknął o podłogę.

– Co za krowa – powiedział Tomoya i chwycił mnie za fałdkę tłuszczu w pasie. – Założę się, że dajesz mleko.

Uniósł palce do mojego sutka i ścisnął. Krzyknęłam z bólu i zaskoczenia. Ból nie ograniczał się jednak do mojej piersi; ten zaraz zelżał. Znacznie bardziej zabolalo mnie serce. Jakby ktoś wwiercał w nie ostrze. Czarny organ.

Szarpnęłam się, uderzając biodrem o biurko panny Danny. Mój wzrok padł na nożyk do otwierania listów połyskujący na niebieskiej aksamitnej podkładce. Przesunęłam ku niemu dłoń. Widziałam wyraźnie każdy szczegół: rękojeść zawijającą się niczym czubek liścia paproci i wiszącą poniżej perłę. Ostrze nożyka było płaskie i spiczaste. Unosząc go, dostrzegłam w nim swoje zniekształcone odbicie.

Wbiłam czubek nożyka w szyję Tomoyi. Ostrze weszło głęboko, aż po rękojeść. Chłopak jęknął żałośnie i padł na kolana. Wyrwałam nożyk i z rany trysnęła krew. Chciałam go podziurawić jak sito: raz, dwa, trzy-cztery-pięć. Jak w dziecięcej rymowance: *Ichi, ni, san-shi-go*. Pomyślałam: „Idź, odejdz”, ale zastygłam na widok krwi. Wydawała się niemożliwie czerwona – niczym rozżarzony dół, w którym kiedyś znajdowało się moje serce.

Tomoya leżał na podłodze. Oczy miał wciąż otwarte. Krew przez chwilę tryskała z rany, po czym popłynęła wartkim, równomiernym strumieniem, który utworzył na podłodze jezioro. Gdy jego brzeg sięgnął moich butów, wybiegłam.

Na prawo ode mnie trąbi klakson. Odległość, kolor samochodu – nie rejestruję żadnych szczegółów. Czy mam pod stopami chodnik? Tak. Gorący. Ziemia pulsuje energią, odpycha moje stopy, przynagla mnie do ruchu. Spływam potem. Bola płuca. Tak lepiej.

Chłonę otoczenie. Dotarłam do mojej starej dzielnicy. Tam jest Ame-Ame, sklep z cukierkami. Sanktuarium mojego dzieciństwa. Wchodzę do środka.

Mieszczący się w przebudowanym domu jednorodzinnym sklep nie ma zwykłych alejek, lecz trzy ściany zawieszane od podłogi do sufitu wiklinowymi koszykami. Pod ścianami, na zakurzonej podłodze stoją plastikowe kosze ze smakołykami za jednego jena. Pojemniki są wypełnione po brzegi – masz wrażenie, że musisz wziąć coś z każdego, bo inaczej się z nich wysypie. Na środku ustawiono nieforemną, wyższą ode mnie górę owiniętych w folię kawałków domowej czekolady: od małych bryłek na jeden gryz po tabliczki tak wielkie, że

jakby się dobrze zamachnąć, można byłoby rozwalić nimi komuś głowę. Skrzypiące deski podłogi wypolerowane – ta myśl pojawia się mimowolnie – stopami dzieci takich jak ja czy Tomoya posypano trocinami. Biorę koszyczek ze stosu przy wejściu. Pozdrawia mnie stojący za drewnianą ladą mężczyzna.

To pan Nigata, ten sam, który prowadził sklep, gdy byłem dzieckiem. Tak samo jak wówczas sprawia wrażenie człowieka nieco zbyt szorstkiego jak na właściciela sklepu ze słodyczami.

– Nigata-san?

Patrzy na mnie ostro – jak zawsze – lecz wokół jego oczu pojawia się jakaś łagodność. Kiedyś zwykł ustawiać wagę nieco zbyt nisko, a potem demonstracyjnie regulował ją tak, by klient wiedział, że jest traktowany wyjątkowo. Zakres regulacji był prawdopodobnie odpowiednikiem najwyżej kilku żelków, ale poprawiał ci samopoczucie, jakbyś został dopuszczony do jakiejś tajemnicy.

– Mawiano już na mnie gorzej.

Oczywiście, że to nie ten sam człowiek. To syn pana Nigaty. Pamiętam go ze szkoły podstawowej Motomachi. Jest ode mnie rok czy dwa starszy.

– Wychowałeś się tutaj, prawda? – mówi, opierając się o ladę tak mocno, że ta aż jęczy.

– Tak. To ja zabiłam tamtego chłopaka. Tomoyę Yu. Zadźgałam go w naszej klasie. Chciał, żebym umyła podłogę, a kiedy odmówiłam, chwycił mnie za pierś. I wtedy dźgnęłam go w szyję.

Nigdy wcześniej nie powiedziałam tego głośno. Wzbiera we mnie dzika radość.

Nigata wytrzeszcza oczy, po czym wypuszcza powietrze z płuc i uśmiecha się szeroko.

– Niezłego stracha mi napędziłaś. Ale pomyślałem sobie: ona wcale nie przypomina tamtej dziewczyny. Jesteś tą piosenkarką, prawda? – Wymawia imię dziewczyny z rocznika wyżej, której ojciec był Kanadyjczykiem. – Bujałem się w tobie w piątej klasie.

– Nie... Jestem tamtą dziewczyną! Dźgnęłam go nożykiem do listów z taką zagiętą główką. Morimoto.

Chwytam plastikowy uchwyt lizaka w kształcie samurajskiego miecza i wymachuję nim w jego stronę.

Nigata unosi mięsiste ręce w pozorowanej samoobronie.

– Dobra, dobra! Mam się bać? Nie wyglądasz szczególnie groźnie.

Dzwoni telefon, a on odbiera i momentalnie podnosi głos.

– Uzgodniliśmy cenę w zeszłym miesiącu! Nie obchodzi mnie, ile kosztuje barylka ropy. Powinieneś je wysłać, kiedy złożyłem zamówienie. Przecież nie każę dzieciakom płacić po dwieście jenów za żelkową pandę!

Napełniam koszyk słodyczami, które uwielbiałam jako dziecko: patyczki

sezamowe, karmelkowe żaby, saszetki cukru opatrzone znakami zodiaku. Wybieram tygrysa dla siebie i smoka dla Lily. Nie wiem, spod jakiego znaku chińskiego zodiaku jest Sal i jestem zmuszona przeczytać drobny druk na wąskiej saszetce. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci: bawół. Równy, solidny, pracujący wytrwale i metodycznie. Bardziej precyzyjny niż jego drugi znak, marzycielskie i twórcze Ryby, jak moja mama, choć kiedyś zaprotestował, że jest bardziej rybi, niż byłabym skłonna uznać.

Nigata rzuca słuchawką.

– Ciągłe robisz w morderstwach? Mam tu jednego dystrybutora, któremu trzeba by dać nauczkę.

Nie wierzy mi. Nie potrafi się pozbyć przekonania, że jestem zwykłą kobietą, która stoi w jego sklepie z cukierkami i trzyma w ręku koszyk karmelowych żab. Proszę, jaka jestem normalna! Jaka kanadyjska. Nie potrafię usunąć sprzed oczu obrazu leżącego na podłodze Tomoyi i krwi leżącej się z jego szyi. Moje zażenowanie musi być widoczne, bo Nigata, któremu uśmiech spęłzył z twarzy, próbuje zmienić temat.

– Przyjechałaś w odwiedziny do krewnych?

– Przyjechałam na pogrzeb ojca.

Sięgam do najbliższego koszyka i przyglądam się uważnie gumie do żucia w kulkach. Sądząc z wyglądu opakowania, guma powinna przez długie godziny nie tracić smaku.

Twarz Nigaty przybiera zabawny wyraz.

– Akitani, tak? Pamiętam. Cholera... Ty naprawdę jesteś tą dziewczyną. Chizuru.

Na dźwięk swojego imienia podnoszę wzrok.

– Przepraszam, ale wiesz, wyglądasz jak ktoś całkiem inny. Aż mi się miesza w głowie. Odkąd przejąłem ten sklep, spotkałem sporo dawnych kolegów ze szkoły. Byłabyś zdumiona, ilu z nich wygląda dokładnie tak samo, ile osób nigdy nie wyjechało z miasta. – Opiera dłonie na czubku głowy. – Założę się, że niełatwo było tu wrócić. Ludzie mogą się zmienić, rozumiesz. Nie jestem z tych, co sądzą, że nie. – Śmieje się głośno. – Muszę powiedzieć, z całym szacunkiem i tak dalej, że twój stary do końca był niezłym dziwakiem.

– Znałeś go?

– Nie bardzo. Rzadko pojawiał się w mieście, a i wtedy zajmował się tylko graniem na skrzypcach i sprzątaniem domu. Można go było zobaczyć, jak zamiata chodnik przed wejściem. Jak jakaś babcia. I słyszeć, jak dniem i nocą rzępoli do upadłego tę wariacką melodię. Ani się nie przywitał, ani nie poszedł po zakupy. Shimamoto ma stoisko tam dalej przy ulicy...

– Jaką melodię? *Lot trzmiela*?

– Dziwny gość. Ale co ja tam wiem. – Bębni palcami o wypaczony blat. –

Jestem tylko prostym facetem, który prowadzi sklep z cukierkami. Skoro jesteś tamtą dziewczyną, jego córką, powinnaś wiedzieć lepiej ode mnie. – Cofa się o dwa kroki. – Chyba że mnie wręczasz?

– Zabiłam go – mówię i unoszę koszyk. – Słowo honoru.

– Niech ci będzie – mruży, kręcąc głową. Zeruje wagę, tę samą co przed laty, ale nie ujmuje ani deka. – Bardzo miło było zobaczyć cię po tylu latach – mówi, używając oficjalnego japońskiego pożegnania.

Myślami jestem już na zewnątrz, w drodze do niebieskiego domu.

Truchtem mijam witryny nieznanych mi sklepów. W miejscu starego kina powstał sklep z deskorolkami. Nastoletni chłopcy w kaskach tańczą przed nim breakdance. W moim kierunku idzie chwiejnie jakaś kobieta w jaskrawożółtej spódniczce i dobranych kolorem szpilkach; z przewieszanej przez ramię torebki Louis Vuitton wystaje główka białego pieska. Kobieta schodzi mi z drogi.

Czy dom Tomoyi nie znajdował się przy jednej z tych bocznych uliczek? Wiedziałam, gdzie on mieszka, bo staranne unikanie go było koniecznością. Tyle że jego dom był w pobliżu Ame-Ame, co znacznie utrudniało sprawę. Racja, szło się koło niego skróttem ze sklepu do mojego domu. Zawsze wybierałam dłuższą drogę naokoło. Czy to możliwe, by jego rodzice wciąż tam mieszkali? Czy po śmierci Tomoyi mieli jeszcze dzieci? Za każdym razem, gdy martwię się, że Lily mogłaby się stać jakaś krzywda, lub wyobrażam sobie życie, w którym nagle jej nie ma, myślę o rodzicach Tomoyi i zastanawiam się, jak sobie poradzili. Jak rodzic może przeżyć śmierć dziecka?

Między słupami energetycznymi a dachami domów rozpina się pajęczyna kabli wyglądająca na tle zaciągniętego chmurami nieba jak popękana szyba. Idę dalej, prawie wchodząc w stertę gnijących owoców hurmy. To była przecznica dalej czy może dwie? Nie mogę pozbyć się wrażenia, że nie tak wyglądało miejsce, które znałam. To jest zbyt namacalne. Nie przypomina wspomnień.

W dniu, w którym dostałam przesyłkę od prawnika Hiro, w jednym z magazynów psychologicznych porozkładanych w szpitalu przeczytałam o badaniu dotyczącym orientacji w przestrzeni. Naukowcy pozostawiali ludzi na pustyni i kazali im iść prosto. Wędrowcy radzili sobie całkiem dobrze, dopóki słońce albo księżyc nie skryły się za chmurami – wtedy zaczynali zbaczać z drogi, czasem pod kątem prostym względem kierunku, w którym zmierzali. Nie wierzyli, kiedy się im mówiło, co się dzieje. Nawet gdy przedstawiano im mapy pokazujące ich spiralnie zakręcający szlak, nie chcieli uwierzyć, że zeszli z obranego kursu.

Hurmy pachną jak mocne wino i wdychanie ich woni na moment mnie odurza. Czuję się jak ci ludzie na pustyni: zataczam koła. Niebo przez długi czas było zaciągnięte chmurami.

Kiedyś wąski piętrowy dom pokryty mozaiką niebieskich kafli zdawał mi się wieżą, ciemna dachówka sięgała nieba jak w nocy van Gogha. Teraz bardziej

przypomina przeskalowaną kabinę prysznica. Fugi między maleńkimi kwadracikami zżółkły, a gdzieśgdzie zszarzały. Temu miejscu dobrze by zrobił jakiś cif extra. Wyszczerbienie na frontowym schodku stało się bardziej widoczne. W oddali za dachami rozpoznaję wznoszący się niczym pałeczka dyrygenta maszt radiowy na górze Bizan.

Przed domem stoi kozioł budowlany, a na nim znak, którego nie potrafię przeczytać. Odsuwam go na bok i pokonuję dziewięć stopni do metalowych drzwi wejściowych, po czym zdejmuję z szyi zawieszony na wstążce klucz. Zamek otwiera się ze szczękiem.

Ogarnia mnie znajomy zapach stęchlizny. To woń nas trojga. Olej drzewny i kalafonia. Proszek do prania. Earl grey.

Bez namysłu zdejmuję buty w *genkan*. W Kolorado nie zabraniamy noszenia obuwia po domu; minęły lata, odkąd regularnie bywałam w miejscach, gdzie wymagano, by je zdejmować. Ale ten dom i jego zwyczaje zastygły w czasie.

Ściany pokoju dziennego pokryte są od podłogi do sufitu wycinkami z gazet. Przyglądam się uważnie kilku z nich. Wszystkie są o nim. Każdy koncert, każda recenzja, każdy artykuł o jego tajemniczym życiu. Niektóre są starannie wycięte, lecz większość wyrwano i przyczepiono w przypadkowych miejscach, czasem zasłaniając poprzednie. Danny powiedziała, że nie potrafił znieść myśli o swoim końcu. Nie potrafił się z nią pogodzić. W pokoju takim jak ten nie sposób zapomnieć o swojej istotności.

W sąsiednim pomieszczeniu, w niszy *tokonoma* przycupnęło pięć papierowych żurawi zrobionych z banknotów pięćdziesięcio- i stu-jenowych. Na podłodze wyłożonej *tatami* stoi moja metalowa skrzynka z papierem origami.

Nic w tym domu nie zmienił.

W kuchni stoją na półce dwa nieotwarte pudełka Golden Curry. Mama na okrągło przyrządzała to danie. Potrafię ją sobie wyobrazić, jak zrzuca pokaźne prostokątne kawałki z plastikowej tacki na miedzianą patelnię, która stała – nadal stoi – na okapie kuchenki, bo była za wielka, żeby zmieścić się w szafce. Nad zlewem wisi oprawione zdjęcie Hiro i mojej mamy – on się krzywi, ona wystawia język. Zdejmuję je ze ściany i ścieram ze szkła warstewkę kurzu. Nawet teraz potrafię wyczuć, jak między nimi iskrzy. Zabiorę to zdjęcie do domu – dla Lily. Nie widziała żadnej fotografii przedstawiającej jej dziadków razem.

Niski stolik w starym pokoju rodziców zarzucony jest albumami fotograficznymi. Wiele z nich znam – przeglądałam je, domagając się wyjaśnień dotyczących zdarzeń i ludzi uwiecznionych przed moim narodzeniem. Zwykle udzielała mi ich mama. Ale ojciec miał jedną historię, której zawsze lubiłam wysłuchiwać od niego.

Przeniósł się do Nowego Jorku, by uczyć do Juilliard School of Music. Mama, niecały rok wcześniej wyjechałszy z Teksasu i porzuciwszy licealne życie,

mieszkała w rozpadającym się lofcie w SoHo z piątką współlokatorów i była kompletnie splukana, ale dzięki urokowi osobistemu odnalazła się w modnej miejskiej społeczności. Wystawy jej prac odbywały się w garażach i na strychach i to właśnie podczas jednej z tych wystaw w opuszczonym magazynie huty żelaza Hiro, genialne dziecko, osiemnastolatek zmagający się jeszcze z warstewką dziecinnego tłuszczu, po raz pierwszy ujrzał Elenę Brown.

Ich początkowe zaloty były niepewne; ona była rok starsza i na miasto zabierało ją wielu mężczyzn, zupełnie dorosłych, majątnych, posiadających domy, samochody i stanowiska. Niemniej, podobnie jak w przypadku problemów ze zdrowiem, te przeszkody tylko ugruntowały determinację Hiro. Analizował Elenę tak, jak analizował wirtuozerskie wykonania koncertów. Chodził na jej wszystkie wystawy – a były coraz liczniejsze, jedna z nich odbyła się nawet w prawdziwej galerii przy Bleeker Street – a kiedy już znalazł się u jej boku, zostawał tak długo, aż się nim znudziła, po czym grał przez pół nocy, by nadrobić opuszczone ćwiczenia. Nauka w Juilliard nie była trudna, jak twierdził – po prostu wymagała wiele pracy.

Może i był sławny w Japonii, może i jako uczeń pierwszej klasy szkoły podstawowej grał z Shinji Okamoto, ale w Juilliard genialne dzieci nie stanowiły wyjątku, lecz normę. Tym lepiej. Dla Hiro rywalizacja była niczym kompost dla krzaku róży. Sięgnął ku światu, a świat sięgnął ku niemu. Elena była częścią tego świata.

Gdybym tylko mogła obserwować dynamikę ich małżeństwa jako osoba dorosła. Często się kłócili, lecz mama była zdolna do takiej czułości, która unieważniała dzielące ich różnice. A on, chociaż tego nie okazywał, musiał tej czułości potrzebować.

Wchodzę do swojego dawnego pokoju. Futon złożono zgrabnie w otwartej szafie razem z kilkoma pudłami ubrań. Jest mój regał zastawiony ukochanymi książkami – których nie potrafię już przeczytać. Wyciągam jedną z nich, tę z lisem na okładce. Z grzbietu zwisa niczym szalik postrzępiona tasiemka.

Pamiętam to opowiadanie. To historia o lisie, który jest bardzo drobny, co czyni go wyrzutkiem, lecz dzięki swoim niewielkim rozmiarom pozwalającym mu wleźć do każdej dziury może szpiegować ludzi i rozwiązywać rozmaite zagadki kryminalne. Jest tylko jeden człowiek, który mu wierzy: dziewczynka... och, jak ona miała na imię? Siadam na *tatami* i kartkuję książkę. Umiem czytać pismo sylabiczne *hiragana*. Su... – już pamiętam. Miała na imię Suzume. To znaczy wróbel. Suzume miała bardzo długie włosy i gdy biegła, musiała uważać, żeby się w nie nie zaplątać. Oczyma duszy wciąż widzę jej szkołę i kwartał ulic, gdzie ze swoim lisim szpiegiem przeżywała różne przygody; całkiem podobny do tego, w którym mieszkałam, miał tylko trochę inny układ. Po wszystkich tych latach wciąż mam go w głowie.

Na regale znajduję kilka zakurzonych opakowań po słodkościach – na pewno z Ame-Ame – w tym jedno po karmelowej żabie identycznej jak ta, którą właśnie kupiłam. Pognieciony, wypełniony do połowy arkusz pracy *kanji*, na którym dziesięć razy wypisałam ten sam znak wymagający dziesięciu pociągnięć. Nie mam pojęcia, jak go odczytać ani co oznacza. Biorę długopis i wypełniam jedną z pustych kratek. Efekt mojej pracy wydaje się nieporadny i niezgrabny w porównaniu do wcześniejszych odwzorowań, eleganckich i perfekcyjnych.

Ocieram pot z czoła. Oto jaka jestem. Schludna. Bałaganiarska. Niedoślona. Gotowa ćwiczyć. Gotowa na wszystko.

Wyciągam telefon i dzwonię do Sala.

– Nie spałem całą noc. Dlaczego to tyle trwało?

Podchodzę do okna, za którym Yoshinogawa wije się i wpada do morza oddzielonego ode mnie piaszczystą plażą. Gdzieś woda rwie naprzód, gdzie indziej jakby zastyga w bezruchu. Ta rzeka potrafi wystrzelić człowieka z gór na otwarte morze. Mama mówiła mi, że rdzenni Amerykanie nie nadawali nazw całym rzekom od źródła do ujścia, lecz przypisywali miana konkretnym miejscom: Mały Zakręt lub Wolno Płynąca wśród Drzew. Idea wody jako całości okazała się dla nich nieprzydatna. Jestem tamtą rzeką. I podobnie jak tamta rzeka, nie określam, kim jest Rio, lecz nazywam jedynie pewne części siebie: matkę, pielęgniarkę. I tę resztę, którą się nie dzielę.

– Halo? Co się dzieje?

Słowa przychodzą dopiero po kilku sekundach.

– Sal, przepraszam.

– Przepraszasz za co? Rio?

– Niczego nie jestem już pewna. Kim jestem. Kim powinnam być.

– Przerażasz mnie, skarbie. O czym ty mówisz?

Chcę powiedzieć, że Danny już nie ma. Ostatniej osoby, która знаła moją historię. Chcę, żebyś mnie poznał. Teraz.

– Sal, to ja byłem dziewczynką, o którą pytałeś. Ja nią jestem. Jestem Chizuru.

Wpatruję się w rzekę tak długo, aż przekształca się w rozmazaną smugę. Nasłuchuję oddechu Sala, a ten staje się oddechem rzeki.

– Dziewczynka, która zabiła kolegę z klasy, to ty – mówi wreszcie.

– Tak.

– Wkręcasz mnie.

– Nie.

– Jesteś dziewczyną z tego artykułu.

– Nie mówiłam ci o tym, bo...

– Zamknij się. Po prostu na sekundę się zamknij.

Rzeka jakby zamarła. Jego głos dobiega z oddali. Stłumiony.

– Nie powiedziałaś mi.

– Chciałam normalnie żyć. Nie było sensu cię zmuszać... ciebie czy Lily, żebyście jakoś sobie z tym radzili. To przeszłość. Mam to już za sobą.

– Jak możesz tak mówić? Masz za sobą zabicie dziecka? To przerażające.

– Chodzi mi o to, że to nie było... nie jest... nie miało wpływu na to, kim jestem teraz. – Czy to prawda? Wydaje się, że tak. W każdym razie wydaje się, że takiej właśnie prawdy bym chciała. – Straciłam wszystkich jednocześnie. Mama popełniła samobójstwo, a ojciec... Mógł zabrać mnie do domu, ale zdecydował się ocalić twarz i mnie zostawił. Nie mogłam ryzykować, że postąpisz tak samo.

– Więc to dlatego nie utrzymywałaś kontaktów z ojcem. Dlatego nigdy nie chciałaś odwiedzić Japonii. – Mówi coraz szybciej, jakby rozwijał moją przeszłość niczym kłębek wełny. – To dlatego nie chciałaś, żeby Lily chodziła do szkoły Hasegawa ani obchodziła kwitnienia wiśni w Denver. Boże. Ile odbyliśmy rozmów, w których po prostu sterowałaś swoim niczego nieświadomym mężem?

Chodnikiem pod oknem idzie młoda para, dziewczyna trzyma w ramionach zawodzące niemowlę. Czerwona buzia dziecka kontrastuje zaskakująco z białą skórą matki. Maluch zanosi się płaczem, wykorzystując wszystkie rezerwy energii. Żałuję, że nie potrafię się wyrazić tak swobodnie.

– A nie zostawiłbyś mnie, gdybym ci powiedziała?

– Nie mam pojęcia. Ale miło by było móc podjąć decyzję. – Milknie. – Poczekaj, ona miała dwanaście lat... Ty miałaś dwanaście lat. Chodziłaś w ogóle do szkoły średniej?

– W poprawczaku.

– A co z tymi wszystkimi historiami, które mi opowiadałaś? O tym, że byłaś najgorsza w drużynie siatkarskiej, i o tym, jak spałaś u swojej przyjaciółki w szafie?

– Zmyśliłam je.

– A więc nie było Tamiko i Eriko, dwóch najlepszych przyjaciółek,

z którymi nigdy się nie rozstawałaś. Inez kręcąca hula-hoop i poturbowana przez dzika kulawa Taro nigdy nie istniały. Nie pojechałaś z klasą na Okinawę i nie patrzyłaś, jak mangusta zwycięża w walce z kobrą.

To upokarzające słuchać własnych kłamstw powtarzanych przez kogoś innego.

– Nie.

– Kurwa. – Głos mu drży. – Kurwa mać.

– Sal? Poczekaj.

Rozłączył się. Mały gremlin przytupuje i mruga do mnie. Mam pełną baterię. Sal się rozłączył. Oddzwaniem, ale od razu przerzuca mnie na pocztę głosową. Zostawiam mu wiadomość, a potem jeszcze jedną, błagając, żeby do mnie zadzwonił.

Wybieram numer obozu Lily i jednym uchem słucham piskliwego głosu mężczyzny usilnie próbującego sprawiać wrażenie osoby władczej i zdecydowanej. Tylko w wyjątkowej sytuacji może wywołać ucznia z zajęć. No i dobra. Mówię mu, że to wyjątkowa sytuacja. Niech mi po prostu da córkę do telefonu. Przełączona w tryb oczekiwania, cierpliwie znoszę popłuczyny po przeboju *Africa* zespołu Toto.

– Hej, mamó, co jest? Wywołali mnie z planu, a jestem dziś główną dyżurną.

Na dźwięk głosu Lily ściska mnie w gardle. Zasłaniam mikrofon dłonią i biorę głęboki wdech, żeby się nie rozpłakać.

– Mamó?

– Cześć, kochanie – szepczę.

– Jesteś jeszcze w Japonii? Masz jakiś dziwny głos.

– Ja... chciałam ci tylko powiedzieć, że kocham cię najbardziej na świecie.

I to się nigdy nie zmieni, cokolwiek by się zdarzyło.

– A co się stało?

– Nie, skarbie. Chciałam cię tylko usłyszeć. Kim jest główna dyżurna planu?

Ktoś krzyczy w tle po stronie Lily.

– No więc: kamery są zamocowane na takich dolkach albo na wysięgnikach, a czasem w przypadkowych miejscach, na przykład na szczycie drabiny, no i dyżurni muszą współpracować z oświetlaczami i całą resztą ekipy, żeby wszystko idealnie działało.

– Wygląda na dość skomplikowane.

– No tak, ale to superfajda. Ach, i są tu dwie dziewczyny z Japonii... Ale rzeczywiście z Japonii. Jedna jest z Tokio i ma niesamowite ubrania, ale z nikim nie rozmawia, a druga, Hana, jest naprawdę miła. I jest niezwykłą artystką.

– To super, Lil. Powiedziałaś im, że jesteś w jednej czwartej Japonką?

– No nie.

– Dlaczego nie?

– Nie wiem. W sumie nigdy nie byłam w Japonii, więc niespecjalnie się czuję Japonką czy coś.

– Spodobałoby ci się tutaj. Można śpiewać karaoke w osobnym pokoju, jeść od rana do wieczora sushi, no i mają urocze ciuchy.

Kolejny krzyk, a potem histeryczny śmiech.

– On tego wcale nie powiedział! – krzyczy Lily, a sekundę później: – Och, kurczę, idź sobie stąd! Rozmawiam z mamą. – Wreszcie zwraca się do mnie: – Muszę uciekać, za chwilę moja grupa zaczyna przeszkolenie podstawowe z zielonego ekranu. Tutaj normalnie wszystko nazywają tak, jakbyśmy byli w wojsku.

Radość w jej głosie przywodzi mi na myśl Sala opowiadającego o puzzlach. Staram się, by ton mojego głosu był równie lekki i pogodny jak jej.

– Cieszę się, że się dobrze bawisz. Pogadamy niedługo, okej? Kocham cię.

– Pa, mamciu! Ściski!

Rozłączam się. Gorąca gula podchodzi mi do gardła i wymiotuję na podłogę. Buty to przyszcz – zwymiotowanie na *tatami* jest o wiele cięższym grzechem. Matę trzeba będzie wymienić. Kwas cholowy z pewnością zniszczy włókna słomy ryżowej. Już zaczął się w nie wżerać. Biedna mato, służyłaś mi poczciwie przez tyle lat, nigdy niczego ode mnie nie wymagając, a ja ci się tak odpłacam.

A jeśli mi ją zabierze? Przecież Sal może uznać, że nie nadaję się na matkę. Zabiłam chłopca w wieku mojego dziecka. Chęć odebrania mi jej byłaby całkiem logiczna. To, że wydaje mi się, że nic się nie stanie, nie oznacza, że nic się nie stanie. Chryste, może już nie panuję nad własną głową? Może tylko sobie wymyśliłam to drugie ja, tę świetnie funkcjonującą Amerykankę? Zwiodłam samą siebie.

W głowie mi dudni; czuję tętnienie w prawej skroni. Zamykam oczy i przyciskam je dłońmi. Za wszelką cenę chcę się pozbyć uczucia, że się przechylałam, jakbym siedziała na tylnej kanapie samochodu zbyt szybko biorącego górskie zakręty. Powinnam prowadzić – w końcu to ja zapuściłam silnik – lecz nie dosięgam kierownicy.

Dobiega mnie skądś wściekłe walenie. Otwieram oczy. To od drzwi wejściowych. Podrywam się jak rażona prądem. Kto to może być?

Drzwi uchylają się z jękiem; nie zamknęłam ich na klucz.

– Hej! – wołam. – Kto tam?

– Policja! – krzyczy jakiś mężczyzna od progu. – Proszę się pokazać.

Co, u diabła? Wchodzę do salonu i proszę: przysadzisty chłopak, na oko dwudziestokilkuletni, kamizelka z szorstkiego płótna, niebieska czapka, a obok drugi policjant, starszy, sprawiający wrażenie zmęczonego. Młody wymachuje czerwoną plastikową latarką, jakby to był dziecienny mieczyk.

Stoję bez ruchu, nie śmiać głębiej odetchnąć. Kiedyś, gdy odwoziłam Lily do

szkoły, policyjne auto jechało za mną dobre kilka kilometrów. Tak się zdenerwowałam, że musiałam zjechać na bok, a tymczasem kierowca minął mój samochód, nie zaszczywszy mnie nawet spojrzeniem.

– Jak się pani tutaj dostała? – pyta starszy policjant. Odwraca głowę i ziewa.
– To własność prywatna.

– To był dom mojego ojca. Mam klucz. – Wkładam klucz do zamka i pokazuję, że się obraca.

Wyglądają na zdezorientowanych.

– Hiro Akitani był pani ojcem? No jasne, a ja jestem Godzilla. Pani nawet nie jest Japonką. Moment, a może pani jest? Proszę pokazać jakiś dokument.

– Nie mam przy sobie paszportu. Zostawiłam go tam, gdzie się zatrzymałam.
Znów ziewa.

– Jako cudzoziemka zobowiązana jest pani zawsze nosić dowód tożsamości przy sobie. Takie jest prawo. – Głos mu łagodnieje. – Już łapię. Jest pani jedną z tych zwariowanych wielbicielek, co? Jak je zwa, ci-cie-le Hiro? – Śmieje się z własnego żartu. – Chociaż osobiście nigdy nie pojąłem jego fenomenu. Jak dla mnie pierwszorzędnny świr.

Chłopak uchyla czapki, odsłaniając czaszkę tak płaską, że mimowolnie zastanawiam się, czy nie urodził się z jakąś wadą. Z tą szeroką twarzą przypomina pniak drzewa. Mówi coś do swojej krótkofalówki.

– To własność skarbu państwa. Nikt nie ma prawa tu przebywać, więc będzie pani musiała pójść z nami.

Na tylnych siedzeniach policyjnego wozu leżą białe papierowe wyściółki. Papier gniecie się, gdy na nim siadam. Nie zostałam skuta, lecz od policjantów dzieli mnie przegroda z pleksi.

Cholera. Zostawiłam w tym starym domu telefon.

Mijamy sklep z cukierkami. Nigata jest na zewnątrz, zamachuje się miotłą na nie wiadomo co. Gdy go mijamy, podnosi wzrok i kiwa głową. Jeszcze dopadnę to głupkowate skąpiradło, jeśli to on nasłał na mnie gliny. Czarny organ napina się na samą myśl. Wyobrażam sobie stary drewniany sklep stojący w płomieniach, cukierki topiące się w kałużach czekoladowego mułu, czerniejące, wreszcie zamieniające się w popiół. Tak właśnie kończą ci, co wtykają nos w nie swoje sprawy, Nigata-san.

– Dokąd mnie zabieracie? – pytam, niezdolna ukryć wzdrygnięcia w głosie.

– Areszt kobiecy w Jokohamie.

– Co?

– Jest pani aresztowana.

– Aresztowana? Za co?

Nie odpowiada.

Kolejka wciąga leniwych turystów na górę Bizan. Wyobrażam sobie, jak

wagonik z tymi leniami pęka z trzaskiem na pół, spada i kompletnie się rozlatuje. Jeśli zamknę oczy i plastycznie to sobie zwizualizuję, uda mi się do tego doprowadzić. Wbijam wzrok w siedzącego za kółkiem starszego policjanta. Jeśli będę się w niego wpatrywać wystarczająco natarczywie, zjedzie na bok i wypuści mnie, przepraszając wylewnie za niegodne potraktowanie. Może siłą woli zdołam mu przebić bębenek? Czekam, aż się skrzywi i zasłoni ucho dłonią, a krew pocieknie mu między palcami, ale nic takiego się nie dzieje.

Wiem teraz, że mam zerowe zdolności telekinezy. Gdybym je miała, to miasto stałoby już w ogniu.

Drugi raz w życiu zostałam zamknięta na tylnym siedzeniu japońskiego radiowozu. Wyjaśniłam, że aktualnie nazywam się Rio Silvestri, jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych i miałam prawo przebywać w tym domu. Inaczej skąd wzięłabym klucz? Ale ci faceci to roboty realizujące scenariusz. Logika nie ma tu zastosowania. Spuszczam wzrok i widzę swoje ręce zwinięte w pięści, paznokcie wbijające się w miękką skórę. Rozprostowanie palców sprawia ból. We wnętrzu dłoni pojawiają się cztery różowe półksiężyce.

Przez wiele lat udawało mi się unikać kłopotów, a znalazły mnie dosłownie kilka dni po powrocie do tego kraju. Właśnie to mi się przydarza w Japonii. Miałam rację, trzymając się od niej z daleka. Ten kraj chce się zabawić moim kosztem, pokonać mnie jak rzeka żłobiąca skałę, która powstrzymuje jej bieg.

W miarę jak migające za oknem budynki stają się coraz mniej znajome, uzmysławiam sobie, że nie mam pojęcia, jak poważna jest sytuacja, w której się znalazłam. Jak na kogoś, kto się w tym kraju wychował i popełnił w nim przestępstwo, wiem żenująco mało o czekającej mnie procedurze. Nie mam pojęcia, dokąd jedziemy ani jak skontaktuję się z Shinobu. Pani Oeda uzna mnie za osobę niegrzeczną, skoro nie przyszłam na obiad, nawet nie uprzedziwszy o tym telefonicznie. Noga mi skacze i nie staram się tego opanować. Ten ruch działa na mnie kojąco. Żałuję, że moja noga nie może wyciągnąć się aż do ziemi i porządnie nią zatrząść – obudzić jej, zmusić, żeby zaczęła się ze mną liczyć.

Gapię się na potylice kretyńców z policji. Tym razem mnie nie zgnębią. Złamana kość nigdy tak naprawdę nie wraca do poprzedniego stanu – na zawsze pozostaje ślad po złamaniu, dostrzegalny w sposobie narastania okolicznych tkanek. Czasem, przy odrobinie szczęścia, nowy układ jest nawet mocniejszy niż pierwotny. Jak Hiro grający na skrzypcach po chorobie. Albo ten chłopak z filmu, który złamał rękę, a potem ciskał piłki z prędkością prawie stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Właśnie taka będę. Pokażę im: nie wszystko, co pęka, jest słabe.

Po wejściu do budynku policjanci (w myślach nazywam ich Pieńkiem i Śpiochem) spotykają się ze śledczym tak chudym i wysokim, że przypomina mi Gumby'ego. Ten konfiskuje klucz i nieliczne pozostałe przedmioty, które znajdowały się w moich kieszeniach: gumkę do włosów, kłębek niebieskiej przędzy i kartę miejską z Boulder. W poczekalni pachnie orzeszkami ziemnymi.

Nad drzwiami wisi czerwony plastikowy zegar. Gapię się na cyfry. 5 wygląda jakoś dziwnie: jakby producent wykorzystał odwrócone 2.

– Czy mogę do kogoś zadzwonić, żeby poinformować, gdzie jestem?

– Żadnych telefonów dla cudzoziemców – odpowiada Pieńek.

Nie wolno mi mieć na sobie normalnych ubrań, ale w areszcie nie ma też więziennych kombinezonów. Jakaś strażniczka prowadzi mnie do łazienki i wręcza czerwony T-shirt z Myszką Miki. Napis nad głową postaci głosi: SPODNIE ZROBIONE Z DŻINSU, a ten na plecach: DOCENIAJ KAŻDE SPOTKANIE, BO NIGDY SIĘ NIE POWTÓRZY. Zdaję mój przepocony strój do biegania, skarpetki, stanik i majtki. Strażniczka w gumowych rękawicach zgrabnie składa to wszystko – nawet moje ohydne majtki – i wkłada je do plastikowej torby, po czym wręcza mi szare papierowe kapcie i parę szarych dresowych spodni, które muszę podwinąć trzy razy, żeby nie ciągnęły się po podłodze.

– Ale za co właściwie mnie aresztowaliście? – pytam raz po raz.

– Nie ma jeszcze zarzutów – odpowiada strażniczka.

Zapina mi w talii szeroki skórzany pas z rodzaju tych zakładanych przez ciężarowców. Zwisa z niego jak smycz cienka linka. Strażniczka chwytą ją i owija sobie dwukrotnie wokół nadgarstka. Unika mojego spojrzenia.

– Jak mogę być aresztowana za nic?

Każdy krok stawiany przeze mnie na drodze od samochodu do budynku i dalej do pomieszczeń, w których przygotowują mnie do osadzenia, jest coraz bardziej surrealny i coraz mniej zrozumiały. Szeleszczą papierowe kapcie. Mam nieodparte wrażenie, że występuję w jakiejś ukrytej kamerze i lada moment zza winkła wyskoczy ktoś z mojego normalnego życia i zakrzyknie: „Mam cię!”.

Prowadzą mnie wzdłuż długiego szeregu cel. Na podłodze jednej z nich siedzą i rozmawiają ze sobą dwie kobiety. Milkną, gdy strażniczka otwiera drzwi, odpina pas i wprowadza mnie do środka. Jeden kapeć już prawie zupełnie się zdarł.

Beverly jest z Estonii: szczupła, ospowata i mówi po angielsku tak, jakby tam było mnóstwo łączników.

– Tak naprawdę mam-na-imię Margit, ale pracuję jako Beverly tak-długo, że w końcu się nią stałam.

Pracowała jako hostessa w ekskluzywnym klubie Pontocho („nasi klienci to bogaci-dżentelmeni”), kiedy wpadł policjant, żeby sprawdzić jej wizę, która

wygasała.

– Wiem, że mój klient doniósł na mnie policji – mówi, gładząc się po spęczniałym brzuchu. – Powiedziała mi, że odchodzę. Nie spodobało mu się to, o-nie, w życiu.

– To nie jego dziecko? – upewniam się.

– Rany, nie! – Sprawia wrażenie urażonej. – Nigdy nie-uprawiam-seksu z klientami. Tylko karaoke, papierosy, drinki. Nuda. – Jej dłoń cały czas spoczywa na brzuchu. Mówi z dumą: – Jak się dowiedziałam, że jestem-w-ciąży, to udawałam, że piję. Miałam w kieliszku zwykły napój gazowany.

Mimowolnie skanuję wzrokiem jej ciało: chude ramionka, bardzo wąskie biodra. Wysokie prawdopodobieństwo cesarskiego cięcia.

– Ojcem jest-Amerykanin, marynarz z St. Louis – mówi Beverly. – Wypłynął teraz na-morze, ale za trzy miesiące wraca. A potem po nas przyjedzie.

Druga kobieta, pulchna Japonka, którą Beverly przedstawia mi jako Hitomi, zaczyna nucić. Dźwięk jest zaskakująco bogaty, przepelniony wibrato. Kobieta wpatruje się w nas, a gdy odwzajemniam spojrzenie, nie odwraca wzroku.

– Przyjedzie – powtarza Beverly, patrząc na Hitomi. – Powiedział mi. Chce-nas. Pojedziemy do Stanów, a ty tu, kurwa, zgnijesz.

Hitomi nuci dalej i dalej się w nas wpatruje.

Witam ją po japońsku.

– Nazywam się Rio.

– Nie wysilaj się. Ona ma nie po kolei w głowie. Nie mówi, kumasz? Sprytna wiedźma, choć taka niby cicha myszka.

Przez klapkę nad podłogą wsuwają się do środka trzy plastikowe tacki z jedzeniem: pagórek przypalonego ryżu, pikle, wściekle różowe pałeczki konserwowego mięsa. Otyła strażniczka, która je przyniosła, kaszle, nie zasłaniając ust.

– Tofu-sensei – mówi Beverly, wskazując na nią brodą. – Wszystko jej lata. Za miękka jest, kumasz. – Wbija sobie palec w udo, imitując dźwięk zasysania.

Skreca mnie na samą myśl o tym, że w moim skurczonym, dręczonym mdłościami żołądku mogłoby się znaleźć jakieś jedzenie. Powinnam być teraz w domu Oedów i pałaszować pierwszy od ponad tygodnia domowy posiłek. Beverly oddaje mi swoje pikle, a ja zmuszam się, żeby ugryźć kęs. Zalewa jest tak mocna, że mam odruch wymiotny. Hitomi zjada mi z tacki wszystko z wyjątkiem mięsnej pałeczki, którą mi podaje. Gdy odmawiam, kręci głową i tuż przed zabraniem tacek wsuwa pałeczkę do ust. Przeżuwa na okrągło i z rozmachem, jak krowa, a mnie na ten widok aż podrywa. Biegnę do toalety w głębi celi i rzygam drobinkami korniszona. Beverly klepie mnie po plecach. Oddycham głęboko, a wtedy Beverly pokazuje mi banana, którego ukryła w rezerwuarze. Gestem wskazuje na krocze i mruga. Znów rzygam, tym razem już tylko żółcią.

Rozlega się dzwonek i na moment wszystkie światła gasną. Beverly i Hitomi siadają prosto i podczołgują się na kolanach do przodu celi.

Po korytarzu niesie się odgłos ciężkich kroków. Wrażenie takie, jakby cały blok jednocześnie wziął wdech. Beverly macha na mnie, a ja podsuwam się bliżej w chwili, w której mężczyzna z zaciśniętymi ustami i włosami siwiejącymi na skroniach podchodzi zdecydowanym krokiem do celi sąsiadującej z naszą.

– *Tenko* – szepcze Beverly. – Sprawdzanie obecności.

– Trzy jeden cztery! – krzyczy mężczyzna po japońsku.

– *Hai!* – dobiega szybka odpowiedź z celi.

– Sześć cztery osiem! – wyszczekuje mężczyzna natychmiast.

Odpowiada kolejna kobieta.

Dochodzi do naszej celi, wywołując numery Hitomi i Beverly. Kiedy staje przede mną, urywa. Zerka na podkładkę trzymaną w dłoni, obraca ją i krzyczy do strażniczki, którą Beverly nazwała Tofu-sensei.

– Co to jest?

– Och! Bardzo pana przepraszam, dopiero co się pojawiła, nie mieliśmy czasu zaktualizować...

Jeden szybki ruch nadgarstka i podkładka uderza w pręty nad moją głową. Kartki wysuwają się zza klipsa i rozsypują po podłodze.

– Kim ty jesteś? Koreanką? Irańską terrorystką? A może czymś gorszym? – Mężczyzna wychyla się do przodu. – Co ty masz na twarzy?

Wpatruję się w niego. Ściąga wargi, odsłaniając poźółkłe zęby wszelkiej możliwej wielkości przypominające pokruszone landrynki z dna torebki.

– No, przynajmniej nieźle wygląda. Egzotycznie.

Tofu-sensei mówi coś cicho. Mężczyzna każe jej powtórzyć głośniej.

– Ona jest Amerykanką, proszę pana.

– Paskudny kraj.

Złośliwość malująca się na jego szczerzej twarzy coś mi przypomina. A jeśli los zesłał mi za nadzorcę ojca Tomoyi Yu? Ale na plakietce z jego nazwiskiem są dwa znaki, zbyt długie jak na Yu, i nawet ja potrafię odczytać pierwszy: trzy proste linie wymawiane jako „Mi”. Pan Mi-coś-tam wywołuje numery – po każdym pada identyczna odpowiedź, podana identycznym tonem: *Hai!*

Kiedy odchodzi, wypuszczają nas w turach po dwie cele, żebyśmy mogły nad długim zlewem umyć zęby. Nie mam szczoteczki, więc trę je palcem. Kilka kobiet przyniosło sobie majtki do uprania. Szorują je szczotką do mycia podłóg i przypinają do plastikowego sznurka rozciągniętego nad umywalnią. Potem prowadzą nas, jedną po drugiej, do wąskiego, słabo oświetlonego schowka, skąd pobieramy zrolowane maty i wełniane koce.

To jakaś pomyłka. Nie ma mowy, żeby zatrzymali mnie tu na noc. Nic nie zrobiłam.

– Kiedy ktoś mi wreszcie powie, co się tutaj dzieje? – pytam jedną ze strażniczek. Wzrusza ramionami i patrzy na mnie jak na powietrze. Mam ochotę krzyczeć.

Światła wyłączają o dziewiątej. Zapada martwa cisza. Leżę w ciemnościach, zastanawiając się, co się ze mną stanie. A jeśli zostanę tu na zawsze? Jeśli wkradnie się jakiś błąd w dokumentach i po prostu o mnie zapomną? Och, niech już nadejdzie sen i wyłączy te myśli. Próbuję medytować, liczyć barany i przywoływać najszcześniejsze wspomnienia. Wyobrażam sobie, że jestem w domu, w łóżku Lily. Nic nie działa. Rozpacz to ciężki koc. Płacę pod nim, aż wreszcie z wyczerpania zapadam w niespokojną drzemkę.

O siódmej światła się zapalają. Boli mnie szczęka. Zacisnęłam ją i zgrzytałam zębami.

Przechodzimy teraz w odwrotnej kolejności procedurę z poprzedniego wieczoru, składając i zanosząc nasze maty i koce do schowka. Po śniadaniu złożonym z zimnego, lepkiego ryżu, rozgotowanego bakłażana i nieśmiertelnych pikli na bloku znów rozlega się dzwonek. Podrywa mnie, ledwie udało mi się przełknąć kilka kęsów ryżu i skupić na jedzeniu następnych, lecz Beverly i Hitomi natychmiast się ożywiają.

– Ktoś w odwiedziny – mówi Beverly.

Tofu podchodzi do naszych drzwi, a ja zostaję obmacana, skuta i wyprowadzona z celi na korytarz. Nareszcie.

– Do widzenia i powodzenia! – wołam do Beverly.

Obrzuca mnie dziwnym spojrzeniem.

Czy cały ten korytarz rzeczywiście śmierdzi moczem, czy tylko mam takie wrażenie przez tę ciemnożółtą farbę?

Za szybą siedzi jakiś mężczyzna w kasku platynowoblond włosów. Wstaje.

– Witam, pani Silvestri. Jestem z ambasady amerykańskiej. – Na krawacie ma orła bielika. – Muszę powiedzieć, że znalazła się pani w wyjątkowo nietypowej sytuacji. Twierdzi pani, że jest córką Hiro Akitanego, tak? – Na tabliczce przychepionej do kieszonki na piersi ma wygrawerowane: STAN PETROWSKI.

– Urodziłam się jako Chizuru Akitani. Hiro Akitani był moim ojcem i dostałam klucz do jego domu.

– Dał pani ten klucz?

– Dała mi go jego... przyjaciółka.

Przez długą chwilę pisze coś w swoim notatniku.

– Ten dom jest własnością skarbu państwa. Nikt nie miał prawa do niego wchodzić bez zezwolenia, ponieważ przedmioty należące do pana Akitanego przygotowywano właśnie do włączenia w skład wystawy muzealnej.

Prawie wybucham śmiechem. Chcą umieścić nasze rzeczy w muzeum?

– Jeśli jednak potrafi pani dowieść, że jest pani członkiem rodziny, wówczas

owszem, miała pani prawo tam przebywać. Znaleźliśmy informację o wjeździe do kraju Rio Silvestri, obywatelki Stanów Zjednoczonych. Konsulat bada kwestię istnienia osoby o nazwisku Chizuru Akitani, która byłaby w pani wieku. Jednak nawet jeśli mówi pani prawdę, trudno będzie dowieść, że jest pani tym, za kogo się podaje.

– Mają moje odciski palców.

– Tak, ale będą potrzebowali...

– Mają też jej odciski. Trzeci września 1973 roku. Moje urodziny.

Zapisuje to wszystko, patrząc na mnie z powątpiewaniem.

– Chce mi pani powiedzieć, że jeśli zestawimy te dane, odciski będą się zgadzać?

– Właśnie to mówię.

– Mam taką nadzieję. Ze względu na panią. W tej chwili mogą panią przetrzymywać do dwudziestu czterech dni bez postawienia zarzutów. Śliska sprawa. No i niekoniecznie zagwarantują pani prawa obywatelki Japonii, ale też nie ma pani gwarancji praw przysługujących obywatelce Stanów Zjednoczonych. Zauważyła pani, że cudzoziemcom nie przysługuje prawo wykonania telefonu. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by zdusić tę sprawę w zarodku, ale proszę nie robić sobie nadziei. Takie sprawy toczą się swoim trybem. Dokumenty mogą utknąć na czymś biurku na kolejne dwadzieścia dni. Za chwilę zaczyna się *O-bon*. A skoro już założyli sprawę i skoro już pani tu jest, to tej maszyny nie da się zatrzymać. To jak z kulką pachinko. Wpada do automatu i koniec, klamka zapadła. A wie pani, że te wszystkie automaty są ustawione...

No naprawdę, upodobał sobie tę analogię. Przerywam mu.

– Chce mi pan powiedzieć, że być może przesiedzę tu trzy tygodnie? To jest zwykła pomyłka. Ja nic nie zrobiłam.

– Słusznie. Ale...

– Muszę porozmawiać z rodziną. Będą się o mnie martwić.

W każdym razie pielęgnuję w sobie nadzieję, że Sal się o mnie martwi.

– Moja rada? Proszę przeczekać. Jakaś afera i tylko sobie pani zaszkodzi. W Japonii dziewięćdziesiąt dziewięć i pół procenta aktów oskarżenia kończy się wyrokiem skazującym. Proszę nie robić nic, co mogłoby przysporzyć pani dalszych kłopotów, słyszy pani? Jak panią skażą, będzie pani załatwiona. Sędzia, który będzie chciał przykładowie ukarać przestępcę z innego kraju, może walnąć młotkiem tylko po to, żeby zrobić dobre wrażenie.

Przez moment międli krawat w palcach. Rozłożone orle skrzydła zdają się ze mnie drwić.

Mogłabym rozbić tę szybę.

– Czy kiedykolwiek pana zamknęli? Prał pan swoje majtki w zlewie, mógł się wykąpać tylko raz na trzy dni? A może musiał się pan wypróżnić w obecności

trzech innych osób? Moje miejsce jest w moim domu, gdzie mam prawdziwe łóżko i wystarczającą liczbę toalet, by wszyscy mogli z nich korzystać jednocześnie. A nie tutaj.

Zaznaczywszy dwukrotnie, że za zrobienie czegoś takiego może stracić pracę, Stan zapisuje adres e-mailowy Sala i obiecuje go poinformować o moim aresztowaniu. Odzywa się brzęczyk.

Podchodzi strażniczka ze smyczą w dłoni. To jakiś koszmar. Uczucie tęsknoty za rodziną jest paskudne, rozpaczliwe, wszechogarniające. Jak żaloba. Tęsknię za tym, jak dobrze mnie znają i jak łatwo się godzą z moimi przyzwyczajeniami w rodzaju wrzucania do płatków śniadaniowych trzech-i-tylko-trzech borówek. Chcę być z jedynymi na tej planecie ludźmi, którzy wiedzą o sprawach znanych tylko nam: o tym, jak Lily robi zeza, gdy próbuje mówić przy jedzeniu, o tajemnym składniku sosu do pieczeni Sala (soda) i o tym, skąd się wzięły fioletowe plamy na ścianie za kanapą. I o tej papudze z gabinetu naszego dentysty, którą się przez krótki czas opiekowaliśmy, a która skrzeczała: „Agent ubezpieczeniowy?”. Gdy zadawało się jej pytanie, odpowiadała: „Gingivitis! Zapalenie dziąseł!”, wskutek czego jeszcze wiele lat później mieliśmy zwyczaj odpowiadać czasem na jakieś zupełnie przypadkowe pytanie: „Gingivitis! Zapalenie dziąseł!”, rozśmieszając się nawzajem.

Tęsknię za Bajgłem, choć jak siada mi na kolanach, wszystko zaczyna mnie swędzieć. Między dziesiątą a jedenastą rano, zależnie od pory roku, trójkąt słonecznego światła pada na kawałek dywanu między kanapą a podnóżkiem – pięć minut po tym, jak Bajgiel się umościł dokładnie w tym miejscu.

Jest tyle drobnych spraw, które nazbierały mi się w głowie. Czemu byłam taką idiotką? Czemu tak usilnie ukrywałam się przed własną rodziną? Poświęciłam tyle lat na zdystansowanie się od Chizuru Akitani, a teraz mogło mnie uratować tylko dowiedzenie, że nią jestem.

Ci, co nie sprawiają kłopotów, mogą od drugiej do czwartej poczytać. Można sobie zażyczyć gazetę, dla mnie właściwie bezużyteczną, jako że nie umiem czytać, ale i tak o nią proszę, żeby mieć co przejrzeć. Wsuwają ją dział po działę przez kłapkę w drzwiach. Niektóre artykuły są zaczerpnięte i rozmiękłe, przesycone zapachem markera. Wyobrażam sobie, że to należy do obowiązków Tofu: śledzenie reportaży mogących nam ułatwić przestępczą działalność i zamazywanie ich na czarno.

Stan, słusznie się domyślając, że więzienna biblioteka nie dysponuje żadnymi książkami po angielsku, przekazał dla mnie kryminał *Hunter, Hunted*. W tej historii młody gitarzysta o imieniu Hunter wrabiany jest w morderstwo żony swojego brata. Ktokolwiek go wrabia, jest w tym świetny, podrzucając dowody, a nawet kilka fałszywych tropów, z którymi policja musi się uporać, więc początkowo to wcale nie Hunter jest głównym podejrzanym. Wszyscy bohaterowie

opowieści są bardzo dowcipni, a ich wypowiedzi mają zwykle drugie dno, natomiast prowadząca sprawę oficer śledcza jest kobietą o kocim spojrzeniu z pretensjami do całego świata i tyłkiem, który – nie wiedzieć czemu – „mógłby zatrzymać zegar”.

Hunter, Hunted ma sto siedemdziesiąt dziewięć stron. O trzeciej trzydziści trzeciego dnia mojego obcowania z powieścią czuję w palcach, jak niewiele zostało mi do przeczytania – i odkładam ją. Jestem na stronie sto siedemdziesiątej siódmej. Robię sto brzusków, sto przysiadów i pięćdziesiąt pompek. Śmierzę koszmarnie – kąpiel dopiero pojutrze – ale endorfiny są tego warte.

Mam kilka teorii dotyczących tożsamości mordercy: dziwaczny ekschłopak żony gitarzysty wydaje się nieco zbyt oczywistym kandydatem, jakby autor chciał, by czytelnik podejrzewał właśnie jego, a może nawet samą żonę, przedszkolankę z okresową (o ile wiadomo Hunterowi i nam, czytelnikom) słabością do kokainy. Marzę o tych dwóch ostatnich stronach. O rozwiązaniu zagadki. Ale to moja jedyna książka. Jeśli ją skończę, pozostanie mi tylko zamartwianie się i czekanie.

Odwracam się do Beverly, która wpatrzona w ścianę ćwiczy unoszenie nóg.

– A ty nie masz nigdy ochoty poczytać?

– Książki? Niee.

Twierdzi, że woli myśleć o przyszłości. O swoim dziecku i mężczyźnie. Przyszłość jest realna, w przeciwieństwie do tych spraw w książkach. Życie czekające na nią w Stanach jest lepsze od wszystkich powieści.

Nie czytając dwóch ostatnich stron, wracam do początku i zaczynam czytać jeszcze raz.

W czwartek na kolację podają steki. W mięsie są chrząstki, ziemniaczane purée jest z torebki, a jednak czuję mimowolne podniecenie na myśl o chrząstkach i ziemniaczanych płatkach. Gdy na bloku rozchodzi się zapach grillowanego mięsa, nastrój w celach wyraźnie się poprawia. Nawet Tofu wydaje się szczęśliwsza. Zjadam całą porcję, łącznie z piklami. I wtedy z sufitu zaczyna się sączyć muzyka.

– Czwartkowa nagroda, czas na zabawę – mówi Beverly.

Dźwięk jest tak pełny, tak bogaty, że aż przechodzi mnie dreszcz. Po długim okresie ciszy słuchanie prawdziwej muzyki jest niczym pierwszy posiłek po zakończeniu postu. Puszcza ją jakąś amerykańską piosenkę country o traktorze, a ja wymyślam taniec liniowy łączący kilka ruchów, których nauczyłam się w zeszłym roku na przyjęciu urodzinowym mojej współpracownicy Jory.

– To jest tush push – mówię Hitomi.

Hitomi naśladuje moje ruchy, odchylając się do tyłu na piętach.

– I-ha! – Robię piruet na macie.

– I-HA! – Hitomi też się obraca.

Hitomi tyle razy krzyczy „I-ha!”, że wreszcie przychodzi Tofu i grozi, że umieści ją w izolatce. Gdy strażniczka kończy wyrzucać z siebie groźby, ktoś

stojący dalej w szeregu krzyczy „I-HA!” ile sił w płucach, wskutek czego cały rząd zaczyna pohukiwać i wrzeszczeć.

Nie przestając groteskowo wywijać, śmiejemy się, aż łzy płyną nam po policzkach. Kto krzychał? Stara czy młoda? Japonka czy ktoś skądinąd? Długo tu jest? W celach słyszymy swoje szepty i przewracanie się nocą z boku na bok, lecz twarzą w twarz stajemy wobec siebie tylko wówczas, gdy myjemy się przed snem, a przecież jeśli człowiek nie skupi się na myciu i szczotkowaniu, to nie skończy w ciągu półtorej minuty. Mając się na odległość szeptu, jesteśmy dla siebie tajemnicą.

Buntownicze „I-ha!” coś w nas wyzwala. Przez cały blok przelewa się chór nieudolnie naśladujących je głosów. Tofu tupie i miota się wzdłuż rzędu kobiet. Od śmiechu aż mnie boli brzuch, oczy mi łzawią. W końcu – wszystkie wiemy, że to nastąpi – muzyka cichnie i światła gasną. Beverly przygryza wargę, by powstrzymać się od śmiechu. Hitomi zamyka oczy, ramiona jej podrygują. W głowie wciąż jeszcze słyszę rytmiczne ba-ba-BA, dzyń-dzyń, dzyń-dzyń, i-ha. Trzydzieści obcych sobie kobiet uśmiecha się porozumiewawczo w ciemność. Na krótką chwilę radość przysłania wszystkie inne uczucia.

Następnego ranka niepewność zawisa nad umywalnią niczym ciężka burzowa chmura. Jeśli nie liczyć wyłączenia świateł i muzyki, Tofu nie ukarała nas za lekceważenie jej poleceń i mamy przeczucie, że ktoś za to zapłaci. Co ja narobiłam? A Stan Petrowski ostrzegwał, żebym nie wpakowała się w jakieś kłopoty.

Na dźwięk telefonu wszyscy zastygają i chociaż kilka kobiet nie przerywa prania, reszta nawet nie drgnie, póki strażniczka nie wymówi numeru.

– *San-ni-kyu* – mówi monotonnym głosem Tofu-sensei.

Serce we mnie zamiera. Beverly opowiedziała mi o izolatce, w której zamykają tych, co sprawiają problemy. Mówiła mi, że czasem zapominają człowieka karmić i nigdy nie wyłączają buczonego światła, przez co nie sposób zasnąć.

Ledwie wyczuwam linę; tym razem darowali sobie kajdanki. Zaszczanym korytarzem idę do drzwi oznaczonych A6. Może mnie przesłuchają przed zamknięciem? Strażniczka otwiera je i wchodzę do środka.

Siedzi tam Sal, ściskając jedną dłoń drugą. Ze skrzypnięciem plastikowego krzesła podnosi się i nachyla ku dzielącej nas szybie.

– Boże! – mówimy jednocześnie.

Sal ma na sobie niebieską zapinaną koszulę, której nigdy nie widziałam, i spodnie, które wkłada tylko na śluby. Wargi ma blade i popękane. Przy jego masywnej sylwetce plastikowe krzesło wygląda tak, jakby ktoś je pożyczył z przedszkola.

– Wczoraj dostałem e-mail od Stana. A może przedwczoraj... To wszystko wydaje się jednym długim dniem.

Wychyłam się naprzód i dotykam szkła. Żałuję, że nie potrafię przez nie przeniknąć. Przyjechał. Nie nienawidzi mnie. Nie zdołałam jeszcze unicestwić wszystkiego, co jest między nami. Czuję taką ulgę i taką miłość do niego, że zaczynam drżeć.

– Jestem taka szczęśliwa, że cię widzę – mówię. – To jest... Nie wiem. Już nie wiem, co to jest.

Przyjechał. Przyjechał.

Wbija wzrok w kolana. Chciałabym, żeby okazał jakieś emocje.

– Kiedy dostałem ten e-mail, spanikowałem i kazałem natychmiast odesłać Lily do domu. Organizatorzy zachowali się bardzo ładnie. Ktoś ją podwiózł na lotnisko. Wsiadliśmy do pierwszego samolotu.

– Lily tu jest?

Mam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi, w oczach wzbierają łzy. Rozglądam się, przez krótką chwilę pewna, że znajdę w sobie siłę, by przebić się przez wszystkie drzwi i ściany dzielące mnie od córki.

– Jest w lobby, z sekretarką. Nie wpuścili jej do środka, bo nie ma jeszcze trzynastu lat. Muszę tam zaraz wracać. A, no i przywiozłem odpis naszego aktu małżeństwa z twoim nazwiskiem panięskim, ale nie wiem, czy to coś pomoże, bo tam jest podane imię Rio, a nie Chizuru.

– To było bardzo roztropne, dziękuję. Czy powiedziałaś Lily o...?

– Powiedziałem jej, że zaszło nieporozumienie, ale nic ci nie jest i niedługo wyjdiesz. Oczywiście nie powiedziałem jej wszystkiego.

Trudno mi znieść wyraz jego twarzy – jakbym patrzyła na obcego człowieka. Przyciska czoło do szyby, a ja kładę dłoń w miejscu, w którym dotyka głową szkła. Staram się, ale przez szybę nie czuję jego ciepła.

– Przepraszam – mówię.

Podnosi wzrok. Grube szkło jest niczym soczewka przenosząca w czasie: przez sekundę Sal sprawia wrażenie starego człowieka. Skóra wokół oczu obwisła, szorstkie policzki pokrywa kilkudniowy zarost. Nawet błękit tęczówek wydaje się jaśniejszy, jakby sprany. Powieki upstrzone piegami. Ogarnia mnie lęk, że go straciłam.

– Proszę, powiedz mi, że będzie dobrze – błagam.

Wyciera nos.

– W tym momencie nie potrafię.

Odzywa się brzęczyk przy drzwiach. Strażnik je otwiera, a ja natychmiast się podrywam, protestuję, że nie, nie, przecież nie mogło upłynąć dziesięć minut. Patrzą na Sala, próbując uchwycić jakiś ślad emocji, chęć walki, lecz widzę tylko, jak bardzo jest zmęczony.

Wstaje, prostuje ramiona i otrzepuje spodnie. Na pożegnanie mówi tylko: „Na razie”. Serce mi pęka. Osuwam się na podłogę i zanoszę łkaniem.

Gdy następnego popołudnia dzwoni telefon, przeczesuję włosy palcami. Beverly pokazuje mi gestem, żebym poszczypała się w policzki. „Dodaje dużo blasku. Bardzo ładnie”. Szczypię mocno. Nie obchodzi mnie, czy ślicznie wyglądam, ale wyznaczenie sobie jakiegoś zadania pozwala zabić czas.

Numer, który wywołują, nie należy do mnie. Beverly rzuca mi współczujący uśmiech i dalej ćwiczy podnoszenie nóg. Robię dwieście brzusków i sto przysiadów. Ćwiczę mięśnie, aż zaczynają drżeć, a potem dociskam jeszcze mocniej. Boję się tego, co się stanie, gdy przerwę. Telefon nie dzwoni przez resztę dnia. Boję się czekającej mnie rozmowy z Salem, lecz ten lęk nie może się równać ze strachem, którym napełnia mnie perspektywa spędzenia tu kolejnych dwóch tygodni. Równie dobrze mogłyby to być dwa lata.

– Jest zajęty – mówi tej nocy Beverly. – Albo go nie-wpuścili. Skąd możesz wiedzieć? Keith – dodaje, kładąc dłoń na brzuchu – też nie przychodzi. Jest zajęty-podróżowaniem. – I jakby stawiała kropkę, patrzy wymownie na Hitomi. – Kiedy następnym razem dostaniemy kartkę-i-ołówek, zapiszesz jego nazwisko? Jak wyjdiesz, zadzwoń-do-niego w moim imieniu. Zrób to samo, co zrobił dla ciebie ten facet z ambasady.

Nie mam już okazji zapisać nazwiska marynarza ani przeczytać stron 178–179. Telefon dzwoni następnego ranka przy śniadaniu i zamiast do pokoju odwiedzin zostaję odprowadzona do poczekalni. W plastikowej torbie znajduję ciuchy do biegania sprzed tygodnia. Smród sportowej przebieralni rozchodzący się w powietrzu, kiedy je wyjmuję, upewnia mnie, że nie zostały uprane. Majtki wyrzucam do śmietnika, po czym wkładam sportowy stanik, T-shirt i spodenki. Niemożliwe, żeby po tak długim czasie te ciuchy wciąż były mokre, lecz mimo to czuję wilgoć na skórze.

Strażnik prowadzi mnie do końca żółtego korytarza i otwiera metalowe drzwi, zza których wyłania się przestronne lobby z marmurową podłogą. Szukam w jego twarzy potwierdzenia: naprawdę? Kiwa głową. Serce wali mi jak szalone, jakbym właśnie wbiegła sprintem na Hell Hill w Betasso. Wychodzę przez drzwi na wolność, dziwiąc się, jak ciepłe jest tam naturalne światło, jak żywe są kolory.

Na tle ogromnego muralu przedstawiającego bambusowy las mój mąż i córka wydają się bardzo, bardzo mali. Lily piszczy i rzuca się w moją stronę.

Włosy ma dłuższe i pokarbowane, jakby ktoś wcześniej zaplótł jej warkoczyki. Wpada na mnie i obejmuje mnie w talii tak mocno, jakby miała mnie już nigdy nie wypuścić z objęć. Zupełnie mi to nie przeszkadza.

– Nic ci nie jest? – pyta, pociągając nosem wciśniętym w moją pierś. – Ariela, ta dziewczyna z obozu, powiedziała, że jej ojciec był w więzieniu w Indiach i wsadzili go do celi mniejszej od dziecięcej kołyski...

Placzę. Wciągam w płuca jej zapach. Pachnie inaczej. Jakby przybyło jej lat.

– Nic w tym rodzaju, kochanie. Byli bardzo mili. Nie musisz się martwić. To wszystko było nieporozumieniem. Kiedyś będziemy się z tego śmiać.

– O Boże, ale od ciebie jedzie.

Sal się nie uśmiecha. Jego czerwona koszulka wyraźnie kontrastuje z przygaszonymi zieleniami i błękitami muralu. Nie podchodzi, by się ze mną przywitać. Patrzy tylko, gdy idę w jego stronę. Lily ściska mnie za rękę, jakby chcąc się upewnić, czy naprawdę tam jestem. Dystans trzydziestu kroków wydaje się nie mieć końca. Jak pielgrzymka. Podkulam palce w butach do biegania niewkładanych od ośmiu dni. Otarcia się już prawie zagoiły.

W końcu staję przed Salem.

– Proszę, przytul mnie.

Otacza mnie ramionami, a ja zapadam się w niego i zaczynam szlochać.

– Tak strasznie cię przepraszam – szepczę. – Przepraszam za...

Odsuwa się i widzę teraz, że ma łzy w oczach. Bierze plastikową torbę z moimi dokumentami i przedmiotami, które miałam przy sobie, gdy zostałam aresztowana.

– Nie teraz.

Lily gapi się na nas, zdezorientowana. Nigdy nie widziała, by którekolwiek z nas płakało. Jej radość zmienia się w przerażenie.

– Dlaczego płaczecie? Nic ci nie będzie, mamo?

– Nic mi nie będzie – mówię z wysiłkiem. – Wszystko będzie dobrze.

Przy krawężniku stoi taksówka z włączonym silnikiem. Wsiadamy do środka. Lily nie chce puścić mojej dłoni, więc twarz i nos muszę wytrzeć w brudny rękaw. Ciągłe pyta, czy nic mi nie jest i czy będę musiała wrócić do więzienia. Wyjaśniam jej, że więzienie różni się od aresztu, ale nie mam pojęcia, pod jakim względem i czy w Japonii faktycznie tak jest. Lily chce wiedzieć, co złego zrobiłam. Mówię jej, że nie było pewności co do mojego nazwiska, że policja popełniła błąd, i Lily odrobinę się rozluźnia. Staram się zbagatelizować to, co się stało, próbuję uwierzyć samej sobie, gdy przekonuję ją, że już wszystko jest w porządku i moje kłopoty się skończyły. To okropne, że zafundowałam swojej córce taki stres, każąc jej przez to przechodzić. Chcę jej powiedzieć, że po prostu próbowałam ją chronić. Chcę to powiedzieć im obojgu, ale cała ta fraza wydaje się wyświechtana. Mogę się najwyżej postarać nie chlipać, patrząc w umęczone twarze

mojego męża i dziecka.

Sal wbija spojrzenie w okno i pozwala mi paplać. Jest z nami i go nie ma. Nie ma go ze mną. Kiedy będziemy mieli czas porozmawiać? I co mu powiem, kiedy już ten czas znajdziemy?

Zatrzymujemy się przed jakimś trzypiętrowym budynkiem. Na fasadzie wisi różowy szyld HOTEL TABOO i nie do końca wiadomo, gdzie jest wejście. Sal wyłuskuje z portfela zwitek banknotów. Kierowca odlicza należność i oddaje mu resztę.

– Zatrzymałeś się w hotelu miłości?

– Co to jest hotel miłości? – pyta Lily.

– Jak mówiłem kierowcy, że szukamy jakiegoś miejsca, żeby się zatrzymać, to cały czas kręcił głową. Nawet sobie ściągnąłem taką aplikację na telefon, która tłumaczy angielskie pismo na japońską mowę, więc wiem, że mnie zrozumiał, ale ciągle powtarzał tylko: „Wszystko zajęte! Wszystko zajęte!”, po czym przywiózł mnie tutaj. Nie było nawet recepcji: po prostu wrzuciłem jakieś pieniądze do automatu przed drzwiami i wpuściło mnie do środka.

– Mamy pokój dziecięcy – dodaje Lily. – Mają gry komputerowe i zestaw do karaoke. I syrenki na ścianach.

Wchodzimy po kiepsko oświetlonych schodach. Sal porusza się niespiesznie. Naciska jakieś przyciski na klawiaturze i drzwi przed nami się otwierają. Łóżko ma kształt muszli.

Siadam na nim z Lily i przeczesuję palcami jej splątane włosy.

– Może ci zapleść francuski? – Zaczynam dzielić jej włosy na pasma. – Będiesz mi mogła w tym czasie opowiedzieć wszystko o obozie.

Z wahaniem pozwala mi wziąć się do dzieła.

– Musiałam wyjechać dzień wcześniej. Ominęła mnie dyskoteka ostatniego wieczoru i premiera filmu mojej grupy.

– Strasznie mi przykro, skarbie. To musiało być ogromne rozczarowanie.

Kiwa głową i ziewa, a z jej twarzy znika zacięty wyraz. Mam szczęście – jest zbyt zmęczona, żeby żywić do mnie urazę.

– I stało się coś jeszcze – mówi. Zerka na Sala, a potem przytyka usta do mojego ucha i szepcze: – Dostałam okresu.

Wypuszczam jej włosy z rąk, wydaję cichy okrzyk i ściskam jej drobne, ciepłe ciało tak mocno, jak potrafię. Nie mogę w to uwierzyć. Wiedziałam, że to się wkrótce zdarzy, ale już? Już.

– To wielka sprawa, skarbie. Tak mi przykro, że mnie przy tobie nie było.

Oby tylko nie kryła się za tym jakaś koszmarna historia. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby nie wstydziła się własnego ciała, ale na inne dzieci nic nie można poradzić.

– Marlena, jedna z naszych wychowawczyń, wszystko mi dała i powiedziała,

co robić. No i przypomniałam sobie, że już o tym rozmawialiśmy. Była miła.

– To dobrze.

Zaczyna się ode mnie odsuwać.

– Porozmawiamy o tym, jak będziesz miała ochotę, okej?

– Co jadłaś w więzieniu? – pyta. – Nosiłaś kombinezon?

Z powrotem biorę się do zaplatania jej włosów.

– No cóż... Było dużo ryżu. I pikli. Jednego dnia miałyśmy na obiad steki.

Nie było żadnych kombinezonów. Zaprzyjaźniłam się z kilkoma osobami, a nawet słuchałyśmy muzyki i tańczyłyśmy. Trochę jak takie wielkie nocowanie u koleżanki.

Lily przygryza wargę. Przestaję zaplatać jej włosy i ujmuję jej twarz w dłonie.

– Przysięgam, że nigdy więcej nie będziesz się musiała zamartwiać moim wyjazdem.

Kiwa głową.

– Dobrze – mówię. – I wiesz co? Nie ma tego złego. Jesteś w Japonii! I jest tyle rzeczy, które chciałabym ci pokazać, skoro już tu przyjechałaś.

Gdy mam ją blisko, kamienna twarz Sala mniej mnie martwi.

– Mamy bilety powrotne? – pytam.

– Lily i ja owszem. Na wtorek.

Mówi to tak, jakby nie oczekiwał, że z nimi wrócę.

– Spróbuję zarezerwować bilet na ten sam lot.

Nie chcę ich stracić z oczu, skoro się znów spotkaliśmy.

Z głośnika w suficie odzywa się czuły kobiecy głos: *Bardzo przepraszam. Państwa sesja odpoczynku dobiegnie końca za piętnaście minut. Jeśli chcą państwo przedłużyć sesję, proszę uiścić dodatkową opłatę. Proszę sprawdzić, czy zabrali państwo wszystkie swoje rzeczy. Gdy drzwi się zamkną, nie będzie można otworzyć ich ponownie.*

Lily rozgląda się, by zlokalizować źródło głosu.

– Co to było?

– Powiedziała, że czas... się wymeldować.

Lily naśladuje monotony kobiecy głos, wydając z siebie nonsensowne sylaby, które brzmią zaskakująco japońsko. Powtarzam, co powiedziała kobieta, a Lily powtarza po mnie – z uśmiechem. Zerkam na Sala, ale na jego twarzy odbija się tylko wyczerpanie i obojętność.

W domu Shinobu zastajemy tylko jego; gdy podjeżdżamy taksówką, stoi już w drzwiach.

– Jesteś bezpieczna! – wykrzykuje i schodzi po schodach, by nas powitać. – Okropnie byłem stresujący.

– Strasznie cię przepraszam, nie mogłam zadzwonić. Podałam policji twój

adres, ale chyba mi nie uwierzyli...

– W porządku. Policja tu była. O wszystkim wiemy. Porozmawiamy później. A teraz... kogo my tu mamy?

Przedstawiam mu Sala i Lily.

– Czy to Bob Kanciastoporty-san? – Wskazuje na T-shirt Lily. – Uwielbiam go! „Jestem gotów, jestem gotów, jestem gotów”.

Lily patrzy na niego podejrzliwie. Jest zmęczona, przestraszona i wyraźnie nie czuje jeszcze, by mogła zaufać komukolwiek z tego kraju. W końcu mówi:

– Tam jest „Jestem gotowy”, a nie „Jestem gotów”.

– Rozumiem! No, no! Musisz mnie nauczyć wszystkiego, co wiesz.

Shinobu prowadzi nas do wolnego pokoju. Lily dostrzega niski kwadratowy stolik.

– Widzisz! Wiedziałam, że tu będzie dobry stół do układania puzzli.

– Czy mogę skorzystać z prysznica? – pytam.

– Jasne, jasne – odpowiada Shinobu.

– A potem...? – Gestem wskazuję Salowi nas oboje.

On z kolei wskazuje na Lily i rozumiem, co chce mi powiedzieć: porozmawiamy, ale na osobności. Przykładam dłoń do policzka, udając sen. Jeśli zdoła namówić Lily, żeby się przespiała, zyskamy odrobinę prywatności.

– Wracam za dziesięć minut, Lil. Spróbuj odpocząć.

W korytarzu Shinobu mówi do mnie:

– Pod twoją nieobecność spełniłem swoje marzenie.

– Marzenie?

– Zostałem prawnikiem – oznajmia rozpromieniony. – List przyszedł cztery dni temu. Płakałem jak dziecko.

– Niesamowite. Gratulacje!

– Czytałem go mnóstwo razy. Nie mogłem uwierzyć, że mi się udało. – Zniża głos. – Matka zachowuje się tak, jakby nic się nie stało, ale wiem, że czuje ulgę, bo dom znów zarasta kurzem. Kiedy policja powiedziała nam o twojej sytuacji, matka naciskała na ojca, żeby ci pomóc. Jest przekonana, że zdałem ten egzamin dzięki tobie. Błagała więc ojca, żeby ci pomógł, a oczywiście jak ona błaga, to on nie ma wyboru. Ma wielu przyjaciół w policji, łatwo zatem było przyspieszyć przesłanie odcisków palców. A poza tym z twojego aktu małżeństwa wynikało jasno, że jesteś członkiem rodziny Akitani.

– Boże. Ocaliliście mnie. Mogłam tam spędzić jeszcze dwa tygodnie. Będę pamiętać, by podziękować twojemu ojcu.

Na twarzy Shinobu odmalowuje się przerażenie.

– Nie! Obiecuj mi, że w jego obecności w ogóle o tym nie wspomnisz. – Kryje twarz w dłoniach. – Musisz udawać, że nic się nie stało.

W ciągu ośmiu dni dwukrotnie kąpałam się w letniej wodzie – w tym raz bez

mydła. Dzisiaj wykąpię się po raz trzeci i już się nie mogę doczekać. W tej wielkiej, czystej, osobnej łazience z wykafelkowaną podłogą i pasującym do niej głębokim brodzikiem czuję się jak rozpieszczona księżniczka. Puszczam maksymalnie gorący strumień wody i energicznie zmywam z siebie areszt. Wdycham parę i wypuszczam powietrze z płuc, wyobrażając sobie, że oczyszczam się również od środka.

Pani Oeda wyprała mi ubrania z plecaka. Świeżutki biały T-shirt i spodnie od dresu leżą złożone w kostkę na półeczce w pobliżu prysznic. Pod T-shirtem znajduję złożoną równie starannie parę majtek i stanik. Ubieram się, biorę głęboki wdech i idę szukać męża. Serce mi wali jak młotem. Nigdy wcześniej nie denerwowałam się przy Salu.

Siedzi przy stole z Shinobu i pisze coś na laptopie. Założył niebieską bandanę: tę, którą tak uwielbia, bo jest sprana i miękka – tę, w której świetnie się prezentuje. Staję za nim i delikatnie kładę mu dłonie na ramionach. Chcę dotknąć jego włosów zebranych do góry bandaną, ale nie śmiem. Ręce na ramionach to i tak tandetne zagranie w obecności Shinobu. Pod moim dotykiem Sal sztywnieje.

– Sto czterdzieści trzy hotele w tym mieście i ani jednego wolnego pokoju.

– Nie myśl o hotelach – mówi Shinobu. Teraz, kiedy już zdał egzamin, w jego głosie pobrzmiwają ojcowskie tony. – Jeśli się wyniesiecie, matce pęknie serce. Do wtorku pozwólcie się jej rozpieszczać.

Sal odwraca się do mnie.

– Lily zasnęła i jakiś czas będzie spała. Chodźmy na spacer. – Odwraca się do Shinobu. – Będiesz tu, na wypadek gdyby się obudziła?

Nogi mam jak z ołowiu. Nie dam rady na zewnątrz. Nie zmierzę się z gniewem Sala w miejscu publicznym.

– Nie możemy porozmawiać w pokoju? Nie chcę, żeby się obudziła beze mnie.

Jak będziemy mówić cicho, uda nam się porozmawiać nad głową śpiącej Lily. Robiliśmy to już wcześniej.

Na niskim stoliku obok sterty nieuporządkowanych kawałków stoi pudełko na puzzle z motywem sushi. Spośród jakichś dwudziestu nigiri ze zdjęcia ułożono na razie tylko te z węgorem i przegrzebkiem.

– Chyba niewiele posunęła się naprzód – mówię.

Sal siada po jednej stronie naszej córki, ja po drugiej. Patrzy na mnie wyczekująco. W jego twarzy nie ma współczucia, a mnie aż ściska w żołądku. Tyle muszę mu wyznać, a nie wiem, od czego zacząć. Kichnięcie Shinobu w sąsiednim pokoju aż mnie podrywa z miejsca. Nerwy mam na wierzchu, kompletnie zszargane.

– Muszę ci wiele wyjaśnić – zaczynam. W głowie mam pustkę i mętlik jednocześnie. – Jako dziecko nigdy nie miałam przyjaciół – mówię wreszcie. –

Byłam „połówką”, nie Japonką jak cała reszta. Byłam gruba. Nikt nie był gruby. Ojciec był sławny i sądzono, że to super, ale wciąż podróżował i nigdy go nie było. Dla mnie ani dla mamy. A mama, jako cudzoziemka i jego żona, daleko od własnej rodziny, miała swoje problemy. Byłam samotna, za dużo jadłam. A potem, w szóstej klasie, w szkole pojawił się nowy chłopak, Tomoya Yu. Robił mi różne rzeczy.

Jego oczy wwiercają się w moje.

– Jakie rzeczy?

– Słuchaj dalej. Któregoś dnia przesadził. To było miesiąc po śmierci mamy. Chwyciłam to, co miałam pod ręką, nożyk do otwierania listów, i uderzyłam. To znaczy tak się czułam, jakbym uderzała. Ale ja go dźgnęłam. Chciałam, żeby odpuścił. Zmarł dzień później w szpitalu.

Sal przeczesuje włosy dłońmi i pociąga tak mocno, że boję się, czy ich sobie nie wyrwie.

– Co ci zrobił?

Patrzę mężowi w oczy, otwieram usta i teraz, teraz już wiem, co jest w tej historii najgorsze. To nie fakt morderstwa. To znacznie większe upokorzenie bycia wyróżnionym w ten sposób. Najgorsza jest konieczność powtórnego opisanie wszystkiego, co mi powiedział i zrobił.

Zaczynam od incydentu z gąbką. Nie spuszcza oczu z miejsca, gdzie ściana łączy się z *tatami* nad twarzą śpiącej Lily. Mówiąc, jaka byłam szczęśliwa i dumna, gdy panna Danny upokorzyła Tomoyę przed wszystkimi, zaczynam płakać. Sal jest niewzruszony. Kładzie palec na wargach: nie budź Lily. Opowiadam o komiksie z Tłustym Kartoflem. O łapaniu i dotykaniu. O pinezkach.

– Żałuję, że go zabiłam. Żałuję wszystkiego, co z tego wynikło. Ale jak sobie przypomnę, jak się znów postawię w tej sytuacji... Zawsze się tego bałam. Kiedy się w niej stawiam, wcale nie jest mi przykro.

Wyznanie tego na głos przejmuje mnie dreszczem. Taka jest prawda i ta prawda mnie zaskakuje.

Sal zachłystuje się powietrzem. Czuję się tak, jakby zabrakło mi tlenu.

– A potem?

Opisuję Kawano. Doktora K. Klótnię z Hiro. Czekanie na gości, którzy nigdy nie przyszli.

– Byłam przerażona, gdy pozwolili mi wyjść i zacząć od początku. Ulżyło mi, owszem, lecz byłam przerażona. Nie wiedziałam, jak będzie wyglądać życie. Czy w ogóle dam radę w Stanach. W college’u. Byłam wybrakowana. Niepełnowartościowa jako człowiek. Nie wiedziałam, czy dojdę do siebie. Nie miałam punktu oparcia. Nie mogłam ryzykować, że wszystko zaprzepaszczę. Wraz z tobą pojawiła się nadzieja. Nagle umiałam sobie wyobrazić, że moje życie okaże się... szczęśliwe. Jakbym ostatecznie wcale nie była taka bezwartościowa i do

niczego.

– Więc mnie okłamałaś. – Jego głos jest przetartą liną, która zaraz pęknie. Ręce mu drżą. Zaciska je w pięści. – To jest w tym wszystkim najgorsze. Nie to, że kogoś zabiłaś. Byłaś dzieckiem. I jest mi cię żal. Ale żeby potem wymyślić całe życie? Dlaczego po prostu nie powiedziałaś, że miałaś trudne dzieciństwo i nie chcesz o tym mówić? – Uderza pięścią w stół, a ja podskakuję, jakby trafił mnie piorun. – Dlaczego skłamałaś?!

Lily porusza się niespokojnie.

Zamiast krwi w moich żyłach krąży teraz wstyd, który gwałtownie wypływa na powierzchnię. Twarz mam rozpaloną i naciągniętą.

– Sądziłam, że nie mam wyboru.

– Dlaczego?

Przed oczami staje mi mama w naszym mieszkaniu, malująca płótna, których nikt nie zobaczy. Nasze sekretne pudełko po butach. Jej rozwijające się rozczarowanie Japonią. Jak wiele poświęciła dla życia, którego sądziła, że pragnie – z dala od rodziny i swojego pierwszego domu. Jej siła – albo to, co brałam za siłę – i jej raptowna śmierć. Jak mogłam to pogodzić z tym, co przechodziłam w szkole... i z moim ojcem? Jak mogłam to komukolwiek wytłumaczyć, skoro sama niewiele z tego rozumiałam?

– Kłamałam od tak dawna, że w jakimś stopniu wierzyłam w to, co ci opowiadałam o swoim dzieciństwie i szkole średniej. Ty miałeś tyle opowieści o swojej rodzinie. Całonocne przygotowywanie ravioli dla majora Daleya. Wuj Vito jadący do Missouri, by kupić piwo Coors Light. Impreza z lamą na balkonie. Miałam poczucie, że słuchanie o tym zbliża mnie do ciebie. Chciałam podzielić się tym samym.

– Ale nie zrobiłaś tego. Ty to wymyśliłaś. Nie pojmujesz, jakie to samolubne?

Nie potrafię się już powstrzymać i zaczynam szlochać. Jestem egoistką. Jestem bardziej samolubna niż moja matka, która nie potrafiła albo nie chciała wymyślić sposobu na dalsze funkcjonowanie. Przynajmniej nie ukrywała swoich uczuć. Zawsze była dla mnie czytelna. Nigdy nie była zagadką. A Lily... Moja córka nic o mnie nie wie. Włosy spadają jej na nos. Odsuwam je, żeby nie wpadły do ust.

Sal ciągnie dalej:

– Kiedy powiedziałaś mi, kim naprawdę jesteś, pomyślałem: Ha! Teraz rozumiem nasze małżeństwo. Zawsze wiedziałem, że czegoś tu brakuje. Czepiałaś się mnie, żeby zyskać stabilizację. Jechałaś na mnie. Ale nie byłaś ze mną szczerą. Jechałaś, dopóki nie spadłaś. Gdy tylko poruszałem jakąś istotną kwestię, słyszałem: „Porozmawiamy o tym później”. Później, później, później. Porozmawiamy o kolejnym dziecku, większym domu, wspólnym wyjeździe do

Japonii... później. Czasem czuję się tak, jakbym nie poślubił człowieka, tylko maskę.

Ma rację. Byłam maską. Patrząc na Lily, tak kruchą, tak ufną, kiedy śpi. Wzbiera we mnie miłość do niej. To po Salu odziedziczyła tę ufność.

– Nie. Moje uczucia do ciebie, do Lily, do naszego życia są prawdziwe. Jesteście całym moim światem.

– To wszystko układa się w całość. Nie możesz oglądać filmów, w których pojawia się przemoc, dostałaś świra przy tej scenie z *Prawdziwego romansu*. A kiedy jakiś chłopak przyniósł do szkoły Lily scyzoryk, chciałaś ją przenieść. I nożyk do otwierania listów, który dostaliśmy w prezencie ślubnym od Frankiego i Diane... Tak dziwnie się wtedy zachowałam. A potem po prostu zniknął.

– Przekazałam go organizacji charytatywnej.

Nożyk był srebrny, nie złoty, ale nie do zniesienia przypominał ten należący do panny Danny. Gdy wrzucałam eleganckie aksamitne pudełeczko do pojemnika z prezentami ślubnymi, których nie chcieliśmy, a nie mogliśmy zwrócić, pomyślałam w głębi ducha: „Ups, Chizuru przypadkiem wrzuciła tu niewłaściwą rzecz! Będziesz musiała ją później wyjąć”. Choć dobrze wiedziałam, że tego nie zrobię.

– Nie powinnam była tego przed tobą ukrywać. Ale czy przynajmniej potrafisz zrozumieć, dlaczego to zrobiłam? Dlaczego miałam poczucie, że muszę?

– Może. Nie wiem. Nie jestem tobą i nie potrafię wejść w twoją skórę. – Patrzy w sufit. Na Lily. Na mnie. – Czujesz się jak morderczyni?

– Myślę o nim. O Tomoyi. Zastanawiam się, jak by wyglądał jako dorosły mężczyzna. Kogo by poślubił. Pewnie wyrósłby na przyzwoitego człowieka. – W pokoju jest tak ciepło, gdy jesteśmy w nim wszyscy troje. Pocę się. – Myślę o jego biednych rodzicach.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Nie wiem, Sal. Ta pasja, która kiedyś we mnie wzbierała... znikła. – Przypominam sobie Danny i kurnik. – Ale w każdym z nas czasem coś pęka.

Opowiadam Salowi moje jedyne sympatyczne wspomnienie związane z Tomoyą. Zobaczyłam go w sklepiu wielobranżowym za rogiem, niedaleko mojego domu. Niósł futerał na trąbkę, której nigdy nie przynosił do szkoły. Prychnęłam na jej widok. Hiro gardził trąbką, nazywał ją penisem orkiestry. Naśladując muzyków grających na instrumentach dętych blaszanych, z groteskowym pierdnięciem wydymał wargi, co nieodmiennie rozśmieszało mnie do łez.

W jednej ręce Tomoya trzymał ten kanciasty plastikowy futerał, a drugą podtrzymywał pod ramię staruszka tak przygarbionego, że plecy miał zgięte dosłownie pod kątem prostym.

Szłam za nimi przez sklep. Tomoya mnie nie widział. Nie pamiętam, ile

upłynęło czasu od jego pojawienia się w szkole, do jakiego poziomu mistrzostwa doprowadził sztukę dręczenia mnie i jak bardzo go nienawidziłam. Przypominam sobie tylko zdumienie, z jakim obserwowałam kogoś przeczącego wszystkiemu, czym był w moich oczach. Wizerunek, który sprzedawał nam w szkole, nie zgadzał się z obrazem chłopca ze sklepu. Potrafiłam sobie nawet przypomnieć, co kupili tamtego dnia, gdy przemykałam za nimi chyłkiem: trójkąt bawełnianych majtek, pudełko Pocky, „męskich” pałeczek z kruchego ciasta w gorzkiej czekoladzie, i jeden różowy goździk w celofanie, zdjęty w dziale chłodniczym z półki nad kanapkami z pastą jajeczną.

To była pora deszczowa i zaczęły się już ulewy. Obserwowałam Tomoyę i staruszkę stojących w drzwiach i patrzących, jak pada. Na chwileczkę cofnąwszy dłoń spod ramienia mężczyzny, Tomoya wyciągnął z plecaka parasol i pchnąwszy drzwi biodrem, otworzył go, by mężczyzna mógł wyjść na zewnątrz, nie moknąc. Tomoya wysliznął się ze sklepu, unosząc parasol nad głowę staruszka, a deszcz momentalnie przylepił mu włosy do głowy. Zdołał utrzymać futerał w dwóch palcach, tą samą dłonią prowadząc mężczyznę.

– Mogłam im pomóc, ale tego nie zrobiłam. Za bardzo się bałam. Pomyślałam, że gdyby wiedział, że widziałam go w chwili słabości, ukarałby mnie jeszcze okrutniej.

Sal bierze kawałek układanki i obraca go w dłoniach. To kawałek z kategorii „bagażnik”. Nie umiem powiedzieć, czy udało mi się do niego dotrzeć i czy poruszyła go moja opowieść. Zmienia temat.

– Powiedziałaś mi, że chcesz mieć drugie dziecko. Interesowałaś się domem w Tuscany Terrace. Czy cokolwiek z tego jest prawdą?

– Tuscany Terrace bardzo ci się spodobało, więc chciałam mu dać szansę, ale tak naprawdę... lubię nasz dom. Jest nami. Tamto miejsce wydaje się mało zachęcające... Przypomina karykaturę tego, o czym mieliby marzyć ludzie osiągający społeczny awans. Czułam, że tam nie pasuję. My tam nie pasujemy.

Sal bez słowa rzuca kawałek układanki na stół.

– I może powinniśmy jeszcze pomyśleć o tym dziecku – ciągnę. – Jako rodzina. Czy nas na nie stać? Sklep ledwo wychodzi na swoje, a Lily za pięć lat idzie do college'u i nie uniosę tego wszystkiego z jednej pensji. – Znow zaczynam płakać. Muszę mu powiedzieć. – Kochanie, ja nie przestałam brać pigułek. Za bardzo się bałam.

Sprawia wrażenie zaskoczonego, ale nie wytrąconego z równowagi.

– Nie gniewasz się?

– Znalazłem twoje pigułki wiele tygodni temu – mówi łagodnie. – Po prostu zaskoczyło mnie, że zdecydowałaś się mi o tym powiedzieć. Zwykle muszę cię stawiać pod ścianą.

Znow jestem siedzącym na podłodze sypialni dzieckiem, nad którym stoi

mama i pyta, o co chodzi w tych koszmarnych agresywnych rysunkach. Nakryto mnie. Skóra mi cierpnie, chcę zasłonić twarz i się ukryć, ale Sal ciągnie spokojnie:

– Sklep ma się dobrze. Gospodarka idzie w górę. Owszem, to może się zmienić. Nic nie jest pewne i nigdy nie było. Wszystko sprowadza się do pytania, czego chcesz.

Czy kiedykolwiek zadał mi to pytanie tak dobitnie? Rozważam inne życia, którymi mogłabym żyć. A jeśli gdzieś po drodze, dawno temu, wybrałam na rozstajach niewłaściwą drogę? Ta druga, widmowa ja jest wolna. Nikt jej nie konfrontuje z jej kłamstwami. Jej życie nie jest jednym wielkim węzłem, bo podjęła trudną decyzję wyznania prawdy przy pierwszej sposobności. Czy bycie sobą w tej wersji – tej, którą zaczęłam znajdować na szlaku – byłoby równie trudne? Czy mam jeszcze czas? Chcę wziąć odpowiedzialność. Myślałam, że już to zrobiłam, ale to nieprawda. Nie do końca.

– Chcę zostać. – Zmuszam się, by głęboko zaczerpnąć tchu. – Chcę to dokończyć.

Póki nie powiedziałam tego głośno, nie zdawałam sobie sprawy, że tak właśnie jest. Potrzebuję więcej czasu. Czasu, by samotnie pobiegać, by pobyć w tym kraju, by stać się pielgrzymem – z właściwych powodów. Często czułam wstyd, ale nigdy tak naprawdę nie miałam w sobie pokory.

– Dokończyć pielgrzymkę?

– Przebiegnę ją. Od początku chciałam to zrobić.

Wypowiedziawszy te słowa, nabieram pewności. Jestem na szczycie stromizny, gotowa na kontrolowane zejście.

– To ci zabierze... ile? Miesiąc? Dłużej? Jesteś nam potrzebna w domu. Lily cię potrzebuje.

Na dźwięk swojego imienia Lily otwiera oczy i mamrocze:

– Jestem głodna.

Maca wokół siebie, szukając mojej ręki. Chwytam ją za paluszki. Przez chwilę będzie mnie nienawidzić. Boli mnie serce na myśl o wyrazie jej twarzy, kiedy powiem, że nie wracam z nimi od razu do domu. Będzie mnie nienawidzić, ale to nie potrwa długo. Może kiedyś będzie mnie nawet podziwiać.

– Pytałeś, czego chcę.

– A potem?

– Wrócę do domu.

Kto wie, kim będę za miesiąc? Na jakie zajdę rozdroże? Na jakie rozdroże zajdzie Sal? Powieki Lily zamykają się z trzepotem, a ja zmuszam się do zadania szeptem pytania:

– Chcesz odejść?

– Zabawne pytanie, biorąc pod uwagę, że to ty ciągle odchodzisz.

– Wiesz, o co pytam.

– Wiem, że nic już nie wiem. Muszę to wszystko przetrwać. Porozmawiamy o tym, kiedy wrócisz. Jeśli wrócisz.

Pani Oeda wpada do domu w chwili, w której we trójkę oglądaliśmy wideo z obozu Lily umieszczone przez jednego z wychowawców na YouTube. Na planie filmowym cztery dziewczynki, w tym Lily, która każe komuś „przesunąć wysięgnik tak, żeby nie padało na niego światło reflektora punktowego”. Porusza się i wypowiada jak dorosła.

Pani Oeda obładowana zakupami: plastikowe torby zwisają jej w zgięciu łokcia, inne ściska w garści. Za nią wlecze się pan Oeda, niosąc torbę z kijami golfowymi.

– Tu są! – krzyczy pani Oeda po japońsku, bezceremonialnie rzucając torby na stół. Tuba majonezu stacza się na podłogę. – Proszę, amerykańska dziewczynka, w naszym domu – mówi, dostrzegłszy Lily. – Kto by pomyślał? – Nie umiem powiedzieć, czy cieszy ją taki obrót zdarzeń, czy nie.

Dokonuję prezentacji, starając się ze wszystkich sił okazać wdzięczność państwu Oedom bez wspomnienia o tym, że w ogóle za cokolwiek należałoby być wdzięcznym. Czy teraz, gdy już wiedzą, kim jestem, moja przeszłość ich niepokoi? Wydaje się, że nie – w każdym razie sądząc po ich zachowaniu. Pan Oeda ściska dłoń Sala i w tym samym momencie się kłania. Nie potrafię go rozgryźć, wydaje się po prostu znudzony naszą obecnością. Dotyka jednak ramienia Lily, a robiąc to, patrzy wprost na mnie. Spoglądam na swoją córkę i kiwam głową. Na tym kończy się rozmowa między mną a panem Oedą o tym, co zaszło.

Lily nie wie, co sądzić o pani Oedzie robiącej wokół niej takie zamieszanie, jakby była dawno utraconą wnuczką. Uśmiecha się uprzejmie, gdy kobieta dotyka jej włosów, policzków i wydaje okrzyk na widok neonowo zielonych paznokci. Brzęczy wokół nas, prowadząc jednostronną konwersację po japońsku z Salem i Lily i rozplanowując nam czas na resztę pobytu w Tokushimie. Nikomu poza Salem nie wspominam o planie przebiegnięcia szlaku pielgrzymki.

– Czy moglibyśmy przynajmniej pomóc pani przygotować kolację? – pyta Sal, wskazując w stronę kuchni.

– Wy dwoje możecie – mówi pani Oeda, kiwając na Sala i Lily. – Lepiej się poznamy. – Odwraca się do mnie. – A ty pójdź odpocząć. Upichcę tylko kilka prostych dań.

Siadam na macie i wyciągam nogi. Mięśnie tylnej części uda mam napięte. Chodzenie uruchamia inne grupy mięśniowe. Nie mogę się już doczekać, aż znów zacznę biegać. Znów poczuje się sobą.

Jak mam powiedzieć o tym Lily? Skoro podjęłam decyzję, jakaś część mnie chce ją czym prędzej zakomunikować. Ale jeśli powiem dziś wieczorem, zepsuję jej te kilka dni, które spędzi w Japonii. Nie mogę tego zrobić. Niech przynajmniej jutro wieczorem cieszy się świętem *O-bon*. Powiem w niedzielę. Albo

w poniedziałek. Obym znalazła słowa, by się wytłumaczyć.

Pani Oeda woła wszystkich do jadalni. Na środku mahoniowego stołu niczym dwoje wielkich oczu stoją dwa talerze: jeden z pierożkami krewetkowymi, drugi z warzywnymi. Wokół brzegów talerzy ustawiono sześć misek z sosami – jedną udekorowano jadalnymi kwiatami – a dalej drewnianą misę ze świeżymi kluseczkami, buraczki konserwowe w kolorze jaskrawej żółci i fioletu w małych ceramicznych miseczkach, sałatkę z wodorostów i skwierczące jeszcze kotleciki wieprzowe smażone w głębokim oleju.

– Ależ niepotrzebnie zadała pani sobie tyle trudu – mówię. – To mogłaby być uczta weselna!

– Nie zaszkodzi poćwiczyć – odpowiada pani Oeda, patrząc wymownie na Shinobu.

Pan Oeda, który do tej pory sącył tylko piwo z wysokiej szklanki i czasem coś burczał, w miarę rozlewania sake z bladoniebieskiej butelki do drewnianych pudełeczek stojących przed każdym z nas robi się elokwentny. Siedząca obok mnie Lily przetyka truskawkowy napój Ramune. Pan Oeda, napełniając nasze pudełeczka aż po brzegi, zaczyna rozwódzić się nad tym, jaki zaszczyt uczyniliśmy jemu i jego żonie, pozwalając się gościć. Jest mi szczególnie wdzięczny za to, że zachęciłam Shinobu do wyteżonej nauki do egzaminu prawniczego i na szlaku odgrywałam rolę „matki zastępczej”. Shinobu kręci się na krześle, a twarz ma różową jak napój Lily.

Wszystko jest pyszne. To jak powrót do domu babci i Ojīsana. Sosy są tłuste i smakowite, kotleciki idealnie wysmażone i kuszące, choć nie przepadam za wieprzowiną, kluseczki pulchniutkie i pożywne.

Pani Oeda zauważa, że unikam kotlecików.

– Ja też staram się trzymać linię i osobiście wolę chudsza wieprzowinę. Ale mąż upiera się przy tej tłustszej.

– Z chudej wychodzi koszmarny rosół – mówi pan Oeda, wychylając do dna sake ze swojego pudełeczka.

Pani Oeda sięga po butelkę i natychmiast mu dolewa.

– Jedzcie do syta i oszczędzajcie energię – mówi Shinobu. – Jutro zatańczymy *bon-odori*.

– Co to jest bono dory? – pyta Lily.

Shinobu z wdziękiem unosi ramiona i wachluje palcami przed nosem.

– Nie „bono dory”. *Bon. O-do-ri*.

– *Bon. O. Do. Ri* – starannie sylabizuje Lily.

Odkłada pałeczki i naśladuje ruchy Shinobu.

– Doskonale. Czy mogę cię nauczyć tego tańca po kolacji?

– Mamo, a ty go znasz?

– Bardzo długo nie tańczyłam. Poćwiczmy razem.

Po kolacji Shinobu zabiera nas na mały trawniczek przed wejściem do domu. Cała dzielnica zdaje się pachnieć przypalonym mięsem. Shinobu wyrzuca ręce nad głowę i ugina kolana. Lily go naśladuje. Oboje wyglądają tak, jakby mieli odstawić jakąś parodię kung-fu. Sal stoi w drzwiach i się im przygląda.

– Wyjdź na zewnątrz i przestań wypuszczać z domu klimatyzowane powietrze – wołam.

Shinobu porusza się wolno, trzymając dłoń przed twarzą, i niespiesznie obraca nią niczym wachlarzem, opadając do pozycji w kucki. Zaczyna pogwizdywać, a ja wtóruję mu nuceniem. Po każdym takcie Shinobu unosi stopę, obraca ją i stawia w poprzek przed drugą, jednocześnie płynnym ruchem przekręcając dłoń przed twarzą. Lily nie odrywa od niego wzroku. Zaczyna klaskać w rytm melodii.

Melodia nabiera tempa i choć Shinobu porusza się teraz szybciej, jego boscie stopy nie wydają na trawie żadnego odgłosu. Rytm wyznacza dźwięk wydawany przez jego ubranie – kiedy Shinobu przesuwa się i obraca, tkanina khaki szu-szu-szu-szura. Nogi Shinobu uginają się, a dłonie drżą jak liście osiki. Też klaszczę, nie przestając nucić wdzięcznej melodii drewnianej piszczałki, której dźwięki dobiegające z podwórek w całym mieście zapamiętałam z dzieciństwa. To był jedyny odgłos zdolny zagłuszyć letnie cykady.

– *Odoru ahou!* – woła Shinobu. Pot perli mu się na skroni.

– *Odoru ahou!* – powtarzam.

– *Miru ahou!*

– *Miru ahou!*

– *Onaji ahou* – wołam i razem kończymy: – *Nara odorana, son-son.*

– Co to znaczy? – pyta Lily.

– Tańczący to głupcy, patrzący to głupcy, my wszyscy to głupcy, więc czemu nie zatańczyć.

Lily nalega, by nauczyć ją tych słów po japońsku. Po dwóch powtórzeniach zna piosenkę na pamięć i włącza się dwukrotnie na końcowe *son-son*.

Zaczyna przypominać dawną siebie. Odwracam się, żeby sprawdzić, co na to Sal, ale nie ma go już w drzwiach.

Następnego ranka po śniadaniu Shinobu i Lily ćwiczą swój układ taneczny razem z filmem, który Shinobu ściągnął na laptopa. Pani Oeda patrzy na Lily.

– Temu dziecku potrzebna jest *yukata*.

Tłumacząc jej słowa na angielski i Lily przytakuje, po czym pyta, co to jest *yukata*.

– To takie cienkie letnie kimono. Miały je na sobie dziewczyny, które widziałyśmy z taksówki, na moście.

Pani Oeda patrzy na Lily i mówi po angielsku, starannie wymawiając słowa:

– Czy lubisz chodzić na zakupy?

Lily patrzy na mnie. W jej twarzy widzę niezdecydowanie. Uwielbia zakupy. Ale nie chce mnie zostawiać.

– Zamierzałam iść pobiegać, kochanie, ale jeśli chcesz, żebym poszła z wami, to pójdę.

Lily wie, jak ważne jest dla mnie bieganie. Przyzwyczała się do tego, że prawie codziennie wychodzę, i rozumie, że przebieżki są dla mnie tym samym co dla niej czas na osobności, o który zawsze wolno jej poprosić, gdy ma taką potrzebę.

– Zostanę z panią Oedą – mówi. – Powinnaś pójść pobiegać.

Do centrum handlowego podwożą ich pan Oeda i Shinobu, którzy jadą do kancelarii prawnej pana Oedy. Teraz, gdy Shinobu zdał egzamin, może się formalnie przedstawić w firmie ojca.

– Chyba wolę pracować w innej kancelarii niż on – mówi Shinobu, wkładając elegancką granatową marynarkę. – Ale dobrze jest poznawać ludzi. Networking, tak?

Gdy Sal ucina sobie drzemkę obok prawie ukończonych puzzli z sushi, wychodzę pobiegać. Wbiegam stromą ścieżką podchodzącą serpentynami pod górę Bizan i kiedy już jestem prawie na odludziu, zdejmuję koszulkę, zostając w samym staniku. Widzę stąd rozciągające się wokół miasto. To wspaniałe uczucie: stawiać ciało żądania i czuć, jak ono na nie odpowiada. Bogu dzięki za przysadkę mózgową; endogenne opioidy to cudowna rzecz. Jestem spokojna i uskrzydłona jednocześnie. Nie mam pojęcia, jak daleko będę musiała zajść na szlaku pielgrzymki, nim odnajdę prawdziwy spokój. Wiem tylko, że będę tam mogła coś na dobre pogrzebać. Unicestwić czarny organ i zejść ze szlaku z lekkim sercem.

Wkładam z powrotem koszulkę i schodzę w dół zboczem w pobliżu Ame-Ame i niebieskiego domu. Ulice i alejki wydają mi się równie znajome jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. Przeszedłszy się kilka razy po mieście, znów czuję się niemal jak w domu. Jakby to było moje miejsce.

Mijam wąską ulicę, przy której mieszkał kiedyś Tomoya, po czym zatrzymuję się i zawracam. Czy to możliwe, by jego rodzice wciąż tu mieszkali? Mijam ich dom. Jest stary i nie zmodernizowano go tak jak wiele domów w tej okolicy. Na tabliczce zamocowanej na skrzynce pocztowej widnieje tylko jeden znak. To mogłoby być niepospolicie krótkie nazwisko Yu.

Nigdy nie miałam okazji powiedzieć jego bliskim, że żałuję. Od mojej rodziny otrzymali tylko pieniądze, a odszkodowanie to nie to samo co przeprosiny. Oto moja szansa: mogę spojrzeć im w oczy i wyznać, że ta sprawa mnie prześladowała. Ukształtowała moje życie. Mogę prosić o przebaczenie. Jeśli będą chcieli krzyczeć, wysłucham ich. Mogą wrzeszczeć i zatrasnąć mi drzwi przed nosem. Wówczas będę przynajmniej wiedziała, co myślą. A kto wie? Może mi wybaczyli? Może mieli kolejne dziecko albo dzieci? Może znaleźli odrobinę

szczęścia?

To absolutnie słuszny czyn. Jestem spocona, ale nie biegłam w koszulce, więc prezentuję się względnie przyzwoicie.

Wystraszona, lecz zdecydowana naciskam dzwonek. Zza szarych metalowych drzwi dobiega szaleńcze, przenikliwe szczekanie.

Drzwi uchylają się na kilka centymetrów i zerka zza nich kobieta; na mój widok otwiera je szerzej. Szczekanie jest coraz donośniejsze; wydaje się, jakby w środku była istna psiarnia.

Kobieta ucisza psy.

– W czym mogę pomóc?

To ona. Matka Tomoyi Yu. Nie spodziewałam się, że będzie wyglądać tak staro. Nie ułożyła siwych włosów, zniknął gdzieś majestat jej postawy. To jest ta elegancka kobieta, która postukiwała na szkolnych korytarzach designerskimi obcasami? Niepokoi mnie, że nie ma szminki na ustach.

Kłaniam się. Formalne końcówki czasowników więzną mi w gardle, ale zmuszam się, by je wypowiedzieć.

– Przyszłam przekazać pani rodzinie pozdrowienia. Znałam pani syna, Tomoyę.

W drzwiach za panią Yu pojawia się niski, szczupły mężczyzna w dwuogniskowych okularach. Między nogami tłoczą mu się trzy czarno-brązowe teriery. Otwiera szerzej drzwi.

– Kto to? – mówi półgłosem do żony.

Kobieta nie odpowiada, tylko się we mnie wpatruje. Pan Yu też wbija we mnie spojrzenie.

– Nazywam się... nazywałam... Chizuru Akitani.

Coś się dzieje z wyrazem ich twarzy; w ułamku sekundy przemykają po nich ciekawość, szok i przerażenie i znikają tak szybko, że mogło mi się tylko zdawać. Czekam na wybuch, który nie następuje. Patrzą na mnie z niezłomną uprzejmością, jakbym na ich życie nie miała wpływu większego niż inkasent abonamentu NHK. Jeden z psów kicha.

– Proszę wejść – mówi pan Yu i otwiera drzwi na oścież. – Proszę się nie martwić, nie wybiegną.

Zdejmuję buty, a psy je obwąchują. Wszystkie trzy obserwują mnie czujnie. Jeden z nich ma ropę w kąciku oka.

– Mają państwo uroczych małych przyjaciół.

W przedsionku za panią Yu wisi zdjęcie piesków przebranych za kawałki sushi.

– To Chibi, Kibi i Bibi – odpowiada pani Yu. – To one są tu gospodarzami.

Państwo Yu prowadzą mnie do salonu, tradycyjnego pomieszczenia z niskim stołem, *tatami* i poduszkami do siedzenia. Jedyne światło wpada przez wielkie,

pozbawione zasłon okna, którym przydałoby się mycie. Żadnych kosztownych wykładzin czy mahoniowych krzesel. Poduszki oblezione psią sierścią.

– Przyniosę herbaty – mówi pani Yu. – Proszę usiąść i się rozgościć.

Mąż idzie za nią, podobnie jak psy. To dziwne, że wychodzi i zostawia mnie samą. Pewnie chcą ustalić, jak mnie potraktować.

W tradycyjnych domach pokój ten służyłby rozrywce i znalazłyby się w nim takie przedmioty jak rodzinne zdjęcia, zwoje z kaligrafią lub jakieś rzeczy związane z zainteresowaniami domowników: wazony na kompozycje kwiatowe, papier i pędzelek do kaligrafii, dobry telewizor. Tu nie ma nic. Pomieszczenie wygląda jak plan filmowy. Tylko stół, poduszki i stojąca na podstawce w rogu, zamknięta za szkłem lalka. *Tokonoma* jest pusta. Pusta! W pokoju jest ciepło, a mnie przechodzi dreszcz. Pusta nisza to jak powieszenie nad kominkiem ramki bez zdjęcia.

Nigdzie żadnej fotografii Tomoyi.

Pokój pachnie mokrą sierścią. Jakaś częśćka mnie ma ochotę wstać i stąd wybiec, ale nie zrobię tego. Muszę przez to przejść. Muszę wypowiedzieć swoją kwestię. Serce mi łomocze jak przed metą długiego wyścigu.

Pani Yu wnosi do pokoju tacę i stawia ją na stole. Na tacy jest czajniczek i trzy niepasujące do siebie filiżanki. Klękam w prawidłowym *seiza*, ale państwo Yu siadają bezceremonialnie na pupach. Każdemu z nich wskakuje na kolana pies, a trzeci, ten z zaropiałym okiem, zerka na mnie wyczekująco. Przytulanie się do starej kuli ciepłego futra jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, ale chcąc sprawić przyjemność pani Yu, wysuwam nogi spod siebie. Pies wciska mi w dłoń zimny, mokry nos, wciąga zapach mojego krocza i zwija mi się na kolanach.

Pani Yu rozlewa herbatę i pierwszą filiżankę stawia przede mną.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca. Był wybitnym obywatelem i prawdziwym skarbem narodowym.

Jej oficjalny ton zupełnie zbija mnie z tropu. To oczywiste, że musiała wiedzieć o śmierci ojca i czuła się w obowiązku wygłosić stosowny frazes. Mimo wszystko czuję się dziwnie, słysząc skierowane do mnie po japońsku kondolencje. Zrobiła to jako pierwsza.

– Och... Dziękuję! Ale nic się nie stało. To znaczy... proszę się nie martwić.

Czuję się potwornie niezręcznie.

– Obawiam się, że nie przygotowaliśmy prezentu żałobnego – mówi, ignorując moją nieporadność. Ma zboląły wyraz twarzy. – Proszę nam wybaczyć. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że przyjdzie pani z wizytą.

– No oczywiście, że nie. Nie zapowiedziałam się.

Boże. Czy oni naprawdę sądzą, że przyszedłam porozmawiać o Hiro? Moja błędna ocena sytuacji spowija mnie jak całun. Dosłownie czuję, jak z każdym słowem pokój staje się coraz mniejszy, a pusta *tokonoma* podkrada się do mnie od

tyłu.

– Proszę mi wybaczyć. Przerwałam państwu codzienne zajęcia. Ale czułam się w obowiązku...

– Nie robiliśmy nic istotnego. Rzadko przyjmujemy gości i zawsze jest to dla nas zaszczyt. Nasz dom jest tak pospolity i nieinteresujący. Proszę nam opowiedzieć o sobie. Gdzie pani aktualnie mieszka?

Pan Yu trzyma filiżankę w obu dłoniach, wpatrując się w ścianę za mną. Gdy nie odpowiadam od razu, zatapia we mnie spojrzenie. W pozbawionym lamp pokoju jego źrenice są pustymi czarnymi spodkami.

Nie dam rady odpowiedzieć na pytanie. To istna tortura. Jedyne, czego pragnę, to zdać się na ich łaskę. Bąkam coś o Salu i Kolorado. Wiedzą, co było wcześniej. Nie wspominam o Lily, bo mogłabym im przypomnieć o Tomoyi.

– Nie ma pani dzieci? – pyta pani Yu.

Waham się.

– Mamy jedno dziecko. Córkę.

– To urocze. To zapewne radość wybierać sukienki i stroić ją jak laleczkę.

Lily nigdy nie pozwoliła mi się wystroić, ale zgadzam się z panią Yu, że owszem, to miłe.

– Jeśli chodzi o nas, to oboje jesteśmy już oczywiście na emeryturze. Dwójka starców bez znaczenia. Lubię fotografować psy... Jeśli ma pani chęć, mogę pani pokazać album strojów, które dla nich uszyłam. Mąż zaś śledzi rozgrywki baseballowe.

Rzuciłam się w rzeczne przełomy i nie ma już powrotu. Muszę podążać za tą rozmową do jej naturalnego końca. O każde uprzejme spostrzeżenie, o każdą wyważoną odpowiedź objam się jak o głazy rozrzucone w korycie rzeki.

– Ach, to bardzo interesujące. Jakiej drużynie pan kibicuje?

Może zdołam przedrzeć się przez uprzejmość pana Yu i łatwiej niż w przypadku jego żony przyjdzie mi sprawienie, by poczuł się swobodnie.

Pan Yu odstawia filiżankę i wzdycha.

– Hanshin Tigers mają kilku znakomitych graczy, ale wybieram sobie z całego kraju. Liga nie pozwala typować więcej niż trzech graczy z każdej drużyny, a każdy gracz jest klasyfikowany w rankingu na podstawie swoich poprzednich dokonań. ERA, SLG, OBP i cała reszta danych analitycznych SABR. To mało wydajne, sposób, w jaki kompilują statystyki, i przygotowałem już wstępną wersję skargi do dyrektora FSJ. Mam pomysły na zreformowanie ligi. Na przykład...

– On dowodzi wyobrażoną drużyną baseballową – przerywa mu pani Yu.

– To cudowne! – mówię z nieco przesadnym entuzjazmem.

Pan Yu nie przestaje mówić.

– To, że gracz taki jak Ren Sakamoto może po prostu zniknąć z listy, kiedy

zostanie wybrany przez pierwszoligową drużynę amerykańską, jest hańbą. To pozostawia lukę w tkance zespołu. Zupełnie zaburza równowagę! – Coraz bardziej się zapala. – Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego ci młodzi gracze tak się rwą do grania w Stanach. Dla pieniędzy? To jasne, ale co z etyką? Wszyscy mówią o wielkim Ichiro i o tym, jak to mamy być dumni, że reprezentuje Japonię, ale dla mnie to stek bzdur. Gdyby nie Ichiro, wciąż miałbym w swojej tabeli chaotycznego zawodnika grającego w drugiej bazie ze średnią trzysta. – Uderza w stół tak, że aż brzęczy czajnik. Terier na jego kolanach zaczyna ujadać i wybiega z pokoju.

Pani Yu dotyka łagodnie dłoni pana Yu i uśmiecha się do mnie.

– Hobby pochłania mojego męża bez reszty.

– Brzmi to bardzo interesująco.

Pani Yu unosi czajniczek.

– Och, proszę spojrzeć, skończyła nam się herbata.

Sposób, w jaki to mówi, sygnalizuje wszystkim, że wizyta dobiegła końca.

W mojej piersi wzbiera panika.

– Pani Yu, panie Yu, zanim wyjdę, chciałabym coś jeszcze powiedzieć.

Pani Yu obraca filiżankę w pokrytych plamkami dłoniach, a z jej twarzy nie schodzi łagodny półuśmiech. Jej oczy są płytami betonu grubości trzech metrów. Nigdy nie zdołam się przez nie przedrzeć. Zderzyłam się twarzą z murem *tatema*. Nie otwieram ust.

Pani Yu wstaje, trzymając na rękach psa, a pan Yu i ja idziemy za nią do drzwi. Panujące w domu napięcie jest nie do zniesienia. Przecież te ściany zaraz się zawalą. Gdy docieramy do wyjścia, pani Yu mówi:

– Nieznośnie dziś parno, nie sądzi pani?

– Tak, takie lepkie powietrze – mamroczę.

Zaczynam wsuwać prawy but i przez skarpetkę czuję wilgoć. Ukradkowe pociągnięcie nosem potwierdza moje przypuszczenie: do środka nasikał pies. Patrzę na panią Yu, która nie dostrzegła, co zaszło, a potem na wiszące zdjęcie przebranych psów. Wsuwam w but stopę i zasznurowuję go. Mocz wsiąka mi w skarpetkę.

Głos pani Yu dobiega jakby z daleka.

– Dziękujemy za przemiłą wizytę. Mamy nadzieję, że któregoś dnia znów nas pani odwiedzi.

Otwiera drzwi i wychodzę na zewnątrz.

– Przepraszam, że państwa niepokoiłam – powtarzam. – Chciałam tylko...

– Ależ żaden kłopot – odpowiada i delikatnie zamyka drzwi.

Kiedy schodzę po kilku stopniach na chodnik, słyszę zatraskujący się zamek.

Trudno jest iść prosto, gdy nogi uginają się ze wstydu. Jakbym zatoczyła koło i znów stała się bezwartościową, okrytą hańbą Chizuru. Odtwarzam sobie

w głowie, co zaszło, i czuję, jak zawęża mi się pole widzenia. Co ja sobie myślałam, idąc do rodziców chłopca, którego zamordowałam, i licząc na to, że się przede mną otworzą? I po co to wszystko? Dla tego potwornego kłamstwa – „zamknięcia”? To nowe dno. Najbardziej egoistyczna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Nie zasługuję na zamknięcie. Nie zasługuję na ich *honne*. Zasługuję na to, by do końca musieć żyć z tym, co się zdarzyło. Tak jak muszą oni.

W salonie Oedów Lily siedzi na kanapie między dwiema wielkimi torbami na zakupy. U jej stóp leży cała masa mniejszych plastikowych torebek.

– Co to jest, to wszystko?

– Wyglądała tak uroczo w fiolecie i różu, że nie potrafiłyśmy się zdecydować, więc po prostu kupiłam oba. No i oczywiście potrzebowała kłapek i *kanzashi* na włosy, i jeszcze...

Wchodzi Shinobu i rzuca mi spojrzenie „a nie mówiłem?”. Sal wyłania się za nim, sprawiając wrażenie oszołomionego.

Lily i pani Oedzie brak wspólnego języka w niczym nie przeszkadza. Pani Oeda mówi po japońsku, Lily odpowiada po angielsku. Obie aż promienieją. Z trudem patrzę na Lily. Nie zasługuję na nią. Zniszczyłam życie parze niewinnych ludzi.

– *Daijobu?* – Pani Oeda pyta, czy wszystko u mnie w porządku.

– Może za długo biegałam – udaje mi się wyksztusić. Próbuję się uśmiechnąć, ale bezskutecznie; moja twarz chce się skrzywić. Odchrząkuję. – No i? Zobaczmy, co tam macie.

– Pokaz mody! – woła Lily, otwierając jedną z toreb. Powstrzymuje się i patrzy na panią Oedę, która wykonuje zachęcający gest.

Różowa *yukata* ma młodzieżowy nadruk: bujne kwiaty o zaokrąglonych płatkach rozprysnięte na tkaninie w jaskrawych odcieniach. Kiedy pani Oeda kończy wiązać szarfę, można odnieść wrażenie, jakby T-shirt z Kancziastoportym, który Lily miała na sobie przed chwilą, był tylko niemądrym złudzeniem. Jest stworzona do noszenia tych ubrań. W oczach wzbierają mi łzy, ale tamuję je mrugnięciem. Nie myśl. Nie myśl, Rio.

W prawej dłoni trzyma niebieski składany wachlarz pani Oedy. Polakierowaną na czarno rączkę zrobiono tak, by wachlarz można było otworzyć i zamknąć delikatnym ruchem nadgarstka. Lily macha nim przed twarzą.

– Źle, źle! – Pani Oeda chwyta wachlarz. – To nie jest wiatrak.

Jeden drobny ruch i wachlarz się zamyka. Otwiera się przed jej twarzą i zaczyna trzepotać, a pani Oeda nie spuszcza wzroku z Lily. Kiedy zwodniczo wyciąga ramię, drżący wachlarz odsuwa się od jej ciała. Sal unosi brwi.

– Jedenaście lat to za mało na ten rodzaj wachlarza – mówi pani Oeda, porzucając wystudiowaną pozę.

Lily wzdycha.

- A ile musiałabym mieć lat? – pyta mnie.
- Zwykle nastolatki... Moment, zrozumiałaś, co ona powiedziała?
- Lily wzrusza ramionami.
- Wiem, że *juichi-sai* to jedenastolatka. Reszta jest oczywista.
- Niedługo wy dwie będziecie mogły obgadywać mnie za plecami – zauważa

Sal.

Nie potrafię zgadnąć, czy żartuje, czy też ta perspektywa rzeczywiście go niepokoi.

Lily unosi ramiona, machając długimi różowymi rękawami *yukata*.

- Teraz już zdecydowanie nauczę się japońskiego!
- Zaraz wrócę.

Biegnę do naszego pokoju. W bocznej kieszonce zielonego plecaka znajduję plastikowy pierścionek od dziewczynki z autobusu.

Pani Oeda owija Lily fioletową *yukata*. Materiał jest ciemniejszy, kwiatowy wzór subtelniejszy, jakby sugerował coś bardziej pociągającego, co kryje się pod bawełną. Z włosami podpiętymi tradycyjną koralikową szpilką Lily jest już młodą kobietą. Pani Oeda kładzie dłoń na piersi i wymawia jedno proste angielskie słowo.

– Piękna.

No i koniec. Zaczynam szlochać i mam prawie pewność, że nigdy nie przestanę. Wszyscy zamierają, wpatrując się we mnie, a ja czkam, z trudem chwytając powietrze.

– Co się stało, mamó?

– Nic. W porządku. Po prostu... – Ściskam ją. – Ona naprawdę jest piękna – mówię do pani Oedy, pociągając nosem.

Daje mi paczkę chusteczek, więc mogę wydmuchać nos.

Wręczam Lily pierścionek.

– Dostałam go podczas wędrowki. To od dziewczynki, która przypomniała mi o tobie.

– Dzięki. – Lily zakłada go i unosi dłoń. – Choć tak naprawdę nie pasuje do tej *yukata*. Jest taki dość dziecinny, no nie?

Uśmiecham się.

– Tak. Może i tak.

– Kiedy szykujemy się na festiwal?

– Za kilka godzin. Na razie musisz się wykapać. I zdrzemnąć.

Spojrzenie Lily utkwione jest tęsknie w laptopie Sala.

– I żadnego internetu – dodaję.

Burczy coś, ale nie próbuje sformułować spójnej skargi, więc wiem, że jest wykończona. Ja też.

– Położę się z tobą – mówię. – Możemy śnić, że jesteśmy tańczącymi głupcami.

Sznury żółtych i czerwonych lampionów ciągną się wzdłuż śródmiejskich ulic zapchanych ludźmi. Otoczony barykadami obszar wokół stacji Tokushima przekształcił się w morze barwnych, jaskrawych *yukata*, kamizelek *happi*, podrygujących głów i wachlarzy. Ze wszystkich stron dudnią bębny, wprawiając powietrze w drzenie. Zawodzą drewniane piszczałki i brzęczą ręczne dzwoneczki, gdy setki *ren*, profesjonalnych zespołów tanecznych, prezentują się wszędzie, gdzie znajdują miejsce. Lily trzyma mnie za rękę lekko albo całkiem ją puszcza. Nie ścisła mnie już kurczowo, jakby od tego zależało jej życie. Po lewej stronie ma Sala, a przed sobą Oedów prowadzących nas przez tłum w kierunku głównej sceny. Na twarzy Lily chłonej ten nowy świat nie ma śladu nieśmiałości.

Jest piękna jak jej babka. Mam jedno zdjęcie mamy z czasów, gdy była młoda – jedyne, jakie musiała przywieźć ze sobą do Japonii. Na tym zdjęciu jest nastolatką z długimi, potarganymi włosami i papierosem zwisającym z wargi. Otacza ramieniem myszowatą dziewczynkę z – jak mi powiedziała – „najwspanialszym imieniem, jakie kiedykolwiek słyszała”. Melody Lightfoot. Jej najlepsza przyjaciółka. Obie uśmiechają się tak szeroko, że oczy mają wąskie jak szparki. Mama jest ubrana w obcisły top bez ramiączek i opadające džinsy. Jest tak szczupła, że aż jej sterczy pępek. Nigdy nie widziałam jej równie szczęśliwej. Dlaczego wybrała Hiro? Porywczego, samolubnego, napuszonego Hiro? Ale nie ma sensu szukać w niej winy. Wiem już teraz, czym jest wina – zamiennikiem czegoś znacznie trudniejszego: akceptacji.

Za głównym podwyższeniem rozstawili stoiska sprzedawcy jedzenia i świecidełek; tam z tyłu tłum jest trochę mniejszy. Pan Oeda kupuje kilka puszek piwa od nastolatka, który wyławia je z wypełnionego lodem dzieciennego baseniku, i wręcza dorosłym. Lily wybiera sobie ramune, tym razem melonowy. Uwielbia wyciągać metalową zawleczkę, która wypuszcza do napoju z bąbelkami szklaną kulkę.

Zdjęcie mamy i Melody trzymam w portfelu. Poruszyłam niebo i ziemię, żeby znaleźć model, który ma jeszcze przegródki na fotografii. W sąsiedniej jest analogiczne zdjęcie Lily z Dahlią: obejmują się ramionami, a papierosy zastąpiły słomkami do picia. Czasem zadziwia mnie podobieństwo tych dwóch fotografii, ta poza, ta radość rozciągająca wszystkie cztery młode twarze, a czasem zastanawiam się, czy może ten obraz nie jest uniwersalny, a mnie po prostu coś ominęło. Oczywiście jak Lily zobaczyła swoje zdjęcie z Dahlią, skurczyła się w sobie i zapytała: „Czy ja naprawdę tak wyglądam, jak się śmieję?”. Sal ma zbiór zdjęć nas dwojga stojących razem i pozujących przed domem albo przy tablicach z oznaczeniem wysokości nad poziomem morza, ale w każdym z nich jest coś sztucznego. Nikt nigdy nie uchwycił nas w chwili prawdziwej radości. Może

począwszy od tej podróży, moglibyśmy to zmienić.

Do Lily podchodzi chłopiec z plastikową klatką.

– Chcesz zobaczyć mojego świerszcza?

Lily rzadko okazuje nieśmiałość. Teraz odwraca wzrok, lecz po chwili zerka z powrotem na klatkę i uzmysławia sobie znaczenie słów chłopca. Ten przykuca na ziemi i Lily robi to samo, moja Lily, która nie wchodzi do łazienki, jeśli zobaczyła w niej pająka, moja Lily, która upiera się przy stosowaniu do prania wybielacza, żeby jej białe szorty aż lśniły, przysiada na ziemi obok chłopca, a ten zamyka coś w dłoniach i unosi je w jej stronę. Twarz Lily wykrzywia się w uśmiechu, gdy owad tańczy w jej rękach. Lily ma łaskotki we wnętrzu dłoni, chociaż nie ma ich na podeszwach stóp. Tym właśnie potrafią nas obdarzyć nowe miejsca: pokazać nas od tej strony, która dotąd pozostawała w cieniu. Uwolnić nas od nas samych.

Po wszystkim podchodzi do mnie ukradkiem.

– Podoba ci się Japonia – mówię.

– Jest zabawna. I dziewczynki są śliczne. I wszyscy są wystrojeni.

Na rąbku jej *yukata* są ślady ziemi. Po wielu deliberacjach wybrała różową. Na lewej dłoni ma plastikowy pierścionek. Wskazuje na grupkę stojącą przy końcu rzędu stoisk.

– Co niosą ci ludzie?

– Lampiony. Puszczają je na wodę, by wspomnieć zmarłych.

– Czy możemy puścić jeden dla dziadka?

– Jasne. – Prowadzę ją do stoiska z lampionami. Nasza grupka idzie za nami.

– Możesz też wybrać jeden dla babci. Z każdym dniem coraz bardziej ją przypominasz.

– Kupię dla Danny – mówi Shinobu. – Wybierz jakiś.

Wybieram zielony ze znakiem *kanji*, który – wyjaśnia Shinobu – oznacza „pokój”.

Lily informuje zniechęca:

– Megan T. może umrzeć.

– Co?

Megan Teng chodziła do klasy Lily od przedszkola. Kiedy podjęłam pracę w St. Mary's, jej ojciec był tam pielęgniarem.

– Ma białaczkę. Jej mama wrzuciła na fejsa post, że Megan jest w szpitalu, i poprosiła nas o wysyłanie jej kartek.

– I napisałaś jakąś?

– Nie miałam czasu. Tata powiedział, że mamy tu natychmiast przyjechać. – Wygląda na zirytowaną tą niedogodnością. – Mama Megan napisała, że w szpitalu są takie dzieci, które nie dostają kartek od nikogo, więc im też chciałabym coś wysłać.

– To naprawdę miło. Po powrocie pojedziemy odwiedzić Megan.

– Czy możemy puścić dla niej lampion? Czy są tylko dla ludzi, którzy zmarli?

– Jasne. Możemy wypisać dla niej życzenia powrotu do zdrowia.

Lily wskazuje na zielony lampion podobny do tego, który wybrałam dla Danny. Podaję sprzedawcy monety i odchodzimy.

– Mamo? – Lily pociąga mnie za rękę. – Czy lampiony są bardzo drogie?

Kiedy wyjaśniam, że nie, mówi:

– Czy możemy wziąć też jeden dla pozostałych dzieci?

Myśli o dzieciach ze szpitala, które mogą nie dostać kartki. Z trudem powstrzymując emocje, nachylam się i ją przytulam. Sal słyszał tę wymianę zdań i na jego twarzy też widać poruszenie.

– Troszczysz się o nie. Tak.

Myślę o Tomoyi i jego dziadku wychodzących ze sklepu na deszcz. Lily by im pomogła.

Wybiera biały lampion bez żadnych znaków i całą grupką idziemy pod główną trybunę, z której ludzie oglądają tańce zespołów *ren*, a potem skróttem kierujemy się nad brzeg rzeki. W tym miejscu Yoshino ma około pięćdziesięciu metrów szerokości i na obu brzegach są ścieżki rowerowe i piesze. Mosty udekorowano malowanymi figurkami tancerzy Awa Odori, symbolem miasta.

– Chodź, możemy je puścić tutaj – mówi Shinobu.

Przykłęka na nadbrzeżnej płycie z niebieskawego łupku i wyjmuję z kieszeni zapalniczkę. Płytę wycięto ze skalistego podłoża, pewnie z dna rzeki dwadzieścia kilometrów na południe, w pobliżu pielgrzymiego szlaku. Shinobu wkłada świeczkę do lampionu Danny i momentalnie ciemność ustępuje połyskliwej szmaragdowej światłości. Przez sekundę lampion nie reprezentuje tak po prostu Danny, nie jest przedmiotem istniejącym po to, by pocieszyć żyjących tradycją i ceremonią – jego istota, zachowanie się światła przekraczającego granice, jest samą Danny.

Państwo Oeda puszczają kolejno na wodę swoje lampiony, ale nie mówią za kogo. On odwraca się i zapala papierosa. Zakładam, że sam go będzie palił, ale podaje go żonie. Ona się nieznacznie skłania i zaciąga, a on zapala drugiego dla siebie.

Sal, Lily i ja klękamy obok Shinobu. Kilkanaście centymetrów niżej lśni czarna gładki nurt. Stawiam lampion Hiro przed Salem i wręczam Lily lampion jej babci. Lily upiera się, by samodzielnie zapalić świeczkę.

– Nie potrafię! – mówi, gdy dwukrotnie nie udaje jej się zapalić zapalniczki.

– Ma blokadę przed dziećmi – wyjaśnia Sal i pokazuje jej, w jaki sposób lewą dłonią trzymać włącznik, a kciukiem prawej pstryknąć kółeczko.

Tym razem się udaje i blask małego płomyka tańczy po zastygłej w wyrazie determinacji twarzy Lily. Zapala ostatnią świeczkę, a ja w myślach dedykuję ją

Tomoyi.

Cztery lampiony odpływają. Danny, Hiro, Elena, Tomoya. Nieprawdopodobna rodzina. Próbuję sobie wyobrazić ich żywych na festiwalu takim jak ten. Ojciec w czarnym T-shircie, z busano w dłoni, obok niego Elena sunąca w długiej wzorzystej sukience. Danny pół kroku z przodu, z szyją owiniętą czerwonym szalem, podniecona perspektywą znalezienia się tam, dokąd się udają, a obok niej Tomoya w szkolnym mundurku, ciamkający coś lepkiego i słodkiego na patyczku, przystający, by przyjrzeć się świerszczowi na sprzedaż. Dokąd idą? A jeśli kupują lampiony dla nas? A jeśli to my nie żyjemy? Piwo uderza mi do głowy, ale to nie jest nieprzyjemne uczucie.

– Potrafisz rozpoznać, który jest twój? – pyta Sal Lily.

– Tamten. – Wskazuje palcem. – Nie odrywałam od niego oczu.

– A czy on nie ma czasem w sobie wysokiej świeczki? Twój miał krótką.

– Albo nie, czekaj...

Nasze lampiony popłynęły w dół rzeki, dołączając do innych. Chwytam spojrzenie Sala. Żadne z nas nie odwraca wzroku. W mojej piersi wzbiera bańka uczucia. Nie mam już tajemnic przed tym człowiekiem. Powiedziałam prawdę i moje życie się nie rozpadło. Bańka pęka i mimowolnie się do niego uśmiecham. On uśmiecha się lekko w odpowiedzi.

– Chcę zatańczyć – mówi Lily.

Idziemy z powrotem w stronę ulicy. Początkowo uczucie wkrada się powoli – uczucie ciepła, wzbierania i przelewania się. Jeśli zechcę, mogę być *hafu*. Zawsze znajdzie się ktoś, kto mi powie, że jestem niekompletna. Ale mogę być i cała. Mogę być niepodzielna i kompletna w ten fragmentaryczny sposób, w jaki życie jest życiem. Nie wiem, czy się przeprowadzimy ani czy będę miała drugie dziecko. Nawet Sal, teraz to sobie uzmysławiam, nie daje mi żadnej gwarancji. Dwie rzeczy będą musiały wystarczyć, dwie rzeczy, których jestem pewna. Jestem biegaczką. I zawsze będę mamą Lily.

Nagle otacza nas *ren*, którego członkowie zakończyli właśnie występ na głównej scenie. Tańczymy pośród nich. Mężczyźni idą pierwsi – potrząsają wachlarzami i przysiadają nisko. Zbliżają się, wykrzykując nonsensowną sylabę, która dziś wieczór wszędzie odbija się echem: *Yoi, yoi!* Za nimi idą kobiety, miejsce wachlarzy zajmują delikatnie poruszające się palce. Patrzą na te barwne, zwarte formacje, na te kobiety o zsynchronizowanych ruchach. A jeśli któraś z nich była ze mną w poprawczaku? Czubek kapelusza jednej z tancerek wystaje odrobinę nad pozostałe. Jej twarz jest blada i gładka niczym muszla. Na moich oczach spod kapelusza wysuwa się kosmyk włosów i przywiera do policzka. Chwytam jej spojrzenie i krzyczę:

– I-ha!

Mężczyzna o ciemnej karnacji w czapce z daszkiem wciska mi w rękę

butelkę piwa, stuka nią o swoją i pije. Ja też piję. Lodowate bąbelki idą mi nosem.

W blasku fajerwerków migają tysiące twarzy. Gdy niebo wybucha światłem i wszyscy dorośli patrzą w górę, jedna z dziewczyn spuszcza wzrok. Na co patrzysz, dziewczyno, która widzisz coś, czego nie widzi nikt inny? Dziewczyna w *yukata* do połowy ud i w ściągniętych skarpetkach jest tu tak samo u siebie jak mężczyzna z włosami przewiązanymi krawatem zamiast bandany, pijący piwo z puszki i zgniatający ją w rękach: sztuczka z uczelni, której nie robił od lat. Bębniarz z jednej z trup wychodzi z szyku, by zatańczyć z jakimś maluchem i jego mamą. Mama trzyma dziecko na biodrze, a chłopczyk wyrzuca ręce w powietrze i się śmieje.

– To część ciebie – mówię do Lily, która skacze na ulicy w kręgu nieznanym.

Cofam się o krok i ją obserwuję. Nigdy jej takiej nie widziałam. Jest coś w krwi, jakiś kwantowy przekaz, jakaś część, która mówi: *Hai*, jakaś część, która mówi: Jestem.

Lily opiera się o mój bok.

– Jak będę starsza, mogłabym tu zamieszkać – ogłasza bez tchu. – Po szkole filmowej. Ten festiwal byłby super jako temat krótkiego dokumentu.

Przez chwilę czuję w piersi przelotny niepokój. Gdybym usłyszała te słowa miesiąc temu, śniłyby mi się po nocach – co Lily mogłaby odkryć w Japonii na temat mojej przeszłości? – ale dziś panika szybko mija, ustępując wibracjom świątecznych bębnow. Lily nic nie będzie. Dowie się prawdy, gdy przyjdzie na to czas. Bo moja historia jest jej historią. Mam ochotę świętować, jakbym była całym topolowym gajem.

Odbiega, tym razem w stronę Sala, który uczy się tańczyć od grupki pijanych nastolatków ze szkoły średniej. Ja też tańczę. Z nikim konkretnym i ze wszystkimi jednocześnie. Gdybym nie miała nic, miałabym chociaż to. Ciało biegacza niosące mnie wśród świerków, osik, fiołków i klajtonii, wśród wilgotnej woni wzrastania. Potrafię nazwać te rzeczy, nazwać samą siebie, nazwać części: obracające się kości stawu międzypięściowego, włókna mięśniowe kurczące się i popychające mnie naprzód na ubitej drodze, powięź podeszwową absorbującą wstrząsy, gdy moje pokryte bliznami stopy niosą to wszystko, tę całość, przez las wypełniony słodkim, błękitnym, kojącym powietrzem, darem roślin, i opuszczającym moje płuca wydechem, którym go odwzajemniam.

Podziękowania

Proszę, by moje podziękowania przyjęli:

Katherine Fausset, moja agentka, spełniaczka życzeń, słuchaczka i orędowniczka pisarzy. Oraz jej współpracownicy z Curtis Brown.

Emily Bell, redaktorka o niewiarygodnym talencie i prostolinijności, która zabrała mnie do Balthazaru, uwierzyła w Rio i zrobiła jej miejsce na świecie.

Doug Clark, za wprowadzenie.

Maya Binyam, Sarah Scire, Jeff Seroy, genialne redaktorki Lisa Silverman, Maureen Klier, Lyn Rosen i Susan Goldfarb oraz wszyscy pracownicy wydawnictwa Farrar, Straus and Giroux.

Stephanie Koven, której optymizm i początkowe wsparcie pozwoliły mi dalej pracować.

Michael Adams, Stephen Harrigan, Elizabeth McCracken, Jim Crace, Rachel Kushner i John Dufresne za recenzje, poczucie humoru, modlitwę, naukę i trafne przykłady.

Angela MacFarlane i Brian Beckey za miejsce do pisania, które mogłam nazwać (maleńkim) domem. Shaperosowie, Greene-Rosenblumowie i Bechtolsheimowie za ich działania i elastyczność.

MacDowell Colony, Jentel Arts, Ragdale Foundation, Ucross Foundation, Kerouac Project, Sozopol Fiction Seminars, Sewanee Writers' Conference i Michener Center for Writers za dar społeczności, zachęty i wsparcia finansowego (oraz jedzenie), które miały istotne znaczenie dla powstania tej powieści.

Maya Perez i Rachel Kondo za ich nieustającą przyjaźń i opinie na temat wszystkiego: od pierwszych szkiców do najważniejszych życiowych decyzji. KLP, LCC.

Kristin Kearns, moja droga K, która była tam od pierwszej strony.

Justin Quarry, którego przyjaźń i opinie były nieocenione.

Spółeczność literacka: redaktorzy magazynów książkowych i literackich, agenci, organizatorzy konferencji, bibliotekarze, publicyści, projektanci, studenci, pisarze, czytelnicy i Duchess Goldblatt.

Moi nieodmiennie pozytywnie nastawieni i kochający dziadkowie, przybrani rodzice, wujowie, ciotki i kuzyni oraz klan Seymourów, a także wszyscy moi przyjaciele-będący-rodziną z Illinois, Teksasu i Kalifornii.

Moja mama, która podsuwała mi książki i wiedziała, że ten dzień nadejdzie, mój ojciec, za jego apetyt na przygodę, i mój 好きな人 Derek, który zna tajemnicę.

Prawdziwy Shinobu i moi przyjaciele z Tokushimy, zwłaszcza Kimiko Kobayashi, za ciepłe powitanie, naukę i otwarte serca. やっどさー!

